



STENDHAL

---

## **Kroniki włoskie**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

STENDHAL

# *Kroniki włoskie*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## KSIENI Z CASTRO

### I

Melodramat pokazał nam tyle razy rozbójników włoskich szesnastego wieku i tyle osób mówiło o nich bez znajomości przedmiotu, że obecnie mamy o nich najfałszywsze pojęcia. Można rzec ogólnie, że rozbójnicy ci byli *opozycją* przeciw okrutnym rządóm, które zajęły we Włoszech miejsce średniowiecznych republik. Nowy tyran był to zazwyczaj najbogatszy obywatel pogrzebanej republiki, który aby pozyskać sobie lud, zdobył miasta wspaniałymi kościołami i pięknymi obrazami. Tacy byli Polentini w Rawennie, Manfredi w Faenza, Riario w Imola, Cane w Weronie, Bentivoglio w Bolonii, Visconti w Mediolanie i wreszcie najmniej wojowniczy, a najobludniejszy ze wszystkich Medyceusze we Florencji. Spomiędzy historyków tych małych państw żaden nie ośmielił się opisać niezliczonych otruc i mordów spowodowanych strachem, który nękał tych małych tyranów; owi poważni historycy byli na ich żołądziej. Zważcie, że każdy z tych tyranów znał osobiście każdego z republikańców, o których wiedział, że go nienawidzą (wielki książę Toskanii, Kosma, znał na przykład Strozzięgo), że wielu z tych tyranów zginęło gwałtowną śmiercią, a zrozumiecie głębokie nienawiści, wiekuiącą nieufność, które dały Włochom szesnastego wieku tyle inteligencji i odwagi, a tyle geniuszu ich artystom. Ujrzyście, iż owe namiętności nie pozwoliły się rozwinąć dość pociesznemu przesądowi z epoki pani de Sévigné, który nazwano *honorem*, a który polegał zwłaszcza na tym, aby poświęcić życie dla swego pana i dla spodobania się damom. W szesnastym wieku we Francji działalność mężczyzny i jego istotna wartość mogły się objawić i zyskać podziw jedynie na polu bitwy lub w pojedynkach; że zaś kobiety lubią odwagę, a zwłaszcza junactwo, stały się one najwyższymi sędziami wartości mężczyzn. Wówczas to zrodził się *duch galanterii*, który sprowadził stopniowe zamieranie wszystkich namiętności, a nawet miłości, na rzecz okrutnego tyrańca, któremu poddajemy się wszyscy: próżności. Królowie popierali próżność i mieli rację: stąd władza wstążeczki orderowej.

Honor, Obyczaje,  
Grzeczność  
Męczyzna

We Włoszech człowiek wyróżniał się *czynem wszelkiego rodzaju*, pchnięciem szpady, jak odkryciem dawnego rękopisu; patrz Petrarę, bożyszcze swoich czasów. Kobieta w XVI wieku kochała człowieka biegłego w greczyźnie tyleż, i więcej, ile by kochała wstawioną odwagą na polu bitwy. Wówczas widziało się namiętności, a nie odruch galanterii. Oto wielka różnica między Włochami a Francją; oto czemu Włochy dały życie Rafałom, Giorgionom, Tycjanom, Correggiom, gdy Francja wydała owych wszystkich wielkich rycerzy XVI wieku, nie znanych dzisiaj, z których każdy pozabijał tak wielką liczbę nieprzyjaciół.

Sława

Proszę mi darować te surowe prawdy. Jak bądź się rzeczy mają, okrutne i *konieczne* pomsty na małych tyranach włoskich w średnich wiekach pozyskały rozbójnikom serce ludności. Nienawidzono bandytów, kiedy kradli konie, zboże, pieniądze, słowem rzeczy potrzebne do życia; ale w głębi serca lud był po ich stronie, a dziewczęta wiejskie przekładały nad wszystkich młodego chłopca, który bodaj raz w życiu zmuszony był *andar alla machia*, to znaczy umykać w las i szukać schronienia u zbójców po jakimś nierozważnym czynie.

Za naszych czasów jeszcze każdy, oczywiście, lęka się spotkania z rozbójnikami; ale kiedy ich dosięgnie kara, każdy współczuje z nimi. To stąd, że ów naród tak inteligentny, tak drwiący, który śmieje się ze wszystkich manifestów wydanych pod cenzurą swoich panów, namiętnie czytuje poemaciki opowiadające z zapałem życie najślawniejszych bandytów. Heroizm mieszczący się w tych opowiadaniach porusza strunę artystyczną, która zawsze żyje w *niższych klasach*. Zresztą ten lud jest tak znudzony urzędowymi pochwałami oddawanymi pewnym ludziom, że wszystko, co nie jest oficjalne, trafia mu prosto do serca. Trzeba wiedzieć, że prosty lud we Włoszech ma pewne bolączki, których podróży, choćby żył w tym kraju dziesięć lat, nie spostrzegłby nigdy. Na przykład przed piętnastu laty, zanim roztropność rządów wytępiła zbójców<sup>1</sup>, nierzadko zdarzało się, że wyprawy ich miały na celu ukaranie niesprawiedliwości *gubernatorów* w małych miastach.

<sup>1</sup>przed piętnastu laty, zanim roztropność rządów wytępiła zbójców — Gasparone, ostatni zbójca, poddał się rządowi w 1826; jest uwięziony ze swoimi trzydziestoma dwoma ludźmi w cytadeli w Civitavecchia. Do poddania się zmusił go brak wody na szczytach Apeninów, gdzie się schronił. Jest to człowiek inteligentny o ciekawej twarzy. [przypis autorski]

Gubernatorzy ci, samowładni urzędnicy o płacy nie przewyższającej dwudziestu talarów miesięcznie, są oczywiście na żołdzie najznacniejszej rodziny, która za pomocą tego bardzo prostego środka gnębi swoich wrogów. Jeżeli zbójcom nie zawsze się udawało skarać tych małych despotów, przynajmniej drwili sobie z nich i płatali im psoty, co jest niedrobną rzeczą w oczach tego dowcipnego ludu. Satyryczny sonet pociesza Włocha po wszystkich niedolach, a zniewagi nie zapomina on nigdy. Oto druga zasadnicza różnica między Włochem i Francuzem.

Skoro w szesnastym wieku gubernator skazał na śmierć biednego mieszkańca znienawidzonego przez możną rodzinę, często zbójcy napadali na więzienie i próbowali uwolnić ofiarę. Ze swej strony potężne rodziny, nie ufając zbyt ośmiu czy dziesięciu rządowym żołnierzom mającym strzec więźnia, wystawiały swoim kosztem oddział żołnierzy najemnych. Żołnierze ci, których nazywano *bravi*, biwakowali w pobliżu więzienia i podejmowali się odprowadzić aż na miejsce kaźni nieboraka, którego śmierć kupiono. Jeśli wpływała rodzina miała w swoim gronie młodego człowieka, stawał on na czele tych improwizowanych żołnierzy.

Ten stan cywilizacji okropny jest z punktu widzenia moralności, przynajmniej; za naszych czasów mamy pojedynek, nudę i nieprzedajnych sędziów; ale te obyczaje szesnastego wieku cudownie wspomagały produkcję mężczyzn godnych tego imienia.

Wielu historyków, wychwalanych do dziś przez pełną rutyny literaturę Akademii, siliło się ukryć ten stan rzeczy, który około roku 1550 stworzył tak wielkie charaktery. Współcześnie ostrożne ich kłamstwa nagradzano wszystkimi zaszczytami, jakimi mogli rozporządzać Medyceusze we Florencji, Este w Ferrarze, wicekrólowie Neapolu etc. Pewien biedny historyk nazwiskiem Giannone chciał uchylić rąbek zasłony; że jednak ośmielił się powiedzieć jedynie cząstkę prawdy, i to pod osłoną powątpiewań i niejasności, pozostał bardzo nudny, co mu nie przeszkodziło umrzeć w więzieniu w osiemdziesiątym drugim roku życia 7 marca roku 1758.

Pierwszą tedy rzeczą, jeśli się chce poznać historię Włoch, to nie czytać autorów powszechnie uznanych; nigdzie lepiej nie znano ceny kłamstwa, nigdzie lepiej nie było ono opłacane.<sup>2</sup>

Pierwsze kroniki, które pisano we Włoszech po głębokim barbarzyństwie dziewiątego wieku, wspominają już o zbójcach i mówią o nich tak, jakby istnieli od niepamiętnych wieków (patrz zbiór Muratoriego). Kiedy nieszczęściem dla powszechnego dobra, dla sprawiedliwości, dla dobrych rządów, ale szczęściem dla sztuki średniowiecznej republiki zostały zdławione, najenergiczniejsi republikanie, ci, którzy kochali wolność bardziej niż większość ich współobywateli, schronili się w lasy. Oczywiście lud gnębiony przez Baglionich, Malatestów, Bentivogliów, Medyceuszów kochał i szanował ich wrogów. Okrucieństwa małych tyranów, którzy nastąpili po pierwszych uzurpatorach, na przykład okrucieństwa Kosmy, pierwszego wielkiego księcia Florencji, który kazał mordować republikanów szukających schronienia w Wenecji, nawet w Paryżu, dostarczały zaciągu tym zbójcom. Aby pozostać w czasach bliskich tym, w których żyła nasza bohaterka, około roku 1550, Alfons Piccolomini, książę Monte Mariano i Marco Sciarra dowodzili z powodzeniem uzbrojonymi bandami, które w okolicach Albano urągały żołnierzom papieskim, wówczas bardzo dzielnym. Linia operacyjna tych słynnych wodzów, których lud do dziś podziwia, ciągnęła się od Padu i bagien raweńskich aż do lasów, które wówczas pokrywały Wezuwiusz. Las Faggiola, tak wslawiony ich czynami, a położony o pięć mil od Rzymu, na drodze do Neapolu, był generalną kwaterą Sciarry, w której za pontyfikatu Grzegorza XIII skupiało się niekiedy po kilka tysięcy żołnierzy. Szczegółowa historia tego znamienitego bandyty byłaby nie do wiary w oczach obecnego pokolenia, w tym sensie, że nikt nie zechciałby zrozumieć pobudek jego czynów. Pokonano go aż w roku 1592. Kiedy ujrzał, że sprawa jest stracona, wdał się w układy z Rzeczpospolitą Wenecją i przeszedł w jej służby ze swymi najwierniejszymi lub najbardziej występny-

<sup>2</sup>Pierwszą tedy rzeczą, jeśli się chce poznać historię Włoch, to nie czytać autorów powszechnie uznanych; nigdzie lepiej nie znano ceny kłamstwa, nigdzie lepiej nie było ono opłacane. — Paweł Giovio, biskup w Como, Aretino i stu innych mniej zabawnych, których nuda, jaką zięją, ocaliła od niesławy, Robertson, Roscoe pełni są kłamstw. Guicciardini sprzedał się Kosmie I, który drwił sobie z niego. Za naszych czasów Coletta i Pignotti mówili prawdę, ten ostatni w stałym strachu, że go usuną ze stanowiska, chociaż chciał, aby go drukowano dopiero po jego śmierci. [przypis autorski]

mi (jak kto woli) żołnierzami. Na żądanie rządu rzymskiego Wenecja, która podpisała układ ze Sciarra, kazała go zamordować, dzielnych zaś jego żołnierzy posłała na obronę wyspy Kandii przeciw Turkom. Ale roztropna Wenecja wiedziała, że na Kandii panuje mordercza zaraza; jakoż w kilka dni z pięciuset żołnierzy, których Sciarra oddał w służbę republiki, pozostało sześćdziesięciu siedmiu.

Ten las Faggiola, którego olbrzymie drzewa pokrywają dawny wulkan, był ostatnim teatrem czynów Marka Sciarra. Każdy podróżnik powie wam, że jest to najwspanialsza okolica owej cudnej Campagna Romana, której posępny wygląd jest jak stworzony dla tragedii. Las ten wieńczy swą ciemną zielenią szczyty Albano.

Wspaniałą tę górę zawdzięczamy jakiejś erupcji wulkanicznej, wcześniejszej o wiele wieków niż założenie Rzymu. W epoce, która poprzedziła wszelką historię, wyrosła ona wśród rozległej równiny rozciągającej się niegdyś między Apeninami a morzem. Monte Cavi, która wznosi się otoczona mrokami lasu Faggiola, jest jej szczytowym punktem, widzi się ją zewsząd, z Terracyny i z Ostii, jak z Rzymu i z Tivoli; góra zaś Albano, obecnie pokryta pałacami, stanowi zakończenie tego rzymskiego widnokągu, tak słynnego wśród podróżnych. Klasztor czarnych mnichów zastąpił na szczycie Monte Cavi świątynię Jowisza Feretrijskiego, gdzie ludy łacińskie przychodziły składać wspólnie ofiary i zacieśniać węzły swego rodzaju federacji religijnej. Osłonięty cieniem wspaniałych kasztanów, podróżny dociera w kilka godzin do olbrzymich złomów będących ruiną świątyni Jowisza; ale z owego cienia, tak rozkosznego w tym klimacie, dziś nawet wędrowiec spogląda z niepokojem w głąb lasu: lęka się bandytów. Przybywszy na szczyt Monte Cavi, rozpala się ogień w ruinach świątyni, aby zgotować pożywienie. Z tego punktu, górującego nad całą Campagna Romana, widzi się ku zachodowi morze, które wydaje się o dwa kroki, mimo że jest o trzy lub cztery mile; rozróżnia się najmniejszy statek; przy pomocy najbliższej lunety można policzyć ludzi udających się do Neapolu na statku parowym. Na wszystkie inne strony oko biegnie po wspaniałej równinie, która kończy się na wschód Apenin, ponad Palestrina, na północ zaś bazyliką św. Piotra oraz innymi wielkimi budowlami Rzymu. Ponieważ szczyt Monte Cavi nie jest zbyt wysoki, oko rozróżnia najdrobniejsze szczegóły tego wspaniałego kraju, który mógłby się obejść bez glorii historycznej, a w którym wszelako każdy gaik, każdy złom wyszczerbionego muru widziany na równinie lub na zboczu gór przypomina którąś z owych bitew, tak cudownych patriotyzmem i męstwem, opowiedzianych przez Liwiusza.

Jeszcze za naszych dni, aby dojść do olbrzymich złomów, resztek świątyni Jowisza Feretrijskiego tworzących mur ogrodu czarnych mnichów, można iść drogą triumfalną, którą szli niegdyś pierwsi królowie Rzymu. Wyłożona jest kamieniami ciosanymi bardzo regularnie; w lesie Faggiola znajdują się długie pasy tej drogi.

Na brzegu wygasłego krateru, który, wypełniony obecnie przezroczystą wodą, zmienił się w owo ładne jezioro Albano, mające pięć czy sześć mil obwodu i oprawne w skałę z lawy, leżała niegdyś Alba, macierz Rzymu, którą polityka rzymska zniweczyła za pierwszych królów. Mimo to ruiny jej istnieją jeszcze. W kilka wieków później o ćwierć mili od Alby, na stoku biegnącym ku morzu, wyrosło Albano, ale to nowoczesne miasto odgródzone jest od jeziora zasłoną ze skał, które kryją jezioro miastu, a miasto jezioru. Kiedy się je widzi z równiny, białe jego budynki odznaczają się na ciemnej i głębokiej zieleni owego lasu tak drogiego bandytom i tak często wstawionego, który wieńczy ze wszech stron wulkaniczną górę.

Albano, liczące dziś pięć do sześciu tysięcy mieszkańców, nie miało ani trzech tysięcy w roku 1540, kiedy wśród pierwszych rodzin szlacheckich kwitnął potężny ród Campireali, którego nieszczęścia mamy opowiedzieć.

Tłumacząc tę historię z dwóch obszernych rękopisów: jeden rzymski, a drugi florencki. Z wielkim swoim niebezpieczeństwem ośmieliłem się odtworzyć ich styl, niemal będący stylem naszych starych legend. Wykwintny i pełen umiaru styl dzisiejszy nie bardzo, jak mi się zdaje, godziłby się z treścią wypadków, a zwłaszcza z uwagami autorów. Pisali koło roku 1598. Proszę czytelnika o pobożanie dla nich i dla mnie.

Spisawszy tyle tragicznych historii, powiada autor rękopisu florenckiego, zakończę tą, którą mi jest najciężej opowiedzieć. Będę mówił o słynnej ksieni klasztoru wizytek w Castro, Helenie de Campireali, której proces i śmierć tyle dały do gadania w wielkim świecie Rzymu i całych Włoch. Już około roku 1555 bandyci władali w okolicach Rzymu, urzędnicy zaś byli zaprzędani możnym rodzinom. W 1572, to jest w roku procesu, Grzegorz XIII Buoncompagni wstąpił na stolec św. Piotra. Ten święty kapłan jednoczył wszystkie apostołskie cnoty, ale jego cywilnemu zarządowi można było zarzucić niejaką słabość; nie umiał ani dobrać uczciwych sędziów, ani też powściągnąć bandytów; gryzł się zbrodniami, a nie umiał ich karać. Zdawało mu się, iż skazując kogoś na karę śmierci, bierze na siebie straszliwą odpowiedzialność. Wynikiem tego usposobienia było, że gościńce wiodące do wiecznego miasta zaludniły się nieprzeliczoną mnogością złoczyńców. Aby podróżować z niejakim bezpieczeństwem, trzeba było być w przyjaźni z bandytami. Las Faggiola, który przecinała droga wiodąca do Neapolu przez Albano, był od dawna generalną kwaterą rządu wrogiego rządowi Jego Świątobliwości i niejedną raz Rzym zmuszony był traktować, jak równy z równym, z Markiem Sciarra, jednym z królów lasu. Siłę bandytów stanowiło to, że posiadali przychylność okolicznych wieśniaków.

Owo ładne miasteczko Albano, tak bliskie generalnej kwatery bandytów, dało życie w roku 1542 Helenie de Campireali. Ojciec jej uchodził za najbogatszego patrycjusza w okolicy, dzięki czemu zaślubił Wiktorię Carafa, dziedziczkę wielkich włości w Królestwie Neapolitańskim. Mógłbym przytoczyć starców, którzy żyją jeszcze, a którzy bardzo dobrze znali Wiktorię Carafa i jej córkę. Wiktoria była wzorem statku i rozumu; ale mimo swego wielkiego umysłu nie mogła zapobiec upadkowi rodziny. Rzecz osobliwa, okropnych nieszczęść, które będą smutnym przedmiotem mego opowiadania, nie można, jak sądzę, przypisać w szczególności żadnemu z ich aktorów, których przedstawię czytelnikowi: widzę nieszczęśliwych, ale zaiste nie mogę znaleźć winnych. Niezwykła piękność i tkliwa dusza młodej Heleny — oto były dwa wielkie niebezpieczeństwa. One to służyły za usprawiedliwienie dla Juliana Branciforte, jej kochanka; tępota monsignora Cittadini, biskupa z Castro, też może do pewnego stopnia być jej wymówką. Swój szybki awans po szczeblach godności duchownych zawdzięczał on swej poczciwości, a zwłaszcza swej wielce szlachetnej urodzie oraz najskończeniej<sup>3</sup> pięknej fizjonomii, jaką zdarza się spotkać. Czytałem o nim, że nie można go było ujrzyć, a nie pokochać.

Ponieważ nie chcę pochlebiać nikomu, nie będę ukrywał, że pewien święty mnich z klasztoru Monte Cavi, którego niejedną raz zdybano w celi wznoszącego się na kilka stóp ponad ziemię, jak św. Paweł, w ten sposób, iż nic prócz łaski bożej nie mogło go podtrzymać w tej niewygodnej pozycji<sup>4</sup>, przepowiedział panu Campireali, że jego ród wygaśnie wraz z nim i że będzie miał tylko dwoje dzieci, które oboje zginą gwałtowną śmiercią. Z przyczyny tej przepowiedni nie mógł znaleźć żony w swoich stronach i udał się szukać fortuny do Neapolu, gdzie miał istotnie to szczęście, iż znalazł wielki majątek i kobietę zdolną geniuszem swoim odmienić jego zły los, gdyby rzecz taka w ogóle była możliwa. Ów pan Campireali uchodził za poczciwego człowieka i czynił wielkie jałmużny; ale zgola był wyzuty z dowcipu, co sprawiło, iż stopniowo usunął się z Rzymu i spędzał w końcu cały prawie rok w swoim pałacu w Albano. Oddawał się uprawie swoich ziem, położonych na tej bogatej równinie, która się ciągnie pomiędzy miastem a morzem. Za radą żony wspaniale wychował syna swego, Fabia, młodzieńca bardzo dumnego ze swego urodzenia, oraz córkę Helenę, która była cudownie piękna, jak to można poznać jeszcze z jej portretu znajdującego się w zbiorach Farnese. Od czasu jak zacząłem pisać jej historię, zachodziłem do pałacu Farnese, aby oglądać śmiertelną powłokę daną od nieba tej kobiecie, której nieszczęścia narobiły w swoim czasie tyle hałasu i dotąd jeszcze zaprzę-

<sup>3</sup>najskończeniej (daw.) — najdoskonalej.

<sup>4</sup>mnich z klasztoru Monte Cavi, którego niejedną raz zdybano w celi wznoszącego się na kilka stóp ponad ziemię, jak św. Paweł, w ten sposób, iż nic prócz łaski bożej nie mogło go podtrzymać w tej niewygodnej pozycji — jeszcze dzisiaj ta wyjątkowa pozycja uważana jest przez lud Kampanii Rzymskiej za pewny znak świętości. Około roku 1826 widziano, jak pewien mnich z Albano wznosił się wielokrotnie nad ziemię wskutek łaski bożej. Przypisywano mu wiele cudów, przybiegano z dwudziestu mil wokoło, aby otrzymać jego błogosławieństwo; kobiety należące do najwyższych klas społeczeństwa widziały go, jak się utrzymuje nad ziemią na wysokości trzech stóp. Potem nagle znikł. [przypis autorski]

tają pamięć ludzką. Kształt głowy tworzy wydłużony owal, czoło bardzo rozległe, włosy ciemnoblonde. Fizjonomia raczej wesoła; miała duże oczy z głębokim wyrazem i kasztanowate brwi tworzące łuk o doskonałym rysunku. Wargi są bardzo cienkie: można by rzec, że zarys ust wykreślił słynny malarz Correggio. Oglądana wśród portretów otaczających ją w galerii Farnese, robi wrażenie królowej. Rzadka to rzecz, aby wesołość łączyła się z majestatem.

Spędziwszy osiem lat jako wychowanka w klasztorze wizytek w Castro, obecnie zburzonym, dokąd przeważnie posyłano córki magnatów rzymskich, Helena wróciła do domu; ale nim opuściła klasztor, ofiarowała wspaniały kielich na wielki ołtarz do kościoła. Ledwie wróciła do Albano, ojciec jej sprowadził z Rzymu, za znaczną pensję, słynnego poetę Cechino, wówczas bardzo sędziwego; ów wzbogacił pamięć Heleny najpiękniejszymi wierszami boskiego Wergiliusza, Petrarcki, Ariosta i Dantego, jego słynnych uczniów.

Tu tłumacz opuszczył długą rozprawę o rozmaitych stopniach chwały, jaką w XVI wieku przyznawano tym wielkim poetom. Zdaje się, że Helena umiała po łacinie. Wiersze, których ją uczono, mówiły o miłości, i to o miłości, która gdybyśmy ją spotkali w roku 1839, zdałaby się nam bardzo śmieszna; chcę rzec o miłości namiętnej, która się żywi wielkimi poświęceniami, może istnieć jedynie tajemnicą i zawsze sąsiaduje z najstraszliwymi nieszczęściami.

Miłość tragiczna

Taką była miłość, którą umiał obudzić w Helenie, wówczas ledwie siedemnastoletniej, Julian Branciforte. Był to sąsiad jej, bardzo ubogi; mieszkał w lichym domku w górach, o ćwierć mili od miasta, wśród ruin Alby, nad brzegiem przepaści wysokiej na sto pięćdziesiąt stóp, wyścielonej zielenią, która okalała jezioro. Domek ten, przylegający do posępnych i wspaniałych mroków lasu Faggiola, zburzono później, gdy wzniesiono klasztor Pallazuola. Ten ubogi młodzian miał na swą korzyść jedynie dziarską i zwinną postać oraz beztróskę, z jaką znosił biedę. Wszystko, co można było rzec o nim najlepszego, to iż rysy jego były wyraziste, choć niepiękne. Ale mówiono o nim, iż walczył dzielnie pod rozkazami księcia Colony wśród jego *bravi* w paru bardzo niebezpiecznych potrzebach. Mimo jego ubóstwa, mimo braku urody serce jego byłoby w oczach dziewcząt z Albano zdobyczą nader pochlebną. Mile witany wszędzie, Julian Branciforte znalazł jedynie miłostki, aż do chwili kiedy Helena wróciła z klasztoru w Castro. Kiedy wkrótce potem wielki poeta Cechino przeniósł się z Rzymu do pałacu Campireali, aby kształcić umysł tej młodej panienki, Julian, który go znał, wystosował doń łaciński utwór wierszem o szczęściu, jakie spotkało jego starość, że tak piękne oczy wlepiają się w jego oczy i że dusza tak czysta czuje się doskonale szczęśliwa, kiedy on raczy przychwalić jej myśli. Zazdrość i żal młodych dziewcząt, z którymi Julian przestawał przed przybyciem Heleny, udaremniła niebawem wszelkie ostrożności, jakie rozwijał, aby ukryć rodzącą się namiętność; jakoż wyznając, że ta miłość dwudziestodwuletniego młodzieńca i siedemnastoletniej panny objawiła się w sposób, którego rozsądek nie mógłby pochwalić. Trzy miesiące nie upłynęło, jak pan Campireali spostrzegł, że Julian Branciforte przechadza się zbyt często pod oknami jego pałacu (który istnieje jeszcze w połowie wielkiej ulicy wiodącej ku jezioru).

Obyczaj wóczas były szorstkie i szczerze, zgodne z wolnością republikańską; polor monarchii nie zdławił jeszcze gwałtownych namiętności. Widać to jasno z postępu pana Campireali. Tegoż dnia, w którym uderzyła go częsta obecność młodego Branciforte, ozwał się w te słowa:

— Jak ty śmiesz włóczyć się bez ustanku pod domem i zaglądać bezczelnie w okna mojej córki, ty, który nie masz nawet w co się odziać? Gdybym się nie obawiał, że sąsiedzi źle sobie wytłumaczą mój postępek, dałbym ci trzy cekiny, abyś poszedł do Rzymu kupić sobie przyzwoite ubranie. Przynajmniej moich oczu i oczu mojej córki nie obrażałby tak często widok twoich lachmanów.

Ojciec Heleny przesadzał zapewne: suknie młodego Branciforte to nie były lachmany; były sporządzone z bardzo prostego materiału; ale mimo że czyste i często szczotkowane, trzeba przyznać, że wygląd ich zdradzał długie użycie. Julian był tak strapiiony wymówkami pana Campireali, że nie pojawił się już za dnia pod domem.

Jak wspomnieliśmy, dwie arkady, szczątek starożytnego wodociągu, służące za główną ścianę domkowi wzniesionemu przez ojca Juliana i zostawionemu w spadku synowi, leżały o niespełna sześćset kroków od Albano. Aby się dostać do nowego miasta, Julian

musiał przechodzić koło pałacu Campireali; toteż Helena zauważyła rychło nieobecność tego szczególnego młodzieńca, który jak szeptały jej przyjaciółki, zerwał wszelkie inne stosunki, aby się cały oddać szczęściu patrzenia na nią.

Pewnego letniego wieczora, koło północy, okno Heleny było otwarte; młoda dziewczyna oddychała powiewem od morza, który bardzo dobrze było czuć na wzgórzu Albano, mimo że miasto dzieliła od morza równina szeroka na trzy mile. Noc była ciemna, panowała głęboka cisza; można było usłyszeć spadający listek. Helena, wsparta na oknie, myślała może o Julianie, kiedy ujrzała coś niby skrzydło nocnego ptaka, przesuwaną się z wolna tuż za oknem. Cofnęła się przestraszona. Nie przyszło jej na myśl, że przedmiotem tym mógł kierować jakiś przechodzień; okno jej, na drugim piętrze pałacu, wznosiło się przeszło na pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Naraz spostrzegła, że ten osobliwy przedmiot to bukiet, który w głębokiej ciszy przesuwa się tam i z powrotem przed oknem, o które się wspierała; serce zaczęło jej bić gwałtownie. Bukiet ten umieszczony był na końcu kilku związanych z sobą tyczek, trzciny podobnych do bambusu, które rosną w okolicach Rzymu i dają łodygi wysokie na dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Dość silny wiatr był przyczyną, iż słaba trzcina z trudnością zdołała utrzymać bukiet tuż pod oknem, w którym wedle przypuszczeń Juliana znajdowała się Helena; zresztą noc była tak ciemna, że z ulicy nie można było nic dojrzeć na takiej wysokości. Helena, która stała nieruchomo przy oknie, uczuła się mocno wzruszona. Wziąć ten bukiet, czyż to nie było wyznanie? Nie doznawała zresztą żadnego z uczuć, które tego rodzaju przygoda obudziłaby dziś w młodej panience z dobrego towarzystwa, przygotowanej do życia starannym wychowaniem. Ponieważ ojciec i Fabio znajdowali się w domu, pierwszą jej myślą było, że najmniejszy hałas spowodowałby wystrzał muszkietu wymierzony w Juliana; ulitowała się niebezpieczeństw, na jakie narażał się biedny młodzieniec. Drugą myślą było, iż mimo że go znała jeszcze bardzo mało, był on wszakże istotą, którą kocha najbardziej w świecie po własnej rodzinie. Wreszcie po chwili wahania wzięła bukiet. Dotykając kwiatów w głębokiej ciemności uczuła, że do łodygi przywiązany jest list; pobiegła na schody, aby go odczytać przy blasku lampki płonącej przed obrazem Madonny. „Niebaczna! — powiadała sobie, rumieniąc się ze szczęścia przy pierwszych słowach listu — jeśli mnie ktoś zobaczy, jestem zgubiona, a rodzina moja na wieki będzie prześladowała tego biednego młodzieńca.” Wróciła do pokoju i zapaliła lampkę. Była to rozkoszna chwila dla Juliana, który wstydząc się swego kroku i jakby chcąc się ukryć jeszcze, mimo ciemnej nocy, tulił się do olbrzymiego pnia dębu, jednego z owych drzew o dziwacznych kształtach, które dziś jeszcze rosną na wprost pałacu Campireali.

W liście swoim Julian opowiadał z najzupełniejszą prostotą upokarzającą połąjkę, jaka go spotkała ze strony ojca Heleny:

Jestem biedny, to prawda — ciągnął — niełatwo wyobraziłabyś sobie Pani bezmiar mego ubóstwa. Mam tylko swój dom, który może zauważyłaś koło ruin albańskiego wodociągu; przy domu ogródek, który sam uprawiam i z którego warzywo stanowi mą żywność. Mam jeszcze winnicę, wydzierżawioną za trzydzieści talarów rocznie. Nie wiem w istocie, czemu Cię kocham; to pewna, że nie mogę żądać, abyś dzieliła mą nędzę. A przecież, jeśli Ty mnie nie pokochasz, życie straci dla mnie wszelką wartość; zbyteczne mówić, że oddałbym je tysiąc razy dla Ciebie. A wszakże przed Twoim powrotem z klasztoru życie to nie było nieszczęśliwe; przeciwnie, wypełniały je najświetniejsze marzenia. Toteż mogę powiedzieć, że widok szczęścia uczynił mnie nieszczęśliwym. Z pewnością wówczas nikt w świecie nie ośmieliłby się rzec mi słów, którymi mnie splugawił Twój ojciec; sztylet mój wymierzyłby mi sprawiedliwość. Wówczas, przy mojej odwadze i broni, czułem się równy każdemu w świecie; niczego mi nie brakło. Obecnie wszystko bardzo się zmieniło; znam lęk. Za wiele tego pisania; może Ty mną gardzisz! Jeśli, przeciwnie, masz dla mnie nieco litości mimo ubogich sukien, które noszę, zauważysz, że co wieczora, kiedy północ dzwoni na wieży kapucynów na wzgórzu, znajduję się ukryty pod wielkim dębem, na wprost okna, w które patrzę ciągle, domyślając się, że to Twoje okno. Jeśli nie gardzisz mną, jak Twój ojciec, rzuć mi kwiat z tego bukietu, ale uważaj, aby się nie zahaczył o gzyms lub balkon Twego pałacu.



List ten odczytała Helena kilka razy; stopniowo oczy jej napełniły się łzami; patrzyła tkliwie na wspaniały bukiet, związany mocnym jedwabiem. Próbowwała wyrwać kwiat, ale nie mogła; zdjął ją lęk: dla młodej rzymianki wyrwać kwiat, uszkodzić bukiet będący darem miłości, znaczy narazić się, że ta miłość umrze. W obawie, aby się Julian nie zniecierpliwiał, pobiegła do okna; ale przyszło jej na myśl, że zbyt dobrze ją widać, ile że lampa napełniała pokój światłem. Nie wiedziała, na jaki gest się odważyć; miała uczucie, że każdy jest zbyt wymowny.

Zawstydzona, wróciła pędem do pokoju. Ale czas mijał; naraz przyszła jej myśl, która wprowadziła ją w nieopisane pomieszanie; Julian przypuści, że ona, jak ojciec, gardzi nim, bo jest ubogi! Ujrzała kawałek cennego marmuru, leżący na stole; obwiązała go chusteczką i rzuciła pod dąb na wprost okna. Następnie dała znak, aby się Julian oddalił; usłyszała, że spełnił jej wolę, gdyż odchodząc nie silił się już utaić szelestu kroków. Kiedy się znalazł na szczycie skał dzielących jezioro od ostatnich domostw w Albano, usłyszała piosenkę miłosną; przesłała mu, już śmieiej, znak pożegnania, po czym jęła na nowo odczytywać list.

Nazajutrz i dalszych dni znowu listy i podobne schadzki; że jednak w wiosce włoskiej nic nie ujdzie bacznosci, zwłaszcza że Helena była najbogatszą dziedziczką w okolicy, ostrzeżono pana Campireali, że co wieczór o północy widać światło w pokoju jego córki; że — rzecz o wiele osobliwsza — okno jest otwarte, a nawet Helena stoi w nim, tak jakby się zgoła nie lękała *zinzare* (rodzaj dokuczliwych komarów, które psują najładniejsze wieczory w Campagna Romana). Tu muszę na nowo prosić czytelników o pobłażliwość. Kiedy ktoś chce poznać zwyczaje obcego kraju, musi być przygotowany na pojęcia bardzo dziwaczne, bardzo różne od naszych. Pan Campireali narządził dwa muszkiety, swój i swego syna. Wieczorem, kiedy wybiło trzy kwadranse na dwunastą, uprzedził Fabia i obaj wśliznęli się najciszej na kamienny balkon na pierwszym piętrze, tuż pod oknem Heleny. Lita balustrada osłaniała ich do pasa, w razie gdyby ktoś z dołu zechciał wygarnąć z muszkietu w tę stronę. Północ wybiła; usłyszeli szelest pod drzewami; ale co ich napełniło zdumieniem, światło w oknach Heleny nie pojawiło się. Dziewczyna ta, dotąd prosta i żywa jak dziecko, zmieniła się zupełnie, odkąd kochała. Wiedziała, że najmniejsza nierozwaga naraża życie ukochanego; gdyby taki możny pan jak jej ojciec zabił biedaka takiego jak Julian Branciforte, wystarczyłoby mu potem zniknąć na trzy miesiące, które spędziłby w Neapolu; przez ten czas przyjaciele w Rzymie załagodziliby sprawę i wszystko skończyłoby się ofiarowaniem lampy za kilkaset talarów na ołtarz modnej w tej chwili Madonny. Rano przy śniadaniu Helena poznała z fizjonomii ojca, że jest mocno pogniwany; ze spojrzeń zaś, jakie na nią rzucał ukradkiem, odgadła, że to ona jest przyczyną gniewu. Natychmiast pobiegła przyprószyć nieco kurzem drzewce dwóch wspaniałych muszkietów wiszących nad łóżkiem ojcowskim. Posypała również lekką warstwą kurzu pugiwały i szpady. Cały dzień okazywała szaloną wesołość, biegała po domu po wszystkich piętrach, gotowa ostrzec Juliana, w razie gdyby miała szczęście go ujrzeć. Ale nie było nadziei. Biedny chłopiec tak był upokorzony połajanką bogatego pana, że w dzień nigdy nie zjawiał się w Albano; obowiązek jedynie sprowadzał go w niedzielę na mszę do parafialnego kościoła. Matka Heleny, która ją ubóstwiała i nie umiała jej niczego odmówić, wyszła z nią trzy razy tego dnia, ale na próżno; Helena nie spotkała Juliana. Była w rozpacz. Cóż się z nią działo, kiedy wieczorem, oglądając broń ojcowską, ujrzała, że muszkiety są nabite i że prawie wszystkie pugiwały i szpady poruszano! Od śmiertelnego niepokoju odrywało ją jedynie pilne baczenie, aby nie okazać, że się czegoś domyśla. Idąc do siebie o dziesiątej wieczór, zamknęła na klucz drzwi wychodzące na przedpokój matczyny; po czym przycupnęła przy oknie, leżąc na podłodze, tak aby jej nikt nie mógł spostrzec z zewnątrz. Można sobie wyobrazić, z jakim lękiem słuchała bijących godzin; nie było już mowy o wyrzutach, jakie sobie czyniła często, iż tak szybko pokochała Juliana, co mogło obniżyć jej cenę w jego oczach. Ten dzień posunął sprawy młodego człowieka bardziej niż pół roku stałości i zakłęb. „Po co kłamać? — powiadała sobie Helena. — Czyż go nie kocham całą duszą?”

O wpół do jedenastej Helena ujrzała wyraźnie brata i ojca, jak się czają na kamiennym balkonie pod jej oknem. W dwie minuty po tym, jak północ wybiła w klasztorze kapucynów, usłyszała równie wyraźnie kroki kochanka, który zatrzymał się pod dębem. Spozstrzegła z radością, że ojciec i brat jak gdyby nic nie słyszeli; trzeba było lęku zako-

chanego serca, aby usłyszeć szelest tak lekki. „Teraz — powiadała sobie — zabiją mnie, ale trzeba za wszelką cenę, aby nie dostali w ręce dzisiejszego listu; prześladowaliby do ostatniego tchu biednego Juliana.” Przeżegnała się i trzymając się jedną ręką żelaznej balustrady, wychyliła się, ile tylko mogła, na ulicę. Nie upłynęło ćwierć minuty, a bukiet, przymocowany jak zwykle do długiej trzciny, trącił ją w ramię. Chwyliła bukiet, ale odczepiając go żywo od żerdki, na której był umieszczony, trąciła tą żerdką o balkon. Natychmiast rozległy się dwa strzały, po czym zaległa cisza. Fabio, nie wiedząc w ciemności, czy to, co uderzyło o balkon, to nie był sznur, za pomocą którego Julian schodzi od siostry, dał ognia w stronę jej balkonu; nazajutrz znalazła ślad kuli splaszczonej na żelazie. Pan Campireali strzelił w dół, gdyż Julian uczynił lekki hałas, przytrzymując padającą żerdkę. Słyszając huk nad głową Julian odgadł, co się święci, i ukrył się pod balkonem.

Fabio szybko nabił ponownie muszkiet i nie oglądając się na ojca pobiegł do ogrodu. Otworzył cicho furtkę wychodzącą na sąsiednią ulicę i skradając się na palcach zaczął przepatrywać nieliczne osoby przechadzające się pod balkonem. W tej chwili Julian, który tego wieczora był z silną eskortą, znajdował się o dwadzieścia kroków, przytulony do drzewa. Helena, wychylając się z okna i drżąc o kochanka, zaczęła głośną rozmowę z bratem, którego głos usłyszała na ulicy: spytała go, czy zabił złodzieja.

— Nie sądz, że mnie oszukasz swym piekielnym podstępem! — krzyknął z ulicy, którą przebiegał wzdłuż i wszerz — oplakuj zawczasu śmierć zuchwalca, który się ważył sięgnąć do twego okna.

Ledwie wyrzekł te słowa, Helena usłyszała, że matka puka do pokoju.

Otworzyła czym prędzej, powiadając, że nie pojmuje, jakim cudem drzwi są zamknięte.

— Bez komedii, drogi aniele — rzekła matka — ojciec jest wściekły i może cię zabić; chodź się ze mną położyć do łóżka, a jeżeli masz jaki list, daj mi go, ja schowam.

Helena rzekła:

— Oto bukiet, list ukryty jest w kwiatach.

Zaledwie obie kobiety znalazły się w łóżku, kiedy pan Campireali wszedł do pokoju żony. Przybywał z kaplicy, gdzie wszystko poprzewracał. Uderzyło Helenę to, że ojciec, błady jak upiór, działa z wolna, jak człowiek, który powziął stanowcze postanowienie. „Zginęłam!” — rzekła sobie Helena.

— Cieszymy się, że mamy dzieci — rzekł ojciec przechodząc obok łóżka żony, aby się udać do pokoju córki, trzęsąc się z wściekłości, ale udając zupełny spokój. — Cieszymy się, że mamy dzieci, ale raczej powinniśmy płakać krwawymi łzami, kiedy dziecko okaże się dziewczyną. Wielki Boże! Czy podobna? Płochosc ich może pozbawić honoru człowieka, na którego od sześćdziesięciu lat nie padł nawet najłżejszy cień.

Mówiąc to przeszedł do pokoju córki.

— Zgubiona jestem — rzekła Helena do matki — listy są pod krucyfiksem koło okna.

Natychmiast matka wyskoczyła z łóżka i pobiegła za mężem; jęła wykrzykiwać największe androny, aby wywołać jego gniew, udało się to jej najzupełniej. Starzec wściekał się, łamał w pokoju córki wszystko, ale matka mogła zabrać niepostrzeżenie listy. W godzinę później, kiedy pan Campireali wrócił do swego pokoju, obok pokoju żony, i kiedy wszystko się uspokoiło, matka rzekła:

— Masz swoje listy, nie chcę ich czytać, widzisz, ile nas o mało nie kosztowały! Na twoim miejscu spaliłabym je. Dobranoc, uściskaj mnie.

Helena wróciła do siebie, zalewając się łzami, miała uczucie, że od tych słów matki nie kocha już Juliana. Następnie gotowała się spalić listy, ale nim je wydała zniszczeniu, nie mogła się wstrzymać, aby ich nie przeczytać. Odczytywała je tak długo, iż słońce było już wysoko na niebie, kiedy wreszcie namyśliła się iść za zbawienną radą.

Nazajutrz, była to niedziela, Helena udała się z matką do kościoła; szczęściem ojciec nie poszedł za nimi. Pierwszą osobą, którą spostrzegła w kościele, był Julian. Jednym spojrzeniem upewniła się, że nie jest ranny. Czuli się szczęśliwi bez granic; przygody nocne były o tysiąc mil od jej pamięci. Sporządziła pięć albo sześć bilecików skreślonych na strzępach starego papieru, zdeptanego i zbrudzonego mokrą ziemią, jakie można znaleźć na posadzce w kościele, wszystkie zawierały to samo ostrzeżenie:

Córka, Ojciec, Matka,  
Miłość tragiczna, Honor

Wszystko odkryte, wyjąwszy nazwiska. Nie pojawiaj się już na ulicy; będę tu przechodziła często.

Helena upuściła świstek spoglądając znacząco w stronę Juliana, który podniósł go i wyszedł. Wracając do domu w godzinę później znalazła na schodach pałacowych strzępek papieru, uderzył ją pełnym podobieństwem z tymi, którymi posłużyła się rano. Podniosła go tak zrećnie, że nawet matka nic nie zauważyła, i przeczytała:

Za trzy dni ktoś wróci z Rzymu, dokąd musi się udać. Będzie śpiewał w biały dzień w dni targowe, wśród zgielku, około dziesiątej rano.

Ten wyjazd zdziwił Helenę. „Czyżby się lękał muszkietu Fabia?” — powiadała sobie ze smutkiem. Miłość wybaczy wszystko, wyjąwszy dobrowolne oddalenie; bo też to jest największa męczarnia. Miast płynąć w słodkim marzeniu, wypełnione rozpamiętywaniem uroków kochanka, życie staje się wówczas pastwą okrutnego wątpienia. „Ale czy to możliwe, aby on mnie już nie kochał?” — powiadała sobie Helena przez trzy długie dni, które trwała nieobecność Juliana. Naraz miejsce zgryzoty zajęła szalona radość: trzeciego dnia ujrzała go w samo południe przechadzającego się pod pałacem jej ojca. Miał na sobie nowe suknie, prawie wspaniałe. Nigdy szlachetna jego postawa oraz dziarska fizjonomia nie jaśniały żywszym blaskiem; nigdy też nie mówiono tyle co tego dnia o ubóstwie Juliana. Mężczyźni, a zwłaszcza młodzi ludzie, mówili o nim z przekąsem; kobiety, a zwłaszcza młode dziewczęta, zachwyciły się jego wspaniałą postacią.

Cały dzień Julian przechadzał się po mieście; zdawałoby się, że chce sobie wynagrodzić owe miesiące zamknięcia, na które skazało go ubóstwo. Jak przystało człowiekowi zakochanemu, Julian był dobrze uzbrojony pod swoim nowym ubraniem. Oprócz sztyletu i pugiuału miał swoje *giacco* (rodzaj długiej kamizelki ze stalowej siatki; bardzo jest niewygodna, ale leczy włoskie serca ze smutnej choroby, która dręczyła je w owych czasach; mam na myśli obawę, aby nie paść na rogu ulicy z ręki wroga). Tego dnia Julian miał nadzieję ujrzeć Helenę; mierziło go przy tym trochę zostać samemu w pustym domu, oto dlaczego Ranucy, dawny żołnierz jego ojca, odbywszy z nim dziesięć kampanii w oddziałach rozmaitych *condottieri*<sup>5</sup>, na końcu w oddziale Marka Sciarra, nie opuścił swego kapitana, kiedy go rany zmusiły do porzucenia służby. Kapitan Branciforte miał przyczyny, aby się trzymać z dala od Rzymu: narażał się na spotkanie synów ludzi, których zabił; nawet w Albano nie miał ochoty wydać się na łaskę władz. Zamiast kupić lub nająć domek w mieście, wolał raczej zbudować go sobie w sposób taki, aby z daleka widzieć każdego nadchodzącego. Znalazł w ruinach Alby cudowne miejsce; nie będąc spostrzeżonym przez nowoczesnych gości, można było schronić się w las, gdzie władca dawny jego przyjaciel i wódz, Fabrycy Colonna. O przyszłość syna kapitan Branciforte nie troszczył się zgoła. Kiedy się wycofał ze służby, mając dopiero pięćdziesiąt lat, ale podziurawiony jak sito, obliczył, że może jeszcze żyć jakieś dziesięć lat; jakoż po zbudowaniu domu wydawał co roku dziesiątą część tego, co zebrał z grabieży, w których miał zaszczyt brać udział.

Kupił ową winnicę, która dawała synowi trzydzieści talarów rocznie; była to odpowiedź na przycinek pewnego obywatela z Albano, który kiedy kapitan coś rozprawiał o interesach i o chwale tego miasta, zauważył, że śmieszne jest, aby taki chudeusz dawał rady osiadłym albańczykom! Kapitan kupił winnicę i zapowiedział, że kupi więcej; po czym, spotkawszy owego kpiarza w ustronnym miejscu, zastrzelił go z pistoletu.

Po ośmiu latach takiego życia kapitan umarł; adiutant jego, Ranucy, ubóstwiał Juliana; mimo to, znużony bezczynnością, wrócił do służby u księcia Colonna. Często zachodził odwiedzać *syna swego, Juliana* (takie mu dawał miano); w wigilię niebezpiecznego

<sup>5</sup>*condottiere* — kondotier, we Włoszech w okresie renesansu dowódca oddziału najemnego wojska na służbie miasta albo księcia.

szturmu, któremu księżę miał stawić czoło, w fortecy Petrella, zabrał Juliana, aby walczył przy jego boku. Widząc jego odwagę rzekł:

— Tyś chyba szalony, i co więcej, bardzo naiwny, aby gnić pod Albano jak najlichszy z mieszcuchów, gdy przy tym, coś nam tu pokazał, i przy nazwisku swego ojca mógłbyś być u nas świetnym *avventuriere*<sup>6</sup> i co więcej, zrobić majątek.

Słowa te dręczyły Juliana. Umiał on nieco po łacinie od pewnego księdza; że jednak ojciec Juliana drwił sobie, poza łaciną, ze wszystkiego, co ksiądz mówił, nie miał ani odrobiny wykształcenia. W zamian za to, wzgardzony dla swego ubóstwa, żyjąc samotnie w ustronnym domku, wytworzył sobie pewną filozofię, która śmiałością swoją zdumiałaby uczonych. Zanim na przykład pokochał Helenę, sam nie wiedząc czemu, ubóstwiał wojnę, ale miał wstręt do grabieży; w oczach zaś jego ojca i Ranucego grabież była niby wesola krotochwila, którą się daje w teatrze po szlachetnej tragedii. Od czasu jak kochał Helenę, poglądy te stanowiły udrękę Juliana. Ta dusza, wprzód tak niefrasobliwa, nie śmiała się nikogo radzić w swych wątpliwościach, przepelniona była miłością i smutkiem. Cóż by powiedział pan Campireali, gdyby wiedział, że on jest *avventuriere*? Dopiero miałby prawo obsypać go słusznymi wyrzutami! Julian zawsze liczył na żołnierkę jako na pewną ucieczkę, w porze gdy już spienięży łańcuchy i inne klejnoty znalezione w żelaznej szkatule ojcowskiej. Jeżeli Julian nie miał żadnego skrupułu, aby wykraść, mimo swego ubóstwa, córkę bogatego pana Campireali, to dlatego że w owej epoce ojciec rozrządzał w testamencie swoim mieniem, jak mu się podobało, i że pan Campireali mógł doskonale zostawić córce tysiąc talarów całego majątku. Inny problem zaprzętał głęboko wyobraźnię Juliana: *primo*, w jakim mieście osadzi młodą żonę, skoro ją zaślubi i wykradnie ojcu? *Secundo*, skąd weźmie pieniędzy na jej utrzymanie?

Kiedy pan Campireali rzucił mu w twarz krwawe słowa, które go tak poruszyły, Julian był przez dwa dni pastwą wściekłości i bólu; nie mógł się zdecydować ani na to, aby zabić zuchwałego starca, ani aby go zostawić przy życiu. Całe noce płakał, wreszcie postanowił się poradzić Ranucego, jedynego przyjaciela, jakiego miał w świecie; ale czy go ten przyjaciel zrozumie? Najpierw szukał Ranucego po całym lesie Faggiola; trzeba mu było udać się na gościniec neapolitański, poza Velletri, gdzie Ranucy dowodził zasadzką: oczekiwał tam w licznej kompanii Ruiza d'Avalos, hiszpańskiego generała, który się wybierał do Rzymu łądem, niepomyślnie, że niegdyś w licznej kompanii wyraził się wzgardliwie o awanturkach księcia Colonna. Kapelan jego przypomniał mu bardzo w porę tę drobną okoliczność, wskutek czego Ruiz d'Avalos uzbroił barkę i puścił się morzem.

Wysłuchawszy opowieści Juliana, Ranucy rzekł:

— Opisz mi dokładnie tego jegomościa Campireali, iżby jego grubiaństwo nie kosztowało życia jakiego poczciwego mieszkańca Albano. Z chwilą gdy sprawa, która nas tu trzyma, zakończy się tak czy owak, udasz się do Rzymu, gdzie pamiętaj pokazywać się po gospodach i innych publicznych miejscach, ile tylko zdołasz; nie trzeba, aby cię ktoś mógł podejrzewać, zwłaszcza iż wiesz, że kochasz jego córkę.

Julian z trudnością zdołał uspokoić gniew ojcowskiego druha. W końcu sam musiał wybuchnąć:

— Czy ty myślisz, że mnie chodzi o twoją szpadę? — rzekł. — Zdaje mi się, że i ja mam szpadę! Chcę od ciebie mądrej rady.

Ranucy wciąż wracał do swego:

— Jesteś młody, nigdyś nie był ranny; zniewaga była publiczna; otóż mężczyznę zhańbionym gardzą nawet kobiety.

Julian odpowiedział, że jeszcze się poradzi w tej mierze swego serca. Mimo nalegań Ranucego, który koniecznie chciał go wciągnąć do napaści na hiszpańskiego generała, „przy czym — powiadał — można nabyć chwałę, nie licząc dukatów”, Julian wrócił sam do swego domku. Tam to w wilię dnia, w którym pan Campireali wygarnął doń z muszkietu, odwiedzili Juliana Ranucy i jego kapral, obaj z powrotem z Velletri. Ranucy użył przemocy, aby zajrzeć do szkatułki, gdzie jego zwierzchnik, kapitan Branciforte, chował niegdyś złote łańcuszki i inne kosztowności, o ile nie uważał za stosowne wydać ich zaraz po wyprawie. Znalazł tam dwa talary.

— Radzę ci zostać mnichem — rzekł do Juliana — masz po temu wszystkie cnoty:

Ksiądz

<sup>6</sup>*avventuriere* — tu: przygodny żołnierz.

miłość ubóstwa, a oto dowód; pokorę, bo pozwalasz się lżyć w biały dzień bogaczowi z Albano; brak ci jedynie obłudy i łakomstwa.

Ranucy włożył przemocą do szkatułki pięćdziesiąt dukatów.

— Daję ci moje słowo — rzekł — że jeśli do miesiąca pan Campireali nie będzie pogrzebany ze wszystkimi honorami należnymi jego urodzeniu i dostatkom, tu obecny kapral przybędzie z trzydziestoma ludźmi, aby zburzyć twój domek i spalić twoje mizerne rzeczy. Nie ścierpię, aby pod pozorem miłości syn kapitana Branciforte grał w świecie rolę durnia.

Owej nocy, kiedy pan Campireali i jego syn strzelili z muszkietów, Ranucy i jego kapral byli na czatach pod balkonem. Julian ledwie zdołał ich powstrzymać, aby nie zabili lub bodaj nie porwali Fabia, wówczas gdy — jak opowiedzieliśmy wyżej — wypadł nieroztropnie na ulicę przez ogród. Argument, który uspokoił Ranucego, był następujący: nie godzi się zabijać młodego człowieka, który może jeszcze na coś wyrósć<sup>7</sup> i stać się użyteczny, gdy jest starszy grzesznik, winniejszy od niego i dobry już tylko na to, aby go pochować.

Nazajutrz po tej przygodzie Ranucy zaszył się w lasach, a Julian udał się do Rzymu. Uciechę, której doznał, kupując piękne ubranie za dukaty Ranucego, mąciła okrutnie ta myśl, bardzo niezwykła w owej epoce i zwiastująca wysokie losy, które go czekały; powiadał sobie: „Helena musi się dowiedzieć, kim jestem.” Każdy inny mężczyzna w jego wieku i za jego czasów myślałby jedynie o tym, aby nasycić swoją miłość i wykraść Helenę, nie troszcząc się w żaden sposób o to, co się z nią stanie w pół roku później, ani też o mniemanie, jakie o nim zachowa.

Wróciwszy do Albano tego samego dnia, w którym obnosił wszędzie piękne ubranie przywiezione z Rzymu, Julian dowiedział się przez starego Scottiego, swego przyjaciela, że Fabio wyjechał konno do majątku, który ojciec posiadał o trzy mile stąd, nad morzem. Później zobaczył, iż pan Campireali idzie w towarzystwie dwóch księży ku wspaniałej alei dębowej; aleja ta okala brzeg krateru, na którego dnie leży jezioro Albano. W dziesięć minut później stara kobieta weszła śmiało do pałacu Campireali zachwalając owoce na sprzedaż; pierwszą osobą, którą spotkała, była Marieta, zaufana Heleny. Helena zarumieniła się po białka, otrzymując piękny bukiet. List w bukiecie był niezwykle długi; Julian opowiedział wszystko, czego doświadczył od owej burzliwej nocy; ale pod wpływem szczególnego wstydu nie śmiał wyznać tego, z czego każdy inny młodzieniec za jego czasów byłby tak dumny, a mianowicie, że jest synem junaka słynnego z przygód i że on sam odznaczył się już w niejednej potrzebie. Wciąż zdawało mu się, że słyszy, co by na to rzekł stary Campireali. Trzeba wiedzieć, że w szesnastym wieku młode dziewczyny, bliższe rozsądku republikańskiego, o wiele bardziej ceniły człowieka za to, czego dokonał sam, niż za bogactwa jego rodziny lub sławne czyny przodków. Ale pojęcia te miały zwłaszcza dziewczęta z ludu, panny z zamożnych lub szlacheckich domów lękały się rozbójników i — rzecz zupełnie naturalna — miały w estymie szlachectwo i dostatek. Julian zakończył tymi słowy:

Nie wiem, czy przyzwoite suknie, które przywiozłem z Rzymu, pozwolą Ci zapomnieć zniewagi, którą osoba posiadająca Twój szacunek zbezczeszczyła mnie niegdyś z powodu mego mizernego wyglądu; mogłem się zemścić, honor mi to nakazywał; nie uczyniłem tego przez wzgląd na lży, jakie moja zemsta wycisnęłaby ubóstwianym oczom. To może Ci dowiedzie — jeśli na me nieszczęście wątpiłabyś jeszcze — że można być biednym, a mieć szlachetne uczucia. Poza tym mam Ci wyznać straszliwą tajemnicę; z największą łatwością przysłoby mi ją zwierzyć wszelkiej innej kobiecie, ale — nie wiem czemu — drżę, kiedy ją mam wyznać Tobie. Może ona w jednej chwili zniweczyć Twoją miłość; nie wystarczyłoby mi żadne zaklęcie. Chcę czytać w Twoich oczach wrażenie, jakie sprawi to wyznanie. W najbliższych dniach, skoro noc zapadnie, spotkam się z Tobą w ogrodzie za pałacem. Tego dnia Fabia i ojca nie będzie w domu; kiedy zyskam pewność, iż mimo ich wzgardę dla licha odzianego młodzieńca nie zdołają nam przerwać trzech kwadransów lub godziny rozmowy, zjawi się pod oknami człowiek pokazujący dzieciakom ulicznym oswojonego

<sup>7</sup>wyrósć (daw.) — wyrosnąć.

lisa. Następnie, kiedy wydzwonią *Anioł Panski*, usłyszysz w oddali strzał z muszkietu; wówczas zbliż się do ogrodowego muru; jeśli nie będziesz sama, zaśpiewaj. O ile nic nie przerwie ciszy, niewolnik Twój zjawi się drżący u Twoich stóp i opowie Ci rzeczy, które może Cię przejść zgrozą. Oczekując tego rozstrzygającego i strasznego dla mnie dnia, nie osmielę się podać Ci już bukietu o północy; ale koło drugiej w nocy przejdę śpiewając, a Ty stojąc na balkonie upuścisz może kwiat uszczknięty Twą ręką. Będą to może ostatnie znaki przychylności, jakich użyjesz nieszczęśliwemu Julianowi.

W trzy dni później ojciec i brat Heleny udali się konno do majątku nad morzem; mieli stamtąd wyruszyć tuż przed zachodem słońca, aby być z powrotem koło drugiej. Ale gdy chcieli wyjeżdżać, nie tylko ich dwa konie, ale wszystkie konie na folwarku znikły. Zdziwieni tą zuchwałą kradzieżą szukali koni, które znaleźli dopiero nazajutrz w lesie nad morzem. Panowie Campireali musieli wracać do Albano na chłopskim wozie zaprzężonym w woły.

Kiedy tego wieczora Julian znalazł się u kolan Heleny, było prawie zupełnie ciemno. Biedna dziewczyna była szczęśliwa z tej ciemności; pierwszy raz była w towarzystwie tego człowieka, którego kochała tkliwie, który to wiedział, ale z którym nigdy nie wymieniła ani słowa.

Jedno spostrzeżenie dodało jej nieco odwagi: Julian był bardziej blady i drżący od niej. Widziała go u swoich kolan.

— Doprawdy, nie jestem w stanie mówić — rzekł do niej.

Mieli kilka chwil bardzo szczęśliwych: patrzyli na siebie, ale nie mogli wymówić słowa, nieruchomi jak pełna wyrazu grupa z marmuru. Julian klęczał trzymając Helenę za rękę; ona z pochyloną głową przyglądała mu się ze skupieniem.

Julian wiedział, że w myśl rad przyjaciół, młodych rozpustników rzymskich, powinien był pokusić się o coś; ale wzdrzgnął się przed tą myślą. Ze stanu ekstazy, najwyższego szczęścia, jakie może dać miłość, obudziła go ta myśl: czas uchodzi szybko, ojciec i brat zbliżają się do pałacu. Uczuł, iż przy swoich skrupułach nie zazna trwałego szczęścia, póki nie uczyni owego strasznego wyznania, które jego rzymskim przyjaciołom zdawałoby się ciężką głupotą.

— Wspomniałem ci o wyznaniu, którego może nie powinien bym czynić — rzekł wreszcie. Zbladł mocno; dodał z trudem, jak gdyby brakło mu oddechu: — Może sprawię, iż pierzchną te uczucia, których nadzieja jest moim życiem. Sądzisz, że jestem biedny; to nie wszystko: *jestem bandytą i synem bandyty*.

Na te słowa Helena, córka bogacza i żywiąca wszystkie obawy swej kasty, uczuła, że mdleje; bała się, że upadnie. „Jakie by to było straszne dla biednego Juliana! — pomyślała. — Przypuści, że nim gardzę. Był u jej kolan. Aby nie upaść, oparła się o niego; niebawem padła bezprzytomna w jego ramiona. Jak czytelnik widzi, w szesnastym wieku lubiano w historiach miłosnych dokładność; a to dlatego że nie sądzono ich rozumem, ale odczuwano wyobraźnią, a uczucia czytelnika zlewały się z uczuciami bohaterów. Dwa rękopisy, z których czerpie, a zwłaszcza ten, który zawiera pewno zwroty właściwe dialektowi florenckiemu, podają najszczegółowiej historię wszystkich schadzek, które nastąpiły. Niebezpieczeństwo tłumilo w młodej dziewczynie wyrzuty. Często niebezpieczeństwa były ogromne, ale jedynie rozpały one te dwa serca, dla których wszystkie wzruszenia płynące z ich miłości były szczęściem. Niejeden raz Fabio i jego ojciec omal ich nie zaskoczyli. Byli wściekli, sądząc, że z nich zadrwiono; głos publiczny powiadał im, że Julian jest kochankiem Heleny, a mimo to nic nie mogli dostrzec. Fabio, młodzieniec porywczy i dumny, namawiał ojca, aby kazać zabić Juliana.

— Póki on będzie na świecie — powiadał — życie siostry znajduje się w strasznym niebezpieczeństwie. Kto nam zaręczy, że w pierwszym momencie honor nie zmusi nas do ubroczenia rąk w krwi tej zatwardziałej? Doszła do tego zuchwalstwa, że nie zapiera się już swej miłości; widziałeś, ojczu, że na twoje wyrzuty odpowiada jedynie tępym milczeniem; wierzaj, to milczenie jest wyrokiem śmierci na Juliana Branciforte.

— Pomyśl, kim był jego ojciec — odpowiadał pan Campireali. — Oczywiście, nic łatwiejszego dla nas niż udać się na pół roku do Rzymu, a przez ten czas Branciforte

zniknie. Ale kto nam zaręczy, czy jego ojciec, który mimo swych zbrodni był człkiem dzielnym i szczodrym, szczodrym tak, że z bogacił wielu swych żołnierzy, a sam został biedny, kto nam zaręczy, że jego ojciec nie ma jeszcze przyjaciół, czy to w kompanii księcia Monte Mariano, czy w kompanii księcia Colonna, który często obozuje w lasach Faggiola, o pół mili od nas. W takim razie wymordowano by nas bez pardonu, mnie, ciebie, może i twoją nieszczęśliwą matkę.

Te częste rozmowy ojca z synem niezupełnie były obce Wiktorii Carafa, matce Heleny, i doprowadziły ją do rozpacz. Wynikiem dyskusji między Fabiem a ojcem było, iż niegodne jest ich honoru cierpieć spokojnie pogłoski obiegające w Albano. Skoro nie było bezpieczne sprzątnąć młodego Branciforte, który z każdym dniem stawał się zuchwalszy i co więcej, ubrany obecnie we wspaniałe szaty, posuwał bezczelność do tego stopnia, iż publicznie zagadywał Fabia lub nawet samego pana Campireali, trzeba było obrać jedną z tych decyzji, a może obie razem: wrócić na stałe do Rzymu, oddać Helenę do klasztoru wizytek, iżby tam została, aż się znajdzie dla niej odpowiednia partia.

Nigdy Helena nie wyznała swej miłości matce; matka i córka kochały się tkliwie i żyły z sobą najserdeczniej, a mimo to nie padło ani jedno słowo w przedmiocie, który prawie jednak je zaprzętał. Ten jedyny niemal przedmiot ich myśli pierwszy raz wyraził się w słowach, gdy matka wspomniała córce, że jest zamiar przeniesienia się do Rzymu, a może i odesłania jej na kilka lat do klasztoru w Castro.

Zwierzanie to było ze strony Wiktorii Carafa wielkim nierozsądkiem; usprawiedliwić je może jedynie bezmierna czułość dla córki. Helena, oszalała miłością, chciała dowieść kochankowi, że się nie wstydy jego ubóstwa i że zaufanie jej do jego honoru jest bez granic. „Kto by uwierzył? — wykrzykuje autor florenckiego rękopisu. — Po tylu schadz- kach tak zuchwałych i tak igrających z okrutną śmiercią, schadz- kach, które odbywały się w ogrodzie, a nawet parę razy we własnym pokoju, Helena była czysta!” Silna swą cnotą, ofiarowała kochankowi, że się z nim wymknie koło północy przez ogród i że spędzą noc w domku w ruinach Alby, o ćwierć mili od pałacu. Przebrali się za mnichów zakonu św. Franciszka. Helena była słusznego wzrostu; w przebraniu tym wyglądała na młodego, osiemnasto- lub dwudziestoletniego braciszka. Rzecz nie do wiary niemal i znamionują- ca wyraźnie palec boży, to iż na wąskiej dróżce wyrąbanej w skale i biegnącej pod samym murem kapucynów Julian i jego kochanka, przebrani za mnichów, spotkali pana Campi- reali i syna jego, Fabia, którzy w orszaku czterech dobrze uzbrojonych sług, mając przed sobą pają z zapalonymi pochodniami, wracali z Castel Gandolfo, miasteczka położonego w pobliżu nad jeziorem. Aby przepuścić kochanków, obaj Campireali i ich ludzie ustawili się po obu stronach tej drogi szerokiej może na osiem stóp. Jakimż byłoby szczęściem dla Heleny, gdyby ją poznano! Zginęłyby od kuli z ręki ojca lub brata, męka jej trwałaby tylko chwilę; ale niebo zrzędziło inaczej (*superis aliter visum*).

Dodają jeszcze jeden szczegół tego osobliwego spotkania, który pani Campireali, do- żywszy późnej starości, niemal stuletnia, opowiadała jeszcze niekiedy w Rzymie w przy- tomności poważnych osób, które, również sędziwe, powtórzyły mi go, kiedy moja nie- nasycona ciekawość wypytywała je w tym przedmiocie, a także w wielu innych. Fabio Campireali, młodzieniec hardy swą odwagą i niosący się bardzo górną, zauważywszy, że młody mnich nie pozdrowił ani ojca, ani jego, wykrzyknął:

— A to mi ladaco mniszek hardy! Bóg ich wie, co oni tam obaj idą robić za klasztorem o tak późnej godzinie! Miałbym diabłą ochotę uchylić im kapturów, zobaczylibyśmy ich miny!

Na te słowa Julian ścisnął pugnał pod habitem i przeszedł między Fabia i Hele- nę. Znalazł się od Fabia o niecałą stopę; ale niebo zrzędziło inaczej i uśmierzyło cudem wściekłość dwóch młodzieńców, którzy niebawem mieli spotkać się z tak bliska.

W procesie, który później wytoczono Helenie Campireali, chciano przedstawić tę nocną wyprawę jako dowód zepsucia; był to obłęd młodego serca płonącego szaloną mi- łością, ale to serce było czyste.

### III

Trzeba wiedzieć, że Orsiniowie, wiekuiści współzawodnicy Colonnów i wszechpotężni wówczas w okolicy Rzymu, kazali świeżo trybunałom skazać na śmierć bogatego rolni-

Miłość, Ucieczka,  
Poświęcenie, Przebranie

ka, Baltazara Bandini, rodem z Petrella. Zbyt długo by wymieniać tu występki, o które obwiniano Bandiniego: większość z nich byłaby zbrodnią dziś, ale nie można ich oceniać równie surowo w roku 1559. Bandiniego uwięziono w zamku Orsinich, położonym w górach od strony Valmontone, o sześć mil od Albano. *Bargello* rzymski w orszaku stu pięćdziesięciu zbirów<sup>8</sup> zjawił się w nocy na gościńcu; przybywał po Bandiniego, aby go zawieść do Rzymu do więzienia Tordinona po wyrok skazujący go na śmierć. Ale jak wspomnieliśmy, ów był rodem z Petrella, twierdzy Colonnów; jakoż żona Bandiniego zagadnęła publicznie Fabrycego Colonnę, który się znajdował w Petrella:

— Czy pozwolisz, panie, umrzeć swemu wiernemu słudze?

Colonna odpowiedział:

— Niech mnie Bóg broni, abym miał kiedykolwiek uchybić trybunałom papieża, mego pana!

Natychmiast żołnierze jego otrzymali rozkazy, a wszystkim jego stronnikom udzielono wiadomości, aby byli w pogotowiu. Schadzkę naznaczono w okolicy Valmontone, miasteczka na szczycie skały niezbyt wysokiej, ale mającej za szaniec gładką prawie i prostopadłą przepaść wysoką na sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp. Do tego miasta, należącego do papieża, udało się stronnikom Orsinich oraz zbirom doprowadzić Bandiniego. Wśród najgorliwszych popleczników władzy znajdowali się pan Campireali i Fabio, spokrewnieni zresztą trochę z Orsinimi. Od dawien dawna, przeciwnie, Julian Branciforte i jego ojciec byli oddani Colonnom.

W okolicznościach, w których nie wypadało Colonnom działać otwarcie, uciekali się oni do bardzo prostego sposobu. Większość bogatych wieśniaków rzymskich należała — wówczas jak dziś — do jakiejś kompanii pokutniczej. Pokutnicy nie pojawiają się publicznie inaczej niż z głową okrytą kawałkiem płótna, które zasłania im twarz i ma tylko dwie dziury na oczach. Kiedy Colonnowie nie chcą przyznać się do jakiegoś przedsięwzięcia, zalecają swoim stronnikom, aby udając się na schadzkę wdziali strój pokutników.

Po długich przygotowaniach przewiezienie Bandiniego, którym od dwóch tygodni zajmowała się cała okolica, naznaczono na niedzielę. Tego dnia o drugiej z rana gubernator Valmontone kazał bić w dzwony na trwogę we wszystkich wioskach w lesie Faggiola. Chłopi wyszli dość licznie z każdej wioski. (Obyczaje średniowiecznych republik, w których bito się, aby uzyskać to, czego się pragnie, zachowały sporo dzielności w sercu chłopów; za naszych czasów nikt by się nie ruszył.)

Tego dnia można było zauważyć rzecz dość osobliwą: w miarę jak gromadki uzbrojonych chłopów zapuszczały się w las, małały o połowę — stronnicy Colonnów przemykali się ku wskazanemu przez Fabrycego miejscu. Naczelnicy zdawali się przeświadczeni, że tego dnia nie będzie starcia, otrzymali rano rozkaz szerzenia tej pogłoski. Fabrycy przebiegał las z wyborem swoich stronników, których wsadził na półdzikie młode konie ze swojej stadniny. Robił jak gdyby przegląd oddziałów chłopskich; ale nie mówił do nich nic, ile że każde słowo mogło być niebezpieczne. Fabrycy był to wysoki chudy człowiek, niewiarogodnie zwinny i silny; mimo że miał ledwie czterdzieści pięć lat, włosy i wąsy miał mlecznobiałe, z czego był bardzo nierad: po tym znaku można go było poznać tam, gdzie wołał ująć niepostrzeżony. Na jego widok chłopci wołali: „Niech żyje Colonna!”, i wkładali płócienne kaptury. Sam książę miał swój kaptur na piersiach, aby go włożyć z chwilą, gdy spostrzeże nieprzyjaciół.

Nie dali na siebie czekać. Ledwie słońce wstawało, kiedy jakiś tysiąc ludzi stronnictw Orsinich, ciągnących od Valmontone, weszło w las, przechodząc o trzysta kroków od stronników Colonny, którym ten kazał położyć się na ziemi. W kilka minut po przejściu ostatnich z orsyńczyków tworzących tę awangardę książę poderwał swoich ludzi: postanowił napaść eskortę Bandiniego w kwadrans po tym, jak się zapuści w las. W tej okolicy las usiany jest skałami wysokimi na piętnaście lub dwadzieścia stóp; są to fale lawy, na których kasztany rosną wspaniale, tak że prawie zupełnie zaciemniają światło. Ponieważ fale te, mniej lub więcej nadgryzione czasem, powodują znaczne nierówności gruntu, przeto aby oszczędzić gościńcowi mnóstwa niepotrzebnych wzniesień i spadków,

<sup>8</sup>*Bargello* rzymski w orszaku stu pięćdziesięciu zbirów — zbirami nazywano we Włoszech stróżów porządku publicznego, ich dowódcą był *bargello*.



wyzłobiono drogę w lawie, tak iż często znajduje się ona o kilka stóp poniżej poziomu lasu.

W pobliżu miejsca obranego przez Fabrycego na atak znajdowała się polana zarośnięta murawą; z jednego brzegu polanę tę przecinał gościniec. Następnie droga wchodziła w las, który, pełen głogów i krzewów, był w tym miejscu zupełnie nie do przebycia. Fabrycy pomieścił swoich po obu stronach, o sto kroków od gościńca. Na znak księcia każdy wieśniak nałożył kaptur i ustawił się z muszkietem za kasztanem; żołnierze księcia zajęli pozycje najbliższej drogi. Chłopi otrzymali wyraźny rozkaz nie strzelać aż po żołnierzach, ci zaś mieli dać ognia, gdy nieprzyjaciel będzie o dwadzieścia kroków. Fabrycy kazał ściąć naprędce ze dwadzieścia drzew, które rzucone wraz z gałęziami na drogę dość ciasną w tym miejscu i zarytą na trzy stopy w ziemię, zatarasowały ją zupełnie. Kapitan Ranucy z pięciomaset ludźmi tworzył przednią straż; miał rozkaz atakować dopiero, kiedy usłyszy pierwsze strzały od strony drzew zamykających drogę. Kiedy Fabrycy Colonna ujrzał, iż żołnierze jego i stronnicy siedzą każdy za swoim drzewem, dobrze rozmieszczeni i pełni ducha, wypuścił się galopem ze swą konnicą, w której wyróżniał się Julian Branciforte. Książę wziął się na prawo dróżką wiodącą na skraj polany.

Zaledwie książę się oddalił, ujrzano z daleka, na drodze z Valmontone, oddział konnych; byli to zbiry i *bargello* eskortujący Bandiniego oraz cała jazda Orsinich. Wśród nich znajdował się Baltazar Bandini w otoczeniu czterech katów przybranych czerwono; mieli rozkaz wykonać wyrok najwyższych sędziów i utrupić Bandiniego, w razie gdyby widzieli, iż stronnicy Colonnów chcą go oswobodzić.

Skoro kawaleria Colonny przybyła na najdalszy od drogi skraj polany, rozległy się pierwsze strzały z zasadzki. Natychmiast książę wypuścił swoją jazdę galopem, kierując atak na czterech czerwonych katów, którzy otaczali Bandiniego.

Nie będziemy szczegółowo opowiadali tej utarczki, która nie trwała ani trzech kwadransów; stronnicy Orsinich, zaskoczeni, rozbiegli się na wszystkie strony; ale kapitan Ranucy zginął, co miało opłakany wpływ na losy Juliana. Zaledwie rozdał parę ciosów szabli, wciąż zbliżając się do ludzi czerwono odzianych, kiedy nagle znalazł się na wprost Fabia Campireali.

Pędząc na ognistym rumaku i odziany w złociste giacco (koszulkę drucianą), Fabio wołał:

— Kto są te zamaskowane łotry? Poprzecinajmy ich maski pałaszem; ot, zaraz wam pokażę!

Prawie w tej samej chwili Julian Branciforte otrzymał z jego ręki poprzeczne cięcie w czoło. Cios był zadany tak zręcznie, że płótno, które mu kryło twarz, spadło; równocześnie uczył, że krew z rany, lekkiej zresztą, zalewa mu oczy. Julian cofnął się z koniem, aby odetchnąć i wytrzeć sobie twarz. Za wszelką cenę chciał uniknąć starcia z bratem Heleny; już jego koń był o kilka kroków od Fabia, kiedy Julian otrzymał w piersi wściekły cios szablą. Cios nie zranił go, dzięki giacco, ale odjął mu oddech na chwilę. Prawie równocześnie usłyszał krzyk:

— *Ti conosco, porco!* Znam cię, kanalio! Więc ty w ten sposób zarabiasz na suknie w miejsce dawnych łachmanów!

Julian, dotknięty do żywego, zapomniał o pierwotnym postanowieniu i skoczył na Fabia:

— *Ed in mal punto tu venisti!*<sup>9</sup> — wykrzyknął.

Po kilku gwałtownych ciosach suknie, które okrywały ich koszulki druciane, opadły w strzępach. Koszulka Fabia była złota i wspaniała, koszulka Juliana bardzo pospolita.

— W jakim ścieku znalazłeś swoje *giacco*? — krzyknął Fabio.

W tej samej chwili Julian znalazł sposobność, której szukał od pół minuty: wspaniała koszulka Fabia nie dość była obcisła na szyi, jakoż Julian zadał mu w odsłoniętą nieco szyję śmiertelny cios. Rapier Juliana wszedł na pół stopy w gardło Fabia, z którego trysnął strumień krwi.

— Masz, zuchwalcze! — wykrzyknął Julian.

I pognął w stronę czerwonych katów, z których dwóch siedziało jeszcze na koniach. Kiedy się zbliżył do nich, trzeci padł; ale w chwili gdy Julian dopadł czwartego, ten widząc,

<sup>9</sup>*Ed in mal punto tu venisti!* — W złą chwilę się zjawieś!

że go otacza dziesięciu z górą konnych, wypalił z pistoletu do biednego Baltazara Bandini, który upadł.

— Mości panowie, nie mamy tu co robić dłużej! — wykrzyknął Branciforte. — Weźmy na szable zbirów, którzy uciekają!

Wszyscy pognali za nim.

Kiedy w pół godziny później Julian stanął przed Fabrycym Colonną, pan ów ozwał się doń po raz pierwszy w życiu. Szalał z gniewu; Julian myślał, że go zastanie pełnym radości z powodu zwycięstwa, które zawdzięczał jedynie swemu znakomitemu planowi; Orsiniowie bowiem mieli blisko trzy tysiące ludzi, a Fabrycy nie zgromadził w tej potrzebie ani półtora tysiąca.

— Straciliśmy dzielnego druha Ranucego! — wykrzyknął książę do Juliana. — Sam dotykałem ciała, już zimny. Biedny Baltazar Bandini jest śmiertelnie ranny. W rzeczy samej nie udało się nam. Ale cień dzielnego kapitana stanie przed obliczem Plutona w dzielnym towarzystwie. Dałem rozkaz, aby przystroić drzewa wszystkimi łajdakami, którzy nam wpadli w ręce. Mości panowie, słyszycie? — wykrzyknął, podnosząc głos.

I puścił się galopem w stronę, gdzie stoczyły walkę przednie straże. Julian zastępował po trosze Ranucego, ruszył za księciem, który przybywszy do trupa dzielnego żołnierza, leżącego w otoczeniu pięćdziesięciu przeszło zwłok nieprzyjaciół, zsiadł drugi raz z konia, aby ująć Ranucego za rękę. Julian uczynił toż samo, płacząc.

— Jesteś bardzo młody — rzekł książę do Juliana — ale widzę cię okrytym krwią, a ojciec twój był dzielnym człowiekiem, otrzymał więcej niż dwadzieścia ran w służbie Colonnów. Obejmij dowództwo nad resztkami kompanii Ranucego i odprowadź trupa do kościoła w Petrella; a pamiętaj, że mogą cię napaść w drodze.

Nie napadli Juliana, ale on sam przebił rapierem jednego z żołnierzy, który mu rzekł, że za młody jest, aby dowodzić. Ponieważ Julian był jeszcze okryty krwią Fabia, szaleństwo to wywarło dobre wrażenie. Wzdłuż całej drogi widział drzewa przystrojone jeńcami. Ten ohydny widok w połączeniu ze śmiercią Ranucego, a zwłaszcza Fabia, doprowadzał go niemal do szaleństwa. Jedyłą jego nadzieją było, że imię zwycięzcy Fabia nie wyjdzie na jaw.

Pomijamy szczegóły wojskowe. W trzy dni po tej potyczce Julian zjawił się na kilka godzin w Albano; opowiadał znajomym, że gorączka zatrzymała go w Rzymie, gdzie musiał przeleżeć w łóżku cały tydzień.

Ale wszędzie odnoszono się doń z wyraźnym szacunkiem, najznamienitsi obywatele kłaniali mu się pierwsi, ten i ów tytułował go nawet niebacznie „mości kapitanie”. Julian przeszedł kilka razy koło pałacu Campireali, który był szczelnie zamknięty; że zaś świeży kapitan był bardzo nieśmiały, gdy chodziło o pewne pytania, dopiero koło południa przemógł się na tyle, iż spytał Scottiego, starca, który zawsze okazywał mu wiele dobroci:

— Gdzież są Campireali? Widzę, że pałac ich jest zamknięty.

— Mój przyjacielu — odparł Scotti z nagłym smutkiem — tego nazwiska nigdy nie powinieneś wymawiać. Przyjaciele twoi są pewni, że to on ciebie szukał, i powtórzą to wszędzie; ale ostatecznie on był główną przeszkodą do twego małżeństwa; śmierć jego daje olbrzymi majątek siostrze, która cię kocha. Można nawet dodać — w tej chwili niedyskrecja staje się cnotą — można nawet dodać, iż kocha cię do tego stopnia, że cię odwiedzała w nocy w twoim małym domku w Alba. Toteż można powiedzieć dla waszego dobra, iż byliście mężem i żoną przed nieszczęsną bitwą pod Ciampi (nazwę tę nadano w okolicy bitwie, którą opisaliśmy).

Starzec przerwał widząc, że Julian zalewa się łzami.

— Wstąpmy do gospody — rzekł Julian.

Scotti udał się za nim; dano im pokój, gdzie się zamknęli na klucz, po czym Julian opowiedział starcowi wszystko, co się zdarzyło od tygodnia. Kiedy skończył, starzec rzekł:

— Widzę z twoich łez, że czyn twój nie był obmyślany z góry; mimo to śmierć Fabia jest dla ciebie wielkim nieszczęściem. Trzeba koniecznie, aby Helena oświadczyła matce, że jesteś od dawna jej małżonkiem.

Julian nie odpowiedział, co starzec przypisał chwalebnej dyskrecji. Utopiony w zadumie, Julian pytał sam siebie, czy Helena, przejęta śmiercią brata, zdoła ocenić jego delikatność; żałował tego, co zaszło niegdyś. Następnie na jego pytanie starzec opowiedział mu szczegółowo wszystko, co się działo w Albano w dniu walki. Fabio zginął

o wpół do siódmej rano o więcej niż sześć mil od Albano, a o dziewiątej — rzecz nie do wiary! — zaczęto mówić o tej śmierci. Około południa ujrano starego Campireali zalanego łzami, podtrzymywanego przez dwóch służących, jak się udawał do klasztoru kapucynów. Wkrótce potem trzech dobrych ojców, siedząc na najlepszych koniach Campirealich, w otoczeniu licznej służby udali się do Ciampi, gdzie ta walka miała miejsce. Stary Campireali chciał koniecznie jechać z nimi; ale mu to odradzono z przyczyny, że Fabrycy Colonna jest wściekły (nie bardzo wiadano czemu) i że w razie gdyby go wzięto do niewoli, mogłoby mu się to obrócić na złe.

Około północy zdawało się, że las Faggiola stoi w ogniu; to wszystkie mnichy i wszyscy biedni z Albano, każdy z grubą zapaloną świecą, szli na spotkanie ciała młodego Fabia.

— Nie będę ci tań — ciągnął starzec zniżając głos, jakby się lękał, że go kto usłyszy — że droga, która wiedzie do Valmontone i do Ciampi...

— Cóż takiego? — spytał Julian.

— Ta droga przechodzi pod twoim domem; otóż powiadają, że kiedy trup Fabia znalazł się w tym miejscu, krew trysła z okropnej rany, którą miał na szyi.

— Cóż za okropność! — wykrzyknął Julian, wstając.

— Uspokój się, drogi chłopcze — rzekł starzec — sam widzisz, że trzeba, abyś wiedział wszystko. A teraz mogę ci powiedzieć, że twoja tu dzisiejsza obecność wydała się nieco przedwczesna. Gdybyś mi uczynił ten zaszczyt, aby się mnie poradzić, dodałbym, kapitanie, że nie uchodzi zjawiać się w Albano przed upływem miesiąca. Nie potrzebuję cię ostrzegać, że byłoby niebezpieczne pojawiać się w Rzymie. Nie wiadomo jeszcze, jakie stanowisko zajmie Ojciec Święty wobec Colonnów; przypuszczają, że da wiarę oświadczeniu Fabrycego, który twierdzi, że o bitwie pod Ciampi wie jedynie ze słyhu; ale gubernator rzymski, zajadły orsyńczyk, wścieka się i byłby bardzo rad, gdyby mógł powiesić któregoś z dzielnych żołnierzy Fabrycego, o co ten nie mógłby się upominać, skoro przysięga, że nie brał udziału w bitwie. Pójdę dalej i mimo że mnie nie pytasz, pozwolę sobie udzielić ci rady wojskowej: jesteś lubiany w Albano, inaczej nie byłbyś tu bezpieczny. Pomyśl, że się przechadzasz po mieście od kilku godzin, że jakiś stronnik Orsinich może to wziąć za zniewagę lub przynajmniej dojrzeć w tym sposobność zdobycia pięknej nagrody. Stary Campireali powtarzał tysiąc razy, że da najpiękniejszą wioskę temu, kto cię zabije. Powinieneś być wziąć z sobą do Albano kilku żołnierzy, których masz u siebie w domu.

— Nie mam w domu żadnych żołnierzy.

— W takim razie jesteś szalony, kapitanie. Przy tej gospodzie jest ogród, wyjdziemy ogrodem i wymkniemy się przez winnicę. Odprowadzę cię; jestem stary i bez broni, ale jeśli spotkamy jakichś nieprzychylnych ludzi, pomówię z nimi i pomogę ci bodaj zyskać na czasie.

Julian był w rozpacz. Mamyż wyznać jego szaleństwa? Odkąd się dowiedział, że pałac Campireali jest zamknięty, a mieszkańcy jego wyjechali do Rzymu, powziął zamiar odwiedzenia ogródka, gdzie tak często spotykał się z Heleną. Miał nawet nadzieję ujżenia jej pokoju, gdzie go przyjmowała, kiedy matki nie było w domu. Chciał jakby odczynić jej gniew widokiem miejsc, gdzie była dlań tak serdeczna.

Branciforte i szlachetny starzec nie spotkali nikogo niepożądanego, idąc ścieżkami, które przecinają winnice i biegną ku jezioru.

Julian kazał sobie na nowo opowiedzieć szczegóły pogrzebu Fabia. Ciało dzielnego młodzieńca, prowadzone przez orszak księży, zawieziono do Rzymu i pochowano w kaplicy rodzinnej w klasztorze św. Onufrego na szczycie Janiculum. Jako rzecz bardzo osobliwą zauważono, że w wili ceremonii ojciec odwiózł Helenę do klasztoru wizytek w Castro, co potwierdziło pogłoski, iż Helena wzięła tajny ślub z awanturnikiem, który miał to nieszczęście, iż zabił jej brata.

Znalazłszy się blisko domu; Julian spotkał kaprała ze swej kompanii z czterema żołnierzami; oświadczyli mu, że dawny ich kapitan nigdy nie opuszczał lasu, nie mając przy sobie kilku ludzi. Książe powiadał często, iż jeśli ktoś ma ochotę dać się zabić, winien wziąć dymisję, aby mu nie narzucać obowiązku pomszczenia jego śmierci.

Julian Branciforte zrozumiał słuszność tych pojęć, które były mu dotąd obce. Myślał tak jak pierwotne ludy, że wojna polega tylko na tym, aby się mężnie bić. Wszedł

natychmiast w intencje księcia; zdążył jedynie uściskać roztropnego starca, który tak wielkodusznie odprowadził go aż do domu.

Ale w kilka dni później Julian, wpółoszalały z melancholii, wrócił, aby ujrzeć pałac Campireali. Skoro zapadła noc, on i trzech jego żołnierzy, przebrani za kupców neapolitańskich, dostali się do Albano. Sam jeden udał się do domu Scottiego; dowiedział się, że Helena wciąż jest w klasztorze w Castro. Ojciec, który sądził, że zaślubiła mordercę jego syna, poprzysiął nie oglądać jej nigdy. Nie widział jej nawet wówczas, gdy ją odwoził do klasztoru. Natomiast czułość matki jak gdyby zdwoiła się; często opuszczała Rzym, aby spędzić dzień lub dwa z córką.

#### IV

„Jeśli się nie usprawiedliwię wobec Heleny — powiedział sobie Julian, wracając w nocy na kwatery w lesie — uwierzy w końcu, że jestem mordercą. Bóg wie, co za historie musiano jej opowiedzieć o tej nieszczęsnej walce!”

Udał się po rozkazy księcia do zamku Petrella i poprosił o pozwolenie udania się do Castro. Fabrycy Colonna zmarszczył brwi.

— Sprawa owej utarczki nie jest jeszcze załatwiona z Jego Świątobliwością. Powinieneś wiedzieć, że ja oświadczyłem prawdę, to znaczy, że byłem najzupełniej obcy temu starciu, o którym dowiedziałem się dopiero nazajutrz w Petrella. Mam powód przypuszczać, że Jego Świątobliwość da w końcu wiarę temu szczeremu wyznaniu. Ale Orsiniowie są potężni; wszyscy powiadają, że ty wyróżniłeś się w tej bijatyce. Orsiniowie posuwają się wręcz do twierdzenia, że kilku jeńców zawisło na gałęzi. Wiesz, jak dalece bajki te są fałszywe; ale można przewidywać odwet.

Zdumienie, które błysło w naiwnych spojrzeniach młodego kapitana, ubawiło księcia; mimo to widząc taką niewinność uznał, iż trzeba się wyrazić jaśniej.

— Widzę w tobie — ciągnął — ową doskonałą odwagę, która rozślawiła na całe Włochy nazwisko Branciforte. Mam nadzieję, że zachowasz dla mego domu wierność, która czyniła mi drogim twego ojca i którą chciałbym nagrodzić w tobie. Oto hasło mojej kompanii: nigdy nie powiedzieć słowa prawdy o tym, co dotyczy mnie lub moich żołnierzy. Jeżeli w chwili gdy trzeba ci mówić, nie widzisz celu kłamstwa, kłam na los szczęścia, strzeż się jak grzechu śmiertelnego słowa prawdy. Pojmujesz, że skojarzone z innymi wskazówkami mogłoby ono naprowadzić na trop. Poza tym wiem, że ty masz jakąś miłostkę u wizytek w Castro; możesz się zabawić dwa tygodnie w tym miasteczku, gdzie Orsiniowie mają przyjaciół, a nawet agentów. Udaj się do mego marszałka, który ci wyliczy dwieście cekinów. Przez dawną przyjaźń dla twego ojca — dodał książę, śmiejąc się — mam ochotę udzielić ci paru miłosno-strategicznych wskazówek. Ty i trzech twoich żołnierzy przebierzecie się za kupców; będziesz się wściekał na jednego ze swoich towarzyszy, który będzie z urzędu wciąż pijany i nawiąże liczne stosunki, stawiając wino wszystkim próżniakom w Castro. Poza tym — dodał książę innym tonem — jeśli cię Orsiniowie pochwyć i wydadzą na śmierć, nie przyznawaj się za nic do prawdziwego nazwiska, a tym mniej do służby u mnie. Nie potrzebuję ci zalecać, abyś okrażał każde miasteczko i wchodził zawsze bramą przeciwną stronie, z której przybywasz.

Te ojcowskie rady z ust człowieka zazwyczaj tak surowego wrzuciły Juliana. Zrazu książę uśmiechnął się z łez, które ujrzał w oczach młodego człowieka; później i jego głos się zmienił. Zdjął jeden z pierścieni, które miał na palcu; przyjmując pierścień Julian ucałował tę rękę słynną znamienitymi czynami.

— Nigdy ojciec mój tak nie mówił do mnie! — wykrzyknął w zachwycie.

W dwa dni później, nieco przed świtem, Julian znalazł się w murach miasteczka Castro. Towarzyszyło mu pięciu żołnierzy w przebraniu jak on; dwaj szli osobno, udając, że nie znają ani jego, ani trzech tamtych. Zanim jeszcze weszli do miasta, Julian ujrzał klasztor Nawiedzenia, rozległy budynek otoczony czarnymi murami, dość podobny do fortecy. Pobiegł do kościoła, który był wspaniały. Zakonnice, wszystko szlachcianki, przeważnie z bogatych domów, prześcigały się, która z nich bardziej wzbogaci ten kościół, jedyną część klasztoru dostępną oczom publiczności. Weszło w zwyczaj, że siostra, którą papież mianował księnią na podstawie listy trzech nazwisk przedstawionej przez kardynała, protektora klasztoru, składała znaczną ofiarę mającą uwiecznić jej imię. Ta, której

dar był mniejszy od daru poprzedniczki, stawała się przedmiotem wzgardy, zarówno jak jej rodzina.

Julian posuwał się, drżący, nawą wspaniałej budowli, lśniącej od marmurów i złocień. Co prawda niewiele myślał o marmurach i złoceniach; miał uczucie, że patrzą nań oczy Heleny. Wielki ołtarz, powiadano mu, kosztował przeszło osiemset tysięcy franków; ale spojrzenia jego, gardząc bogactwami ołtarza, biegły ku złoczonej kracie, wysokiej blisko na czterdzieści stóp i podzielonej na trzy części dwoma olbrzymimi marmurowymi filarami. Krata ta, której ogrom sprawiał straszliwe wrażenie, wznosiła się za wielkim ołtarzem i dzieliła chór klasztorny od kościoła otwartego dla wiernych.

Julian powiadał sobie, że za tą złoczoną kratą znajdują się w czasie nabożeństwa zakonnice i pensjonariuszki klasztoru. Do tej części kościoła mogła się udać o każdej porze zakonnica lub pensjonariuszka, która się chciała modlić; na tej wszystkim znanej okoliczności biedny kochanek budował nadzieje.

Prawda, iż olbrzymia czarna zasłona wyścielala wewnętrzną stronę kraty, „Ale ta zasłona — myślał Julian — nie powinna kępować wzroku pensjonariuszek spoglądających w kościół, skoro ja, mogąc się zbliżyć jedynie na pewną odległość, widzę doskonale przez zaslonę okna oświetlające chór aż do najdrobniejszych architektonicznych szczegółów.” Każde wiązanie tej wspaniale złoczonej kraty miało silne ostrze, zwrócone ku publiczności.

Julian wybrał miejsce bardzo widoczne, na wprost kraty, po lewej, w części najlepiej oświetlonej; tam słuchał jednej mszy po drugiej. Ponieważ otaczali go sami tylko chłopcy, miał nadzieję, iż zwróci na siebie uwagę nawet przez czarną zasłonę. Pierwszy raz w życiu skromny ten młodzian starał się ściągnąć uwagę; przybrał się dostatnio i sypał hojnie jałmużny tak wchodząc, jak wychodząc. Jego ludzie i on sam starali się o względy robotników i drobnych kupców mających jakieś stosunki z klasztorem. Mimo to dopiero trzeciego dnia zyskał nadzieję, iż zdoła przesłać Helenie list. Na jego rozkaz zaczęto pilnie śledzić dwie służebniczki wychodzące na zakupy dla klasztoru; jedna utrzymywała stosunek z kramarzem. Jeden z żołnierzy Juliana, który był niegdyś mnichem, pozyskał przyjaźń kramarza i przyrzekł mu cekina za każdy list doręczony pensjonariuszce klasztoru Helenie Campireali.

— Co! — rzekł kupiec na pierwsze słowo — list *żonie bandyty!*

Przydomek ten był już uświęcony w Castro, a nie było jeszcze dwóch tygodni od przybycia Heleny: tak dalece wszystko, co uderza wyobraźnię, szybko dostaje się w obiegu u tego ludu łakomego dokładnych szczegółów!

Kramarz dodał:

— Ta przynajmniej jest zamężna! Ale ileż naszych dam nie ma tej wymówki, a otrzymują ze świata coś więcej niż listy!

W tym pierwszym liście Julian opowiadał szczegółowo wszystko, co się zdarzyło w nieszczęsnym dniu śmierci Fabia. „Czy mnie nienawidzisz?” — pytał w końcu.

Helena odpowiedziała w kilku słowach, że nie nienawidzi nikogo, ale że postanowiła obrócić resztę dni na to, aby zapomnieć o człowieku, przez którego brat jej zginął.

Julian odpisał znowu; po kilku obelgach pod adresem losu (styl naśladowany z Platona i bardzo wówczas w modzie) tak pisał:

Chcesz tedy podać w niepamięć słowo Boga przekazane nam w Piśmie? Bóg powiada: „Niewiasta opuści krewnych i rodziców, aby iść za swym małżonkiem.” Śmiałażbyś twierdzić, że nie jesteś moją żoną? Przypomnij sobie noc św. Piotra. Kiedy świt błyskał już za Monte Cavi, padłaś do moich kolan; zlitowałem się nad Tobą; byłaś moją, gdybym zechciał; nie mogłaś przemóc miłości, która parła Cię w tej chwili w moje objęcia. Nieraz myślałem, że ponieważ powtarzałem Ci wiele razy, iż poświęciłem Ci moje życie i wszystko najdroższe mi na świecie, mogłabyś odpowiedzieć (mimo że nie uczyniłaś tego nigdy), że wszystkie te ofiary, nie stwierdzone żadnym czynem, są jedynie urojone. Olśniła mnie pewna myśl, okrutna dla mnie, ale słuszna. Pomyślałem, że nie na darmo los daje mi sposobność poświęcenia dla Twego dobra najwyższego szczęścia, o jakim mogłem kiedy marzyć. Byłaś już w moich ramionach, bez obrony, pamiętasz: usta Twoje nawet nie umiały się wzbraniać. W tej chwili ranne *Ave* rozległo się w klasztorze Monte

Cavi i cudownym trafem dźwięk ten doleciał do nas. Rzekłaś mi: „Uczyn to poświęcenie dla świętej Madonny, matki wszelkiej czystości.” Powziąłem już od kilku chwil myśl tego najwyższego poświęcenia, jedynego zaiste, jakie miałem sposobność dla Ciebie uczynić. Uderzyło mnie, że Tobie przyszła ta sama myśl. Odległy dźwięk tego *Ave Maria* wzruszył mnie, wyznając! Usłuchałem Twojej prośby. Nie cała ofiara była dla Ciebie; oddałem nasz przysły związek pod opiekę Madonny. Myślałem wówczas, że przeszkody zajdą nie z Twojej strony, niewierna, ale ze strony Twej bogatej i dumnej rodziny. Gdyby nie było w tym czegoś nadprzyrodzonego, w jaki sposób ten *Anioł Pański* doszedłby do nas z tak daleka, ponad wierzchołki leśne, poruszane wiatrem rannym? Wówczas, pamiętasz, ukłękłaś przede mną; ja wstałem, wyjąłem krzyżyk, który noszę na piersiach, i Ty przysięgłaś na ten krzyżyk, na który patrzę w tej chwili, i na swoje wieczne potępienie, że gdziekolwiek byś się znalazła, co bądź mogłoby się zdarzyć, natychmiast, kiedy ci rozkażę, oddasz się zupełnie do mego rozporządzenia, jak byłaś w chwili, gdy *Ave Maria* z Monte Cavi doleciało z tak daleka Twego ucha. Następnie odmówiliśmy pobożnie dwa *Zdrowaś* i dwa *Ojczy nasz*. Otóż, na miłość, którą czułaś wówczas, a jeżeli zapomniałaś o niej, jak się obawiam, na Twoje wieczne potępienie rozkazuję Ci przyjąć mnie tej nocy w swojej celi lub w ogrodzie klasztornym.

Włoski autor ściśle przytacza liczne i długie listy Juliana Branciforte; ale podaje jedynie w skróceniu odpowiedzi Heleny Campireali. Po upływie dwustu siedemdziesięciu ośmiu lat jesteśmy tak dalecy od uczuć miłości i religii wypełniających te listy, że lękam się, aby nie znużyły czytelnika.

Zdaje się z tych listów, że Helena usłuchała wreszcie rozkazu zawartego w tym liście, który przetłumaczyłem w skrócie. Julian znalazł sposób, aby się dostać do klasztoru; z pewnych słów można wnosić, że się przebrał za kobietę. Helena zgodziła się z nim widzieć, ale jedynie przez kratę parterowego okna wychodzącego na ogród. Ku swej niewymownej boleści Julian spostrzegł, że młoda dziewczyna, niegdyś tak tkliwa, a nawet tak namiętna, stała się dlań jakby obca; odnosiła się doń niemal *uprzejmie*. Pozwalając mu przyjść do ogrodu, czyniła to prawie wyłącznie przez cześć dla swego ślubu. Widzenie było krótkie: po kilku chwilach duma Juliana, może nieco podniecona wypadkami ubiegłych tygodni, wzięła górę nad głębokim bólem.

— Widzę przed sobą — rzekł — jedynie grób tej Heleny, która w Albano oddała mi się rzekomo na całe życie.

Całym wysiłkiem Juliana było ukryć łzy, które zalewały mu twarz, w miarę jak Helena, mówiąc doń, szukała przystojnych zwrotów. Kiedy skończyła usprawiedliwiać zmianę, tak naturalną (powiadała) po śmierci brata, Julian odparł, wymawiając słowa bardzo wolno:

— Nie spełniasz ślubu, nie przyjmujesz mnie w ogrodzie, nie jesteś u mych kolan, jak było wówczas, kiedy usłyszeliśmy *Ave* z Monte Cavi. Zapomnij o swym ślubie, jeśli możesz; co do mnie, nie zapominam niczego; Bóg z tobą!

To mówiąc, opuścił okratowane okienko, przy którym mógł zostać jeszcze godzinę. Kto by mu powiedział chwilę przedtem, że skróci dobrowolnie tak upragnione widzenie! To poświęcenie rozdzierało jego duszę; ale pomyślał, że zasłużyłby na wzgardę Heleny, gdyby odpowiedział na jej *uprzejmość* inaczej, niż zostawiając ją na pastwę wyrzutów.

Przed świtem opuścił klasztor. Natychmiast wsiadł na koń, dając żołnierzom rozkaz, aby nań czekali w Castro cały tydzień, potem zaś aby wrócili do lasu; był pijany rozpaczą. Najpierw obrócił się w stronę Rzymu. „Jak to! Oddalam się od niej! — powiadał sobie za każdym krokiem. — Jak to! staliśmy się sobie obcy! O Fabio, jakżeś jest pomszczony!”

Widok ludzi, których spotykał, pomnażał jego wściekłość; pchnął konia w pole i skierował się ku pustemu morskemu wybrzeżu. Kiedy go już nie drażnił widok spokojnych wieśniaków, którym zazdrościł doli, odetchnął; obraz tych dzikich miejsc zgodny był z rozpaczą i łagodził jego gniew, mógł się oddać rozważaniom swego smutnego losu. „W moim wieku — powiadał sobie — mam jeden ratunek: pokochać inną kobietę!”

Na tę smutną myśl uczuł nowy przypływ rozpacz: zrozumiał aż nadto, że istnieje dlań tylko jedna. Wyobrażał sobie mękę, jaką by cierpiał, gdyby się ważył zwrócić słowa miłości do innej; ta myśl rozdzierała go. Ogarnął go gorzki śmiech. „I oto jestem pomy-

śłał — jak owi bohaterowie z Ariosta, którzy wędrują sami przez odludne kraje, kiedy im trzeba zapomnieć, że ujrzeni przewrotną kochankę w objęciach innego rycerza... Nie, ona nie jest tak winna — mówił sobie, zalewając się łzami po napadzie szalonego śmiechu — niewierność jej nie posuwa się aż do miłości innego. Ta gorąca i czysta dusza dała się omamić okrutnym bajkom, jakie jej o mnie powiadano; przedstawiono mnie z pewnością jako człowieka, który chwycił za broń w tej nieszczęsnej wyprawie jedynie, aby zamordować jej brata. Posunięto się z pewnością dalej: przypisano mi tę brudną rachubę, iż skoro brat jej padnie, ona stanie się dziedziczką olbrzymich włości... I ja popełniłem to szaleństwo, aby ją całe dwa tygodnie zostawić podszeptom moich wrogów! Trzeba przyznać, że jeśli jestem bardzo nieszczęśliwy, niebo pozbawiło mnie też rozumu do kierowania moim życiem! Jestem bardzo nędzny, bardzo godzien wzgardy! Życie moje nie zdało się na nic nikomu, a mnie samemu mniej niż komukolwiek w świecie.”

W tej chwili młody Branciforte uczuł pokusę bardzo w tej epoce rzadką: koń kroczył samym brzegiem, tak że chwilami fala zalewała jego kopyta; przyszło Julianowi na myśl, aby go pchnąć w morze i położyć w ten sposób koniec okrutnemu losowi, którego był pastwą. Co pocznie z sobą, skoro jedyna istota, która dała mu niekiedy uczuć istnienie szczęścia, opuściła go! Ale zatrzymała go jedna myśl: „Czym są męki, które cierpię — powiedział sobie — w porównaniu z tymi, które wycierpię kiedyś, skoro raz zakończę to nędzne życie? Helena nie będzie już dla mnie po prostu obojętna jak teraz; ujrzę ją w ramionach rywala, a rywalem tym będzie jaki panek rzymski, bogaty i *poważany*; aby bowiem udręczyć moją duszę, biesy będą szukały najokrutniejszych obrazów, to ich obowiązek. Tak więc nie zdołam znaleźć zapomnienia o Helenie, nawet w śmierci; co więcej, miłość moja zdwoi się, skoro to jest najpewniejszy środek, jaki znajdzie wiekuista potęga, aby mnie skarać za okropny grzech, który popełniłem.”

Aby do reszty odpędzić pokusę, Julian zaczął pobożnie odmawiać *Zdrowaś!* Dźwięk porannego *Ave*, modlitwy poświęconej Madonnie, omamił go niegdyś i skłonił do szlachetnego czynu, który obecnie uważał za największy błąd swego życia. Ale przez szacunek nie śmiał posuwać się dalej i wyrazić całej myśli. „Jeżeli z natchnienia Madonny popełniłem straszny błąd, czyż nie powinna ona, w swej nieskończonej sprawiedliwości, znaleźć jakiegoś sposobu, aby mi wrócić szczęście?”

Ta myśl o sprawiedliwości Madonny ukoili stopniowo jego rozpacz. Podniósł głowę i ujrzał na wprost siebie, za Albano i jego lasami, owo Monte Cavi, okryte ciemną zielenią, i ów święty klasztor, którego ranne *Ave* przywiodło Juliana do tego, co nazywał obecnie haniebną głupotą. Niespodziewany widok świętego miejsca pocieszył go.

— Nie — wykrzyknął — niepodobna, aby mnie Madonna opuściła! Gdyby Helena była moją żoną, jak się na to godziło jej serce i jak tego żądała moja godność męska, wieść o śmierci brata byłaby napotkała w jej duszy pamięć węzłów spajających ją ze mną. Powiedziałyby sobie, że należała do mnie dawno przed nieszczęsnym wypadkiem, który na polu bitwy zetknął mnie z Fabiem. Był o dwa lata starszy ode mnie, bieglejszy w robieniu bronią, dzielniejszy, silniejszy. Tysiąc argumentów stanęłoby mej żonie za dowód, że ja nie szukałem walki. Przypomniałyby sobie, że nigdy nie żywiłem nienawiści do jej brata, nawet wówczas, gdy wypalił do niej z muszkietu. Pomnę, że na pierwszej schadzce, po powrocie z Rzymu, mówiłem: „Cóż chcesz? honor tak nakazywał; nie mogę go potępić jako brata!”

Odzyskawszy nadzieję mocą nabożeństwa do Madonny, Julian pchnął żywiej konia i w kilka godzin przybył na kwaterę swej kompanii. Zastał ją na wymarszu: ruszano na gościniec wiodący z Neapolu do Rzymu, przez Monte Cassino. Młody kapitan zmienił konia i ruszył z żołnierzami. Nie bito się tego dnia. Julian nie spytał, po co idą, mało go to obchodziło. W chwili gdy się znalazł na czele żołnierzy, los jego przedstawił mu się z innej perspektywy. „Jestem po prostu głupiec — powiedział sobie — nie powinienem był opuszczać Castro. Helena jest prawdopodobnie mniej winna, niż sobie wyobraziłem w pierwszym uniesieniu. Nie, ta dusza tak prosta i czysta, której pierwsze drgnienia miłosne zrodziły się w mych oczach, nie przestała należeć do mnie! Kochała mnie tak głęboko, tak szczerze! Czyż nie ofiarowywała się dziesięć razy uciec ze mną, biedakiem, aby wziąć ślub u jakiego mnicha w Monte Cavi! Powiniennem był w Castro uzyskać przede wszystkim drugą schadzkę i przemówić jej do rozsądku. Doprawdy, namiętność czyni mnie

Samobójstwo, Piekło, Kara,  
Pokuta

nedorzecznym jak dziecko! Boże, czemuż nie mam przyjaciela, aby go błagać o radę! Ten sam krok wydaje mi się w ciągu dwóch minut na przemian okropny i wyborny!”

Wieczorem, kiedy kompania opuszczała gościniec, aby wrócić do lasu, Julian zbliżył się do księcia i spytał, czy nie mógłby zostać jeszcze kilka dni w wiadomym miejscu.

— Ruszaj do wszystkich diabłów! — wrzasnął Fabrycy. — Czy myślisz, że to jest czas na głupstwa?

W godzinę później Julian puścił się z powrotem do Castro. Został tam swoich ludzi; ale po swym wyniosłym rozstaniu z Heleną nie wiedział, jak pisać do niej. Pierwszy jego list zawierał tylko te słowa: „Czy zechcesz mnie przyjąć najbliższej nocy?” — „Możesz przyjść” — było też jedyną odpowiedzią.

Po odjeździe Juliana Helena sądziła, że ją rzucił na zawsze. Wówczas uczuła całą wagę słów zrozpaczonego młodzieńca: była jego żoną, nim miał nieszczęście spotkać jej brata na polu bitwy.

Tym razem Julian nie spotkał się z ową sztywnością, która zraniła go tak boleśnie pierwej. Helena przyjęła go, co prawda, również przez kratę, ale widać było, że drży; że zaś Julian przemawiał bardzo wstrzemięźliwie, prawie tak jak do obcej, tym razem Helena odczuła, jak okrutny może być ów ton niemal urzędowy, gdy następuje po słodkiej zażyłości. Julian, który lękał się zwłaszcza usłyszeć jakieś zimne słówko, które by mu zraniło duszę, przemawiał tonem adwokata, dowodząc, że Helena była jego żoną na długo przed nieszczęsną walką pod Ciampi. Helena pozwoliła mu mówić; lękała się, że ją zdławią łzy, w razie gdyby rzekła coś ponad oderwane słowa. W końcu widząc, iż jeszcze chwila, a zdradzi się; poprosiła Juliana, aby wrócił nazajutrz. Tej nocy, jako w wilię uroczystego święta, odprawiano jutrznię wcześniej, tak iż schadzka ich łatwo mogła wyjść na jaw. Julian, który rozumował jak zakochany, opuścił ogród w głębokiej zadumie; nie umiał rozstrzygnąć, czy go Helena przyjęła dobrze, czy źle. W głowie zaczynały mu świtać pojęcia nabyte z rozmów z kompanami: „Któregoś dnia — powiedział sobie — trzeba będzie wykraść Helenę.”

I zaczął rozpatrywać sposoby dostania się siłą do klasztoru. Ponieważ klasztor był bogaty i kuszący do grabieży, utrzymywał znaczną ilość służby, przeważnie byłych żołnierzy; pomieszczono ich w koszarach, których zakratowane okna wychodziły na wąski korytarz. Korytarz ten szedł od bramy klasztornej wybitej w czarnym murze, wysokim na osiemdziesiąt stóp, do furty strzeżonej przez siostrę odźwierną. Po lewej stronie tego wąskiego korytarza znajdowały się koszary, po prawej mur ogrodowy, wysoki na trzydzieści stóp. Front klasztoru, wychodzący na plac, była to gruba ściana, szerniała od starości; jedyne jej otwory to była brama oraz okienko pozwalające żołnierzom wyglądać na zewnątrz. Można osądzić, jak ponure wrażenie sprawiała ta ściana z bramą wzmocnioną szerokimi blachami żelaza, przybitymi za pomocą ogromnych gwoździ, oraz jednym okienkiem cztery stopy wysokim, a osiemnaście cali szerokim.

Nie podążamy za kronikarzem w długim opowiadaniu schadzek, które Julian wyprosił u Heleny. Stosunek odzyskał serdeczność, jaką miał niegdyś w ogrodzie w Albano; jednakże Helena nigdy nie zechciała wyjść do ogrodu. Pewnej nocy uderzyła Juliana jej zaduma: matka przybyła z Rzymu, aby ją odwiedzić, i zamieszkała na kilka dni w klasztorze. Matka była zawsze tak tkliwa, tyle okazywała delikatności dla uczuć, których domyślała się w córce, że Helena czuła głębokie wyrzuty, iż musi ją oszukiwać: jakże bowiem ośmieliłaby się wyznać, że miewa schadzki z mordercą jej syna? W końcu Helena wyznała szczerze Julianowi, że jeśli ta dobra matka zapyta ją wprost, nie będzie miała siły jej okłamywać. Julian uczuł całe niebezpieczeństwo; los jego zależał od przypadku, który mógł podsunąć jakieś słowo pani Campireali. Następnego nocy przemówił stanowczym tonem w ten sposób:

— Jutro przybędę wcześniej, usunę jedną sztabę w tej kracie, ty zejdziesz do ogrodu, zaprowadzę cię do kościoła w mieście, gdzie oddany mi ksiądz nas połączy. Zanim się zrobi dzień, znajdziesz się z powrotem w ogrodzie klasztornym. Skoro raz zostaniesz moją żoną, będę już bez obawy. Jeśli matka twoja zażąda tego jako pokuty za okropne nieszczęście, nad którym bolejemy wszyscy, zgadzam się nawet na to, aby spędzić kilka miesięcy z dala od ciebie.

Kiedy Helena zdawała się oszołomiona tą propozycją, Julian dodał:



— Księżę wzywa mnie do siebie; honor i inne względy każą mi jechać. Jedyne to, czego żądam, może zapewnić naszą przyszłość; jeśli się nie zgadzasz, rozstańmy się na zawsze, tu, w tej chwili. Odjadę, wyrzucając sobie swoją nierozwagę. *Uwierzyłem twemu słowu*, sprzeniewierzyłaś się najświętszym ślubom. Mam nadzieję, że słuszna wzgarda obudzona twą zmiennością zdoła mnie uleczyć z miłości, która od zbyt dawna jest nieszczęściem mego życia.

Helena załapała się łzami.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła z płaczem. — Cóż za cios dla matki!

Zgodziła się wreszcie.

— Ale — dodała — mogą nas spostrzec, kiedy będziemy wychodzili lub wracali; pomyśl, co za zgorzenie, pomyśl o okropnym położeniu, w jakim znalazłaby się matka; poczekajmy, aż odjedzie.

— Sprawiałaś, że zwątpiłem w to, co było dla mnie najświętsze: twoje słowo. Jutro wieczór będziesz moją żoną lub widzimy się w tej chwili ostatni raz z tej strony grobu.

Biedna Helena zdołała odpowiedzieć jedynie łzami. Gnębił ją zwłaszcza stanowczy i okrutny ton Juliana. Czy w istocie zasłużyła na wzgardę? Czy to był ów kochanek niegdyś tak powolny i czuły? Wreszcie zgodziła się na to, co jej przykazał. Julian odszedł. Od tej chwili Helena czekała następnej nocy w męczarniach rozdzierającego lęku. Gdyby się przygotowywała na pewną śmierć, boleść jej byłaby mniej dotkliwa; mogłaby znaleźć nieco otuchy w myśli o Julianie i o tkliwym przywiązaniu matki. Reszta nocy zeszła jej na najsmutniejszych wahaniach. Były chwile, że chciała wszystko wyznać matce. Kiedy nazajutrz stanęła przed nią, była tak blada, że matka, zapominając o wszelkich postanowieniach, rzuciła się w ramiona córki, wołając:

— Co się dzieje? Wielki Boże! powiedz, coś ty uczyniła albo co masz uczynić? Gdybyś wzięła sztylet i utopiła mi go w sercu, mniej byś mi zadała bólu niż tym okrutnym milczeniem.

Helena tak żywo uczuła tkliwość matczyną, tak jasno widziała, że matka nie tylko nie przesadza swych uczuć, ale raczej je powściąga, iż roztkliwiła się sama; padła do jej kolan. Kiedy matka, dochodząc, co to może być za nieszczęsna tajemnica, wykrzyknęła, iż Helena chce od niej uciec, Helena odparła, że nazajutrz i przez dni następne pozostanie przy niej, ale błaga, aby o nic więcej nie pytała.

Po tym niebacznym słówku nastąpiło pełne wyznanie. Pani Campireali wzdrgnęła się na wiadomość, że morderca syna znajduje się tak blisko. Ale po tym okrutnym bólu nastąpił wylew żywej i czystej radości. Któż zdoła sobie wyobrazić jej szczęście, kiedy się dowiedziała, że córka nigdy nie chybiła swoim obowiązkom?

Natychmiast roztropna matka odmieniła z gruntu zamiary; uznała, że wolno się jej uciec do podstępów wobec człowieka, który nie był dla niej niczym. Serce Heleny było w straszliwej rozterce; wyznała wszystko do ostatka, ta umęczona dusza potrzebowała się wynętrzyć. Signora Campireali, która działała w przeświadczeniu, że jej wszystko wolno, wytoczyła szereg argumentów, zbyt długich, aby je tu przytaczać. Dowiodła bez trudu nieszczęsnej córce, że w miejsce tajnego małżeństwa, które zawsze jest plamą dla kobiety, uzyska małżeństwo publiczne i pełne chwały, jeśli zechce na tydzień odłożyć akt posłuszeństwa wobec tak szlachetnego kochanka.

Ona, signora Campireali, uda się do Rzymu; przedstawi mężowi, że na długo przed nieszczęsną walką Helena była żoną Juliana. Ceremonii dokonano owej nocy, kiedy, przebrana w habit, spotkała ojca i brata nad jeziorem, na dróźnie wyrąbanej w skale, która ciągnie się wzdłuż murów klasztoru kapucynów. Cały dzień matka nie opuściła córki; wreszcie nad wieczorem Helena napisała do kochanka naiwny i, naszym zdaniem, bardzo wzruszający list, w którym opowiedziała mu wszystkie walki targające jej sercem. Kończąc, błagała na kolanach o tydzień zwłoki.

Pisząc do Ciebie (dodała) ten list, na który czeka posłaniec mej matki, mam uczucie, iż źle zrobiłam zwierając jej wszystko. Widzę, jak się gniewasz, oczy Twoje patrzą na mnie z nienawiścią; najsmutniejsze wyrzuty rozdzierają moje serce. Powiesz, że mam charakter słaby, tchórzliwy, godny wzgardy; przyznaję, Drogi Aniele. Ale wyobraź sobie

Matka, Miłość niespełniona

ten widok: matka, zalana łzami, niemal klęcząca przede mną. Niepodobna mi było nie wyznać jej, że jest coś, co mi broni spełnić jej prośby; a skoro raz słabość moja wyrzekła niebaczne słowo, nie wiem, co się stało, ale było mi wręcz niepodobieństwem nie opowiedzieć wszystkiego, co zaszło. O ile mogę sobie przypomnieć, mam wrażenie, że dusza moja, wyzuta z wszelkiej siły, potrzebowała rady. Spodziewałam się znaleźć ją w słowach matki... Zapomniałam, Mój Drogi, że ta ukochana matka nie może być Twoją sojuszniczką. Zapomniałam o mym pierwszym obowiązku, którym jest słuchać Cię. Widocznie nie jestem zdolna do prawdziwej miłości, która, jak powiadają, wyższa jest nad wszystkie próby. Gardź mną, Julianie, ale na imię Nieba, nie przestań mnie kochać. Wykradnij mnie, jeśli chcesz, ale oddaj mi tę sprawiedliwość, iż gdyby matki nie było w klasztorze, najstraszliwsze niebezpieczeństwo, hańba nawet, nic nie wzbroniloby mi usłuchać Twych rozkazów. Ale matka jest tak dobra! tak rozumna, tak szlachetna! Przypomnij sobie, co Ci opowiadałam niegdyś: gdy ojciec wpadł do mego pokoju, matka ocaliła Twoje listy, których nie miałam już sposobu ukryć; następnie, gdy niebezpieczeństwo minęło, oddała mi je, nie czytając, bez słowa wymówki. I całe życie była dla mnie taka jak w owej straszliwej chwili. Sam widzisz, czym powinna ją kochać, a mimo to, w chwili gdy piszę do Ciebie — cóż za okropne wyznanie! — mam uczucie, że jej nienawidzę. Oznajmiła, że z powodu gorąca chce spać w ogrodzie; słyszę uderzenia młotków, ustawiają właśnie namiot, niepodobna nam widzieć się tej nocy. Lękam się nawet, że sypialnia zamknięta jest na klucz, zarówno jak drzwi na kręconych schodkach: rzecz, której nie robiono nigdy. Ostrożności te nie pozwoliłyby mi zejść do ogrodu, gdybym nawet chciała to uczynić, aby ułagodzić Twój gniew. Och, jakżebym się oddała Tobie w tej chwili, gdybym mogła! jak bym pobiegła do owego kościoła, gdzie nas mają połączyć!...

List ten kończyły dwie stronicę oszalałych wykrzyków, których żar wydał mi się jakoby naśladowany z filozofii platońskiej. Tłumacząc ten list, opuściłem wiele ozdób w tym rodzaju.

Julian Branciforte zdziwił się mocno, otrzymując pismo na godzinę przed wieczornym *Ave*; właśnie porozumiał się z księdzem. Gniew go ogarnął.

— Nie potrzebuje mi radzić, abym ją wykradł, ta słaba i tchórzliwa istota!

I ruszył natychmiast do lasu Faggiola.

Oto, z drugiej strony, jakie było położenie signory Campireali: mąż jej był umierający, niemożność pomszczenia się na Brancifortem wiodła go z wolna do grobu. Próżno ofiarował znaczne sumy rzymskim *bravi*; żaden nie chciał się targnąć na jednego z *kapralów* — jak ich mienili — księcia Colonna; zbyt byli pewni, że wytracono by ich i ich rodziny. Nie dalej niż w zeszłym roku spalono całą wioskę, aby pomścić śmierć jednego z żołnierzy Fabrycego Colonna; wszystkim mieszkańcom — mężczyznom i kobietom, którzy chcieli uciekać w pole, związano ręce i nogi sznurem, po czym rzucono ich w płomień.

Signora Campireali miała wielkie posiadłości w Królestwie Neapolu; mąż nakazał jej, aby sprowadziła stamtąd morderców, ale udała tylko, że go słucha; myślała, że córka jest bez ratunku związana z Julianem. W tym przeświadczeniu umyśliła, aby Julian odbył jedną lub dwie kampanie w armii hiszpańskiej, która wówczas wojowała z buntownikami we Flandrii. „Jeśli go nie zabiją, myślała, będzie to znak, że Bóg nie potępia tego koniecznego małżeństwa.” W takim razie oddałaby córce swoje ziemie neapolitańskie, Julian Branciforte przybrałby nazwisko od jednego z tych majątków i udałby się z żoną na parę lat do Hiszpanii. Po wszystkich tych próbach przemogłaby się może, aby znieść jego widok. Ale wszystko zmieniło fizjonomię od wyznania córki; małżeństwo nie było już konieczne, zgoła przeciwnie. Gdy Helena pisała do kochanka list, któryśmy przytoczyli, signora Campireali pisała do Pescara i do Chieti, nakazując swoim dzierzawcom, aby jej przysłali do Castro pewnych i śmiałych ludzi. Nie tała, że chodzi o pomszczenie śmierci ich młodego pana, Fabia. Goniec wyruszył przed zachodem słońca.

Ale nazajutrz Julian wrócił do Castro, wiedząc z sobą ośmiu żołnierzy gotowych iść za nim i narazić się na gniew księcia, który czasem śmiercią karał takie wybryki. Julian miał w Castro pięciu ludzi, przybywał z ośmioma; mimo to liczba czterestu żołnierzy, choćby najdzielniejszych, zdawała mu się niedostateczna na tę potrzebę: klasztor był niby warownia.

Chodziło o to, aby siłą czy zręcznością dostać się przez pierwszą bramę; następnie trzeba było minąć korytarz więcej niż pięćdziesiąt kroków długi. Na lewo, jak wspomniano, wznosiły się zakratowane okna koszar, w których zakonnice pomieściły kilkudziesięciu sług klasztornych, dawnych żołnierzy. W razie alarmu z okien tych posypałby się rzęsyty ogień.

Ówczesna ksieni, kobieta z głową, lękała się zakusów Orsinich, księcia Colonny, Marka Sciarra i tylu innych, którzy władali wszechmocnie w okolicy. Jak oprzeć się ośmiuset śmiałkom, gdyby zajęli niespodzianie miasteczko takie jak Castro w mniemaniu, że klasztor jest nabity złotem?

Zazwyczaj u wizytek w Castro znajdowało się piętnastu lub dwudziestu *bravi* w koszarach na lewo od korytarza wiodącego do furty klasztornej; na prawo od tego przejścia był wielki mur, niepodobny do przebycia; na końcu wznosiła się żelazna brama, wychodząca na sienią usianą kolumnami; za tą sienią był dziedziniec klasztorny, na prawo ogród. Tej żelaznej bramy strzegła siostra odźwierna.

Kiedy Julian wraz z ośmioma ludźmi znalazł się o trzy mile od Castro, zatrzymał się w gospodzie, aby przeczekać największy upał. Tam dopiero przedstawił swój zamiar; następnie wyrysował na piasku plan klasztoru, który chciał napaść.

— O dziewiątej — rzekł do swoich ludzi — powieczeraemy za miastem; o północy wejdziemy; zastaniemy pięciu kamratów, którzy czekają w pobliżu klasztoru. Jeden z nich, konny, uda gońca z Rzymu, aby odwołać signorę Campireali do łóża konającego męża. Będziemy się starali przebyć bez hałasu pierwszą bramę, która znajduje się wśród koszar — powiedział, rysując plan na piasku. — jeżeli zaczniemy bitwę przy pierwszej bramie, ciury klasztorne zbyt łatwo mogliby nas wystrzelać z muszkietów na placyku pod klasztorem lub w wąskim przejściu między pierwszą a drugą bramą. Druga brama jest żelazna, ale mam do niej klucz.

Prawda, że są tam olbrzymie wrznięte żelazne przytwierdzone do muru; kiedy są założone, wówczas nie ma sposobu otworzyć. Ale ponieważ te sztaby żelazne są zbyt ciężkie, aby odźwierna mogła je poruszyć, nigdy nie widziałem, aby je zamykano, a przechodziłem tamtędy z dziesięć razy. Mam nadzieję, że i dziś wieczór uda mi się przejść bez przeszkód. Zgadujecie, że mam sprzymierzeńców w klasztorze; zamiarem moim jest porwać osobę świecką, nie zakonnice; nie powinniśmy robić użytku z broni, chyba w ostateczności. Gdybyśmy wszczęli bitwę przed naszym przybyciem do drugiej bramy, odźwierna zawołałaby niechybnie dwóch starych ogrodników, mieszkających w klasztorze, i zdołaliby założyć sztaby, o których mówiłem. Jeżeli zdarzy się to nieszczęście, trzeba będzie rozbijać mur, co nam zabierze z dziesięć minut; w każdym razie ja podejść do bramy pierwszy. Jeden ogrodnik jest przekupiony; możecie się domyślić, że nie pisałem mu słowa o swoich zamiarach. Przebywszy drugą bramę bierzemy się na prawo i jesteśmy w ogrodzie; tam zaczyna się wojna, trzeba kłaść każdego, kto się nawinie. Będziecie używali, to się rozumie, jedynie szpady i pugińału; najmniejszy wystrzał poruszyłby całe miasto, zaatakowano by nas przy wyjściu. To nie znaczy, abym z trzynastoma zuchami takimi jak wy nie czuł się zdolny przejść przez ten kurnik, ale ten i ów w mieście ma rusznicę, strzelaliby z okien. W takim razie, mówię to nawiasem, trzeba by się przemykać pod same domy. Raz znalazłszy się w ogrodzie, powiadacie z cicha każdemu, kto się zjawi: „Zabieraj się stąd!” Kto nie usłucha, tego pugińalem. Ja wchodzę do klasztoru furtką z trzema, którzy się znajdują najbliżej, w trzy minuty później schodzę z jedną albo dwoma kobietami, które wyniesiemy na rękach, nie pozwolimy im chodzić. Po czym zmykamy żywo z klasztoru i z miasta. Dwóch zostanie przy bramie; oddadzą w krótkich odstępach ze dwadzieścia strzałów, aby nastraszyć mieszczan i trzymać ich z daleka.

Julian powtórzył dwa razy to objaśnienie.

— Czyście dobrze zrozumieli? — rzekł — W sieni będzie ciemno, po prawej ogród, po lewej dziedziniec; nie pomylicie.

— Możesz na nas polegać, kapitanie! — wykrzyknęli żołnierze.

Następnie poszli pić; tylko kapral został i poprosił kapitana o chwilę rozmowy.

— Nic prostszego — rzekł — niż projekt Waszej Dostojności. Włamywałem się już w życiu do dwóch klasztorów, to będzie trzeci; ale za mało nas jest, jeśli przyjdzie nam się bawić w burzenie muru, trzeba pamiętać, że ciury klasztorne nie zostaną bezczynne w czasie tej długiej operacji; ustrzelą panu siedmiu lub ośmiu ludzi, a kiedy będziemy wracali, mogą nam odebrać brankę. Tak nam się stało w pewnym klasztorze koło Bolonii: zabito nam pięciu ludzi, my zabiliśmy ośmiu, ale kapitan nie dostał swojej lubki. Poradzę Waszej Dostojności dwie rzeczy. Znam w pobliżu czterech wieśniaków, którzy dzielnie służyli pod Markiem Sciarra i którzy za cekina będą bili się całą noc jak lwy. Może i ukradną jakie srebro w klasztorze; pana to nic nie obchodzi, grzech jest ich: pan najął ich po to, aby porwali kobietę, oto wszystko. Druga rada jest taka. Nasz Hugo jest to sprytny i wykształcony chłopak; był lekarzem, nim zabił szwagra i umknął do *machia* (lasu). Może go pan posłać przed nocą do bramy klasztornej; poprosi o służbę i postara się, aby go wpuszczono na strażnicę; spoi tych ciurów, ba, może mu się uda zamoczyć im zapał u muszkietów.

Nieszczęściem Julian usłuchał rady kaprała. Odchodząc kapral dodał:

— Mamy się targnąć na klasztor, to pachnie ekskomuniką większą; co więcej, klasztor wizytęk jest pod osobliwą opieką Madonny...

— Rozumiem cię! — wykrzyknął Julian, jak gdyby zbudzony tym słowem. — Zostań ze mną!

Kapral zamknął drzwi i wrócił odmówić różaniec z Julianem. Trwało to dobrą godzinę. Skoro zapadła noc, ruszyli w drogę.

Kiedy wybiła północ, Julian, który sam wszedł do Castro koło jedenastej, wrócił po swoich ludzi znajdujących się poza bramami miasta. Wszedł z ośmioma żołnierzami, do których przyłączyło się trzech dobrze uzbrojonych chłopów; połączył się z pięcioma żołnierzami, których miał w mieście, i w ten sposób znalazł się na czele szesnastu ludzi gotowych na wszystko. Dwóch było przebranych za służących; wzięli obszerne czarne bluzy, aby osłonić swoje *giacco*, i nie mieli piór na czapkach.

O wpół do pierwszej Julian, który wziął na siebie rolę gońca, przybył galopem do bramy klasztoru, czyniąc wielki zgiełk i krzycząc, aby otworzono bezzwłocznie gońcowi kardynała. Ujrzał z przyjemnością, że żołnierze, którzy z nim rozmawiali przez okienko, są dobrze podpić. Zgodnie ze zwyczajem podał swoje nazwisko na kawałku papieru, żołnierz poszedł oddać tę kartkę odzwiernej, która miała klucz od drugiej bramy i budziła ksieni w ważnych wypadkach. Czekanie trwało śmiertelne trzy kwadranse; przez ten czas Julian z trudem zdołał utrzymać swą gromadkę w milczeniu. Ten i ów mieszczuch otwierał trwożliwie okno, kiedy wreszcie nadeszła pomyślna odpowiedź ksieni. Julian dostał się na strażnicę po małej drabince, którą mu podano z okna, ile że załozde klasztornej nie chciało się otwierać głównej bramy. Wszedł, a za nim dwaj żołnierze, przebrani za służących. Skacząc z okna do strażnicy, napotkał spojrzenie Hugona: cała strażnica była pijana dzięki jego staraniom. Julian oświadczył sierżantowi straży, że trzem służącym domu Campireali, których uzbroił i przebrał za żołnierzy, aby mieć eskortę w drodze, udało się dostać dobrej wódki; proszą tedy, by im pozwolono wejść, iżby się nie nudzili sami na ulicy. Przyzwolono jednogłośnie. Sam Julian w towarzystwie swoich dwóch ludzi zeszedł po schodkach, które prowadziły ze strażnicy na korytarz.

— Staraj się otworzyć główną bramę — rzekł do Hugona.

On sam dostał się spokojnie do bramy żelaznej. Tam zastał pocziwą siostrę odzwierną; oświadczyła mu, że gdyby go wpuszczono do klasztoru, ksieni musiałyby uprzedzić biskupa, ile że jest po północy; dlatego prosi, aby oddał list siostrzyczce, którą ksieni przysłała w tym celu. Na co Julian odpowiedział, iż w zamęcie spowodowanym niespodzianą agonią pana Campireali otrzymał jedynie list wierzitelny pisany przez lekarza; szczegółów ma udzielić ustnie żonie i córce chorego, o ile te panie są jeszcze w klasztorze, w każdym zaś razie wielbnej ksieni. Odzwierna poszła z tym zleceniem. Przy bramie została jedynie siostrzyczka przysłana przez ksienię. Gawędząc z nią, Julian wsunął rękę za pręty żelazne i niby żartem próbował otworzyć. Siostra, która była bardzo trwożliwa, zląka się i zgor-

szyla tą psotą; wówczas Julian widząc, że drogi czas mija, popełnił tę nierozwagę, że jej ofiarował garść cekinów prosząc, by mu otworzyła, gdyż nadto zmęczony jest, aby czekać dłużej. Czuł dobrze, że robi głupstwo, powiada kronikarz, że należało działać żelazem, nie złotem; ale nie miał serca; z łatwością mógł chwycić siostrę, była ledwie o stopę od niego po drugiej stronie kraty. Ofiarowane cekiny przestraszyły siostrzyczkę. Powiadała później, że z zachowania Juliana odgadła, że to nie jest prosty goniec: to kochanek którejś z zakonnicek — pomyślała — który przybył na schadzki; siostrzyczka zaś była nabożna. Przejęta zgrozą, zaczęła targać ze wszystkich sił sznur od dzwonka i niebawem narobiła hałasu zdolnego zbudzić zmarłych.

— Wojna się zaczyna — rzekł Julian do swoich ludzi — baczność!

Wyjął klucz i wsunawszy rękę przez kratę otworzył bramę, ku rozpaczyci siostrzyczki, która padła na kolana i jęła odmawiać *Ave Maria* wołając, że to świętokradztwo. Jeszcze w tej chwili Julian powinien uciszyć dziewczynę, ale nie miał odwagi; któryś z jego ludzi zatkał jej usta.

W tej chwili Julian usłyszał wystrzał z muszkietu za sobą. Hugo zdołał otworzyć bramę, reszta żołnierzy wchodziła po cichu, kiedy jeden ze straży, mniej pijany od innych, zbliżył się do okna i zdumiony, że widzi korytarz pełen ludzi, zaczął kląć i wykrzykiwać, że ich nie przepuści. Trzeba było nie odpowiadać i iść dalej ku żelaznej bramie; tak uczynili pierwsi żołnierze, ale ten, który szedł na ostatku — jeden ze zwербowanych po południu wieśniaków — wypalił z pistoletu do ciury, który wykrzykiwał przez okno, i zabił go. Ten strzał w ciemną noc oraz krzyki pijaków na widok padającego kamrata zbudziły żołnierzy klasztornych, którzy, spędzając tę noc w łóżku, nie mogli pokosztować Hugonowego winka. Ośmiu czy dziesięciu *bravi* skoczyło wpólnego na chodnik i jęli ostro nacierać na oddziałek Juliana.

Jak rzekliśmy, hałas ten rozpoczął się w chwili, gdy Julian otworzył bramę żelazną. Na czele dwóch żołnierzy skoczył w ogród, biegnąc ku drzwiczkom wiodącym na schody oddziału pensjonariuszek, ale przyjęto go pięcioma lub sześcioma strzałami z pistoletu. Dwaj żołnierze padli, on sam dostał kulę w prawe ramię. Strzały te oddali ludzie signory Campireali, którzy z jej rozkazu nocowali w ogrodzie, otrzymawszy szczególne pozwolenie biskupa. Julian pobiegł sam ku znanym sobie drzwiczkom, które wiodły na schody pensjonariuszek. Potrząsnął nimi z całych sił, ale były mocno zamknięte. Rozejrzał się za swymi ludźmi, ale nie odpowiedzieli nic, konali. W ciemności Julian natknął się na trzech pacholców pani Campireali; obronił się pugią.

Pobiegł z powrotem przez sieni do żelaznej bramy, aby wołać swoich ludzi; drzwi były zamknięte: ogrodnicy, zbudzeni dzwonkiem siostrzyczki, założyli wrzeczadze i zamknęli je na kłódki.

„Jestem odcięty” — powiedział sobie Julian.

Krzyknął na swoich ludzi; próżno siłił się skruszyć kłódkę szpada; gdyby mu się to udało, byłby odchylił jedną sztabę i otworzył jedno skrzydło. Szpada złamała się w pierścieniu; w tej chwili nadbiegł z ogrodu służący i zranił go w ramię. Julian odwrócił się; przyparty do bramy, uczuł, że naciera nań kilku ludzi. Bronił się pugią; szczęściem dzięki ciemności prawie wszystkie ciosy odbijały się od druczanej koszulki. Otrzymał dotkliwą ranę w kolano rzucił się na człowieka, który zanadto się odsłonił, powalił go ciosem pugią w twarz i zdołał zawładnąć jego szpada. Odetchnął, myślał, że jest ocalony; zajął pozycję po lewej stronie bramy, od dziedzińca. Ludzie jego, którzy nadbiegli, oddali kilka strzałów przez kratę i rozproszyli służbę. W sieni było coś widać jedynie przy blasku wystrzałów.

— Nie strzelajcie w moją stronę! — krzyczał Julian do swych ludzi.

— Chwycili pana niby w łapkę na myszy — rzekł doń przez kratę kapral, który zachował zimną krew — zabili nam trzech ludzi. Rozwalimy mur koło zawiasów po przeciwnej stronie; niech się pan nie zbliża, kule będą lecieć na nas; zdaje się, że są nieprzyjaciele w ogrodzie?

— To te łajdaki, ciury Campirealich — odparł Julian.

Nie skończył mówić, kiedy zaczęto ich ostrzeliwać z pistoletów; strzały kierowały się głosem, a szły od sieni wiodącej na ogród. Julian schronił się do izdebki odzwiernej, na lewo od wejścia; ku wielkiej radości znalazł tam niedostrzegalną prawie lampkę przed obrazem Madonny; ujął ją ostrożnie, aby jej nie zgasić. Uczuł, że drży; obejrzał ranę

w kolanie, która mu bardzo dolegała; krew płynęła obficie. Spoglądając dokoła ujrzał zemdloną kobietę na krześle; zdumiał się poznając Marietę, zaufaną Heleny; potrząsnął nią.

— Och, panie Julianie! — wykrzyknęła z płaczem — chce pan zabić Marietę, swoją przyjaciółkę?

— Ani trochę; powiedz Helenie, iż ją przepraszam, że zakłóciłem jej spokój; niech pamięta *Ave Maria* w Monte Cavi. Oto bukiet, który zerwałem w jej ogrodzie w Albano; nieco splamiony krwią, umyj go, zanim jej oddasz.

W tej chwili rozległa się salwa muszkietów od strony korytarza; to *bravi* atakowali ludzi Juliana.

— Powiedz mi, gdzie jest klucz od furtki? — spytał Mariety.

— Nie widzę go; ale oto klucze od kłódek przy wrzeczadkach od wielkich drzwi. Będzie pan mógł wyjść.

Julian pochwycił klucze i wypadł z izdebki.

— Nie silcie się rozważać muru — rzekł do żołnierzy — mam klucze.

Nastała chwila głębokiego milczenia, gdy Julian próbował otworzyć kłódkę; pomylił się co do klucza, wziął inny, wreszcie otworzył; ale w chwili gdy podnosił sztabę, otrzymał z bliska postrzał w prawe ramię. Uczuł, że traci władzę w tym ramieniu.

— Podnieście sztabę! — krzyknął na ludzi.

Nie potrzebował im tego mówić.

Przy blasku strzałów pistoletowych ujrzeli zagięty koniec żelaza na wpół już poza pierścieniem. Natychmiast kilka krzepkich rąk podniosło sztabę; kiedy koniec znalazł się poza pierścieniem, upuszczono ją. Wówczas można było uchylić jedno ze skrzydeł; kapral wszedł i szepnął do Juliana:

— Nic się już nie da zrobić; jest nas ledwie trzech czy czterech bez ran; pięciu nie żyje.

— Krew ze mnie uchodzi — odparł Julian — czuję, że zemdleję; powiedz im, aby mnie wynieśli.

W chwili gdy Julian rozmawiał z dzielnym kapralem, żołnierze klasztorni dali jeszcze kilka strzałów i kapral padł martwy. Szczęściem Hugo słyszał rozkaz Juliana, zawołał po imieniu dwóch żołnierzy którzy go unieśli. Julian, który nie zemdlał, kazał, aby go nieśli przez ogród do furtki. Żołnierze zakleli, otrzymując ten rozkaz, mimo to usłuchali.

— Sto cekinów temu, kto otworzy drzwi! — wykrzyknął Julian.

Ale drzwi oparły się wysiłkom rozwścieczonych zuchów. Stary ogrodnik, usadowiony w oknie na drugim piętrze, ostrzeliwał ich mocno z pistoletu, przyświecając im w ten sposób w drodze.

Po bezskutecznym mocowaniu się z drzwiami Julian zemdlał zupełnie; Hugo krzyknął na żołnierzy, aby czym prędzej unieśli kapitana. On sam wstąpił do izdebki odzwiernej, wypędził Marietę, nakazując jej straszliwym głosem, aby zmykała i nie ważyła się nigdy zdradzić, kogo poznała. Wyciągnął słomę z łóżka, połamał kilka krzeseł i podpalił izdebkę. Kiedy ujrzał, że dobrze płonie, uciekł co tchu wśród kanonady załogi.

Dopiero dalej niż o sto pięćdziesiąt kroków od witytek dopadł kapitana, zupełnie zemdłego, którego unoszono co sił. W kilka minut później, za miastem, Hugo nakazał postój; miał ledwie czterech żołnierzy, odesłał dwóch do miasta z rozkazem oddawania strzałów z muszkietu co pięć minut.

— Starajcie się odszukać rannych kamratów — rzekł — i opuśćcie miasto przed świtem; my udamy się ścieżką do Croce Rossa. Jeśli możecie gdzie podłożyć ogień, nie żałujcie sobie.

Kiedy Julian odzyskał przytomność, znajdowali się o trzy mile od miasta i słońce było już wysoko. Hugo zdał mu raport.

— Twój oddział, kapitanie, składa się już tylko z pięciu ludzi, z tych trzech ranni. Dwaj wieśniacy, którzy zostali przy życiu, otrzymali po dwa cekiny i uciekli; dwóch nierannych posłałem do miasteczka po chirurga.

Chirurg, trzęsący się starzec, przybył niebawem na wspaniałym osle; trzeba mu było zagrozić podpaleniem domu, aby go skłonić do przybycia. Tak był wystraszony, że musiano go napoić wódką, aby go doprowadzić do możliwego stanu. Wreszcie wziął się do roboty; oświadczył Julianowi, że rany jego nie są groźne.

— Rana w kolanie też nie jest niebezpieczna — dodał — ale będzie pan kulał całe życie, jeśli nie zachowasz zupełnego spokoju dwa lub trzy tygodnie.

Chirurg opatrzył żołnierza. Hugo mrugnął na Juliana. Dano chirurgowi dwa cekiny, z których był bardzo kontent; po czym, tytułem wdzięczności, wiano weń tyle wódki, iż w końcu zasnął spokojnie. O to chodziło. Przeniesiono go dalej w pole, zawinięto w papier cztery cekiny i włożono mu je do kieszeni: była to zapłata za osła, na którego wsadzono Juliana i rannego w nogę żołnierza. Przeczekano największy upał w starożytniej ruinie nad stawem; szli całą noc, unikając wsi, wreszcie na trzeci dzień o wschodzie słońca Julian, niesiony przez swoich ludzi, obudził się w lesie Faggiola, w chatce węglarza, która była jego generalną kwaterą.

## VI

Nazajutrz po bitwie siostry wizytki znalazły ze zgrozą dziesięć trupów w ogrodzie i w korytarzu wiodącym od głównej bramy do żelaznej furty; załoga klasztorna liczyła ośmiu rannych. Nigdy klasztor nie zakosztował takiego strachu; słyszano niekiedy strzelaninę na ulicy, ale nigdy tylu strzałów w ogrodzie, w zabudowaniach klasztornych i pod oknami zakonnicy. Rzecz trwała dobre półtorej godziny, przez ten czas panował w samym klasztorze nieopisany zamęt. Gdyby Julian Branciforte pozyskał był najłżejszą pomoc którejś z zakonnicy albo pensjonarek, byłby dopiął celu; wystarczyłoby, aby mu otworzyły któreś z licznych drzwi wychodzących na ogród. Ale przejęty oburzeniem i wściekłością na to, co mienił wiarołomstwem Heleny, Julian chciał działać jedynie siłą. Uważałby to za uchybienie samemu sobie, gdyby powierzył swój zamiar komukolwiek, kto by go mógł powtórzyć Helenie. Jedno słowo przesłane Mariecie byłoby wystarczyło; byłaby otworzyła drzwi do ogrodu, mężczyzna zaś zjawiający się w sypialniach klasztoru, przy strasliwym akompaniamencie strzałów, zyskałby posłuch bez cienia oporu. Po pierwszych strzałach Helena drżała o życie kochanka i myślała jedynie o tym, aby ujść z nim razem.

— Jak odmalować jej rozpacz, kiedy Marieta opowiedziała o okropnej ranie, którą Julian otrzymał w kolano i z której w jej oczach krew płynęła obficie. Helena przeklinała swoje tchórzostwo i brak charakteru.

— Miałam tę słabość, aby się zwierzyć matce, i Julian zapłacił to krwią; mógł zginąć w owym wspaniałym ataku, w którym męstwo jego dokazało cudów.

*Bravi*, wpuszczeni do rozmównicy, opowiadali siostrze, słuchającym ich chciwie, że w życiu nie widzieli męstwa równego temu, jakie rozwinął herszt bandytów, ów młodzieniec w przebraniu gońca.

Jeśli wszystkie mieszkanki klasztoru słuchały tych opowiadań z najwyższym współudziałem, można sobie wyobrazić, jak namiętnie Helena chwytiała szczegóły o młodym wodzu. Kiedy słuchała opowiadań klasztornych sług oraz dwóch starych ogrodników, nader bezstronnych świadków, miała uczucie, że zupełnie już nie kocha matki. Nastąpiła nawet żywa wymiana słów między tymi istotami, które się tak tkliwie kochały w wilię walki; signorę Campireali zgorszyły ślady krwi widniejące na bukecie, z którym Helena nie rozstawała się ani na chwilę.

— Rzuć te kwiaty zmazane krwią!

— To ja wytoczyłam tę szlachetną krew; popłynęła dlatego, że miałam tę słabość, aby się zwierzyć tobie.

— Kochasz jeszcze mordercę swego brata?

— Kocham mego małżonka, którego na me wiekuiście nieszczęście brat zmusił do walki.

Po tej odpowiedzi przez całe trzy dni, które signora Campireali spędziła w klasztorze, nie wymieniły ani słowa.

Nazajutrz po wyjeździe matki Helena zdołała się wymknąć korzystając z zamętu, jaki panował między dwoma bramami w klasztorze: wprowadzono do ogrodu mnóstwo murarzy, iżby tam zbudowali nowe fortyfikacje. Marieta i jej pani przebrały się za robotników. Ale obywatele miasta pełnili czujną straż u bramy. Helena miała dużo kłopotów z wydostaniem się. Wreszcie ten sam kramarz, który doręczał Helenie listy od Juliana, zgodził się podać ją za swą córkę i odprowadzić aż do Albano. Helena znalazła schronienie u swojej mamki, która dzięki jej dobrodziejstwom miała tam sklepik. Natychmiast po

przybyciu Helena napisała do Juliana, a mamka znalazła, nie bez trudu, człowieka, który odważył się zapuścić w las Faggiola, mimo iż nie znał hasła żołnierzy Colony.

Wysłannik wrócił po trzech dniach mocno wystraszony; nie mógł znaleźć Juliana Branciforte, a kiedy się zbyt pilnie wypytywał o młodego kapitana, ściągnął na siebie podejrzenie, tak iż w końcu zmuszony był uciekać.

— Nie ma wątplenia, biedny Julian nie żyje, i to ja go zabiłam! Musiał być taki skutek mojej nędznej słabości i tchórzostwa; Julian powinien był pokochać dzielną kobietę, córkę któregoś z kapitanów księcia Colony.

Mamka złąkla się, że Helena umrze. Udała się do klasztoru kapucynów, położonego przy skalistej drodze, gdzie niegdyś Fabio i jego ojciec spotkali w nocy parę kochanków. Mamka rozmawiała długo ze spowiednikiem i pod pieczęcią sakramentu wyznała mu, że młoda Helena Campireali pragnie się spotkać z Julianem Branciforte, swoim małżonkiem, i że gotowa jest ofiarować do klasztoru lampę wartości stu piastrów.

— Sto piastrów! — odparł mnich wzburzony. — A co się stanie z naszym klaszorem, jeśli ściągnie na siebie gniew pana Campireali? Nie sto, ale tysiąc piastrów dał nam za to, żeśmy przynieśli ciało syna jego z Ciampi, nie licząc wosku.

Trzeba powiedzieć na chwałę klasztoru, że dwaj starzy zakonnicy, dowiedziawszy się o położeniu Heleny, udali się do Albano w zamiarze sprowadzenia jej po woli lub po niewoli do rodzinnego pałacu; wiedzieli, że czeka ich bogata nagroda ze strony signory Campireali. Całe Albano rozbrzmiewało ucieczką Heleny i opowieściami o nagrodach przyrzeczonych przez matkę temu, kto dostarczy nowin o córce. Ale dwaj zakonnicy tak wzruszyli się rozpaczą Heleny, która była przekonana, że Julian Branciforte nie żyje, iż nie tylko nie zdradzili jej przed matką, ale podjęli się przeprowadzić ją aż do warowni Petrella. Helena i Marieta, wciąż przebrane za robotników, udały się pieszo nocą do źródła w lesie Faggiola, o milę od Albano. Zakonnicy przyprowadzili tam muły i kiedy zrobił się dzień, puścili się do Petrella. Żołnierze, którzy wiedzieli, że księżę otacza klasztor swą opieką, kłaniali się im z szacunkiem; ale inaczej było z dwoma młodzikami, którzy im towarzyszyli: żołnierze spoglądali na nich okiem zrazu surowym, a zbliżywszy się parskali śmiechem i wieszowali mnichom urody mulników.

— Milczcie, bezbożnicy, i wiedźcie, że to wszystko dzieje się z rozkazu księcia Colony — odpowiadali zakonnicy, nie zatrzymując się.

Ale biedna Helena nie miała szczęścia; księcia nie było w Petrella, kiedy zaś trzy dni później po powrocie udzielił jej posłuchania, obszedł się z nią bardzo twardo.

— Po co acanna tu przybyła? Co znaczy ten niewczesny koncept? Twoje babskie paplanie spowodowało śmierć siedmiu najtęższych zuchów w całych Włoszech, czego żaden rozsądny człowiek nie przebaczy nigdy. Na tym świecie trzeba chcieć albo nie chcieć. Z pewnością także nowe twoje paplarstwo jest powodem, że Juliana Branciforte ogłoszono *świętokradcą* i skazano na dwugodzinne szarpanie rozżarzonymi kleszczami, a potem na spalenie żywcem jak Żyda, jego, najlepszego chrześcijanina, jakiego znam! Jakżeby ktoś mógł bez jakichś bezecznych plotek acanny wymyślić to niecne kłamstwo, że Branciforte był w Castro w dniu napadu na klasztor? Wszyscy moi ludzie zaświadczą ci, że owego dnia widziano go tu w Petrella, wieczór zaś wysłałem go do Velletri.

— Ale czy żyje? — wołała po raz dziesiąty Helena, zalewając się łzami.

— Umarł dla acanny — odparł księżę — nie ujrysz go już nigdy. Radzę acannie, wracaj do klasztoru i staraj się trzymać język za zębami; nakazuję ci opuścić Petrella w ciągu godziny. Zwłaszcza nie opowiadaj nikomu, żeś mnie widziała, lub potrafię cię ukarać.

Biedna Helena boleśnie odczuła przyjęcie sławnego księcia Colony, dla którego Julian miał tyle czci i którego kochała, ponieważ on go kochał.

Mimo opinii księcia ten krok Heleny nie był źle pomyślany. Gdyby przybyła do Petrella trzy dni wcześniej, zastałaby Juliana, rana w kolanie nie pozwalała mu chodzić i księżę kazał go przewieźć do Avezzano, sporego miasta w Królestwie Neapolu. Na pierwszą wiadomość o strasliwym wyroku na Juliana Branciforte, kupionym przez pana Campireali, który to wyrok głosił go świętokradcą i gwałcicielem klasztoru, księżę zrozumiał, że gdyby chodziło o obronę Juliana, nie może liczyć ani na czwartą część swoich ludzi. To był grzech przeciw Madonnie, do której opieki każdy ze zbójców rościł sobie szczególne



prawo. Gdyby się znalazł w Rzymie *bargello* dość śmiały i spróbował ująć Juliana w lasach Faggiola, może by mu się to udało.

Julian przybył do Avezzano pod mianem Fontany, a ludzie, którzy go przywieźli, byli dyskretni. Wróciwszy do Petrella oznajmili ze smutkiem, że Julian umarł w drodze, i od tej chwili każdy z żołnierzy księcia wiedział, że ten, kto by wymówił to nieszczęsne imię, naraziłby się na pchnięcie puginałem w serce.

Próżno tedy Helena, wróciwszy do Albano, pisała list po liście i wydała na posłańców wszystkie cekiny, jakie posiadała. Owi dwaj starzy zakonnicy powzięli dla niej wielką życzliwość, niezwykłą uroda bowiem, powiada kronikarz florencki, ma wpływ nawet na serce zarosłe plugawym samolubstwem i obłudą. Tłumaczyli tedy biednej dziewczynie, że daremnie siliłaby się przesłać pismo Julianowi: Colonna oświadczył, że nie żyje, i z pewnością Branciforte zjawi się na świecie nie wprzód, aż książe będzie sobie tego życzył. Mamka Heleny oznajmiła jej z płaczem, że matka odkryła w końcu jej schronienie i że wydała najsurowsze rozkazy, aby ją dostawiono siłą do pałacu Campireali w Albano. Helena zrozumiała, że skoro raz znajdzie się w tym pałacu, więzienie jej może się stać bezgranicznie surowe i że zdolają jej wzbronić bezwarunkowo styczności ze światem, podczas gdy w klasztorze w Castro będzie mogła prowadzić korespondencję równie łatwo jak inne zakonnice. Zresztą — i to ją skłoniło ostatecznie — w ogrodzie tego klasztoru Julian przelał dla niej krew; ujrzy to drewniane krzesło w izdebce odzwiernej, gdzie przysiadł na chwilę, aby obejrzeć ranę w kolanie; tam to dał Mariecie ów zakrwawiony bukiet, z którym Helena się odtąd nie rozstawała. Wróciła tedy smutno do Castro i tu można by zakończyć jej dzieje; byłoby to dobre dla niej, a może i dla czytelnika. Odtąd będziemy w istocie świadkami powolnego poniżenia szlachetnej i tkliwej duszy. Bezmyślne względy i kłamstwa cywilizacji, które ją odtąd otoczą ze wszystkich stron, zastąpią odruch krzepkich i szczerych namiętności. Rzymski kronikarz robi tu naiwną uwagę: „Dlatego że kobieta zada sobie tę fatygę, aby urodzić ładną córkę, myśli, że posiada talenty pokierowania jej życiem. Dlatego że kiedy córka miała sześć lat, mówiła jej bardzo słusznie: «moje dziecko, wyprostuj sobie kołnierzyk» — wówczas gdy ta córka ma tyleż albo i więcej rozumu niż matka, matka, zaślepiona chęcią panowania, czuje się w prawie kierować jej życiem i posługiwać się kłamstwem”. Ujrzymy, że to Wiktoria Carafa, matka Heleny, za pomocą zręcznych i chytrych sposobów spowodowała śmierć ukochanej córki, będąc sprawczynią jej nieszczęść przez dwanaście lat. Smutny owoc żądzy panowania!

Matka, Córka, Władza

Przed śmiercią pan Campireali doczekał się tej radości, że w Rzymie ogłoszono wyrok skazujący Juliana Branciforte na szarpanie przez dwie godziny rozżarzonymi obcęgami na placach Rzymu, a potem na spalenie na wolnym ogniu i wrzucenie popiołów do Tybru. Na freskach w klasztorze Najświętszej Panny we Florencji można oglądać jeszcze dziś, w jaki sposób wykonywano te okrutne wyroki na świętokradcach. Zazwyczaj trzeba było silnej straży, aby powstrzymać oburzony lud, który chciał zastąpić kata w jego funkcjach. Każdy uważał się za osobistego przyjaciela Madonny. Pan Campireali kazał sobie odczytać ten wyrok niedługo przed śmiercią; adwokatowi, który go uzyskał, darował piękne dobra między Albano a morzem. Adwokat ów nie był w tym bez zasług. Juliana skazano na tę okrutną karę, mimo że nikt go nie rozpoznał pod przebraniem młodego kuriera, który tak dzielnie kierował napadem. Ten wspaniały dar nie dał spać wszystkim intrygantom w całym Rzymie. Był wówczas na dworze niejaki *fratone* (mnich), człowiek przebiegły i zdolny do wszystkiego, nawet do wymuszenia na papieżu kardynalskiego kapelusza; zajmował się sprawami księcia Colonna i ten straszliwy klient przymnażał mu wiele reputacji. Kiedy signora Campireali dowiedziała się, że córka wróciła do Castro, kazała wezwać owego *fratone*.

— Wasza Wielbność otrzyma wspaniałą nagrodę, jeśli zechce pomóc w sprawie nader prostej, którą natychmiast wyłożę. W najbliższych dniach wyrok, który skazuje Juliana Branciforte na straszliwą karę, ma być ogłoszony i stanie się prawomocny w Królestwie Neapolu. Proszę, niech Wasza Wielbność zechce przeczytać ten list wicekróla, po trosze mego krewniaka, który raczy mi oznajmiać tę nowinę. Na jakiej ziemi Branciforte będzie mógł szukać schronienia? Każę doręczyć pięćdziesiąt tysięcy piastrów księciu z prośbą, aby przekazał wszystko albo część Julianowi pod warunkiem, że przyjmie służby u króla hiszpańskiego, mego pana, przeciw buntownikom we Flandrii. Wicekról wystawii temu Branciforte dekret na kapitana; iżby zaś wyrok za świętokradztwo (który mam nadzieję

uprowomocnić i w Hiszpanii) nie szkodził mu w karierze, przybierze nazwisko barona Lizzara; jest to mająteczek, który mam w Abruzzach i który za pomocą fikcyjnej sprzedaży zdołam mu przekazać na własność. Sądzę, iż Wasza Wielbność nigdy nie widział, aby matka w ten sposób obchodziła się z mordercą swego syna. Za cenę pięciuset piastrów od dawna mogliśmy się pozbyć nienawistnego młokosa; ale nie chcieliśmy wchodzić w zatarg z Colonną. Toteż raczy Wasza Wielbność przedstawić księciu, iż szacunek dla jego praw kosztuje mnie sześćdziesiąt albo osiemdziesiąt tysięcy piastrów. Nie chcę już słyszeć nigdy o tym Branciforte; a zwłaszcza niech Wasza Wielbność przedłoży mój szacunek księciu.

*Fratone* oświadczył, że do trzech dni wybierze się w stronę Ostii, a signora Campireali wręczyła mu pierścień wartości tysiąca piastrów.

W kilka dni później *fratone* zjawił się w Rzymie i oświadczył pani Campireali, że nie udzielił jej propozycji księciu; ale że przed miesiącem młody Branciforte popłynął do Barcelony, gdzie może mu doręczyć pięćdziesiąt tysięcy piastrów za pośrednictwem któregoś z bankierów.

Książę spotkał się ze strony Juliana z wielkimi trudnościami; mimo niebezpieczeństw, jakie mu odtąd groziły we Włoszech, młody kochanek nie mógł się zdobyć na to, aby opuścić kraj. Próżno książę przedkładał mu, że signora Campireali może umrzeć; próżno obiecywał, że w każdym wypadku po upływie trzech lat Julian będzie mógł wrócić do kraju; Julian płakał, ale nie godził się. Wreszcie książę musiał zażądać od niego tego wyjazdu jako osobistej przysługi; Julian nie mógł niczego odmówić przyjacielowi ojca; ale przede wszystkim chciał spytać o rozkazy Heleny. Książę raczył się podjąć przesłania długiego listu, co więcej, pozwolił Julianowi pisywać do niej z Flandrii raz na miesiąc. Wreszcie zrozpaczony kochanek puścił się do Barcelony. Książę, który nie życzył sobie, aby Julian wrócił kiedykolwiek, palił wszystkie jego listy. Zapomnieliśmy powiedzieć, iż mimo że bardzo odległy od wszelkiej próżności, książę czuł się zmuszony powiedzieć w interesie sprawy, że to on zapewnia majątek w wysokości pięćdziesięciu tysięcy piastrów synowi jednego z najwierniejszych sług domu Colonnów.

Biedną Helenę traktowano w klasztorze w Castro jak księżniczkę. Śmierć ojca uczyniła ją dziedziczką olbrzymiego majątku, do którego przyłączyły się znaczne spadki. Po śmierci ojca kazała dać po pięć łokci czarnego sukna wszystkim mieszkańcom Castro i okolicy, którzy oświadczą chęć noszenia żałoby po panu Campireali. Jeszcze była w pierwszym okresie żałoby, kiedy nieznana ręka oddała jej list Juliana. Trudno oddać wzruszenie, z jakim otwarła ten list, jak również głęboki smutek po przeczytaniu. Było to wszakże pismo Juliana; zbadła list z największą bacnością. List mówił o miłości; o jakiej miłości, wielki Boże! Ale to signora Campireali, kobieta pełna rozumu, ułożyła ten list. Zamiarem jej było rozpocząć korespondencję od kilku listów przepelnionych namiętną miłością; chciała w ten sposób przygotować przejście do następnych, gdzie miłość miała stopniowo gasnąć.

Miniemy szybko dziesięć lat nieszczęśliwego życia. Helena sądziła, że Julian zupełnie o niej zapomniał, a mimo to odtrąciła wyniośle starania najwytworniejszych młodzieńców w Rzymie. Zawahała się wszakże chwilę, kiedy jej wspomniano o młodym Oktawie Colonna, najstarszym synu słynnego Fabrycego, który ją niegdyś tak źle przyjął w Petrella. Zdawało się jej, że skoro nieodzownie musi wyjść za mąż, aby dać opiekuna majątkom, jakie miała w państwie rzymskim i w Królestwie Neapolu, mniej będzie jej wstrętne nosić nazwisko człowieka, którego Julian niegdyś kochał. Gdyby się Helena zgodziła na to małżeństwo, doszłaby rychło prawdy co do Juliana. Stary książę Fabrycy mawiał często i z zapałem o nadludzkiej dzielności i czynach pułkownika Lizzara (Juliana Branciforte), który, podobny bohaterom dawnych romansów, starał się pocieszyć pięknymi czynami po nieszczęśliwej miłości, odbierającej mu smak do wszelkich uciech. Myślał, że Helena od dawna wyszła za mąż; signora Campireali otoczyła i jego kłamstwem.

Helena pojednała się na poły z tą przemyślną matką. Ta, pragnąc gorąco, aby córka wyszła za mąż, poprosiła swego przyjaciela, starego kardynała Santi-Quatro, protektora zakonu wizytek, który udawał się do Castro, aby oznajmił poufnie co najstarszym siostrą, że przyczyną opóźnienia jego podróży był pewien akt łaski. Dobry papież Grzegorz XIII, zdjęty litością dla złoczyńcy imieniem Julian Branciforte, który niegdyś targnął się na ich klasztor, raczył, dowiadując się o jego śmierci, odwołać wyrok mieniający go świę-

tokradcą. Papież uczynił to w świętym przekonaniu, iż pod brzemieniem takiego wyroku Branciforte nie mógłby nigdy wydostać się z czyścica, o ile człowiek ten, ujęty w Meksyku i zamordowany przez zbuntowanych dzikich, miał szczęście dostać się w ogóle do czyścica. Nowina ta wprawiała we poruszenie cały klasztor; doszła i do Heleny, która oddawała się wówczas wszystkim szaleństwom próżności, jakie osobie głęboko znudzonej może podsunąć posiadanie wielkiego majątku. Począwszy od tej chwili nie opuściła pokoju. Trzeba wiedzieć, iż aby móc pomieścić swój pokój w izdebce odzwiernej, gdzie Julian schronił się na chwilę w noc walki, Helena kazała przebudować cały klasztor. Z niesłychanym mozolem, z powszechnym i trudnym do załagodzenia zgorszeniem zdołała wyszukać i przyjąć w swe służby owych trzech zuchów, których niegdyś użył Branciforte i którzy pozostali przy życiu z pięciu ocalonych z utarczki w klasztorze. W ich liczbie znajdował się Hugon, stary już i pocętkowany ranami. Widok tych ludzi wzniecił wiele szemrań; ostatecznie lęk, jaki duma Heleny budziła w całym klasztorze, zwyciężył. Odtąd widywano ich co dzień, jak przybrani w barwy Heleny przychodzili do kraty po jej rozkazy i nieraz długo odpowiadali na jej pytania, zawsze w tym samym przedmiocie.

Po półrocznym zamknięciu i zubożeniu na wszystkie rzeczy świata, jakie nastąpiło u niej po wiadomości o zgonie Juliana, pierwszym wrażeniem, jakie obudziło tę duszę już złamaną nieuleczalnym nieszczęściem i długą nudą, było drgnienie próżności.

Ksieni klasztoru zmarła niedawno. Wedle zwyczaju kardynał Santi-Quatro, który był jeszcze protektorem wizytek mimo swoich dziewięćdziesięciu dwóch lat, ułożył listę trzech zakonnic, z których papież miał wybrać ksienię. Trzeba było bardzo ważnych pobudek, aby Jego Świątobliwość odczytał dwa dalsze nazwiska na tej liście, zwykle poprzestawał na przekreśleniu ich i nominacja była dokonana.

Pewnego dnia Helena znajdowała się w oknie dawnej izdebki odzwiernej, która stała się obecnie krańcem nowego skrzydła, wzniesionego z jej rozkazu. Okno to znajdowało się nie wyżej niż dwie stopy nad chodnikiem zbroczonym niegdyś krwią Juliana, a obecnie wcielonym do ogrodu. Helena miała oczy głęboko utkwione w ziemi. Trzy panie, o których wiadano od kilku godzin, że kardynał pomieścił je na liście, przeszły pod oknem Heleny. Nie widziała ich i tym samym nie mogła ich pozdrowić. Jedna z dam uczuła się dotknięta i ozwała się dość głośno:

— Ładne mi obyczaje, aby pensjonariuszka wystawiała swój pokój na widok publiczny!

Zbudzona tymi słowami z zadumy, Helena podniosła oczy i spotkała trzy jadowite spojrzenia. „Ba! — rzekła do siebie, zamykając okno, nie ukloniwszy się — dość długo jestem jagnięciem w tym klasztorze, trzeba mi zostać wilkiem choćby po to, aby dostarczyć rozrywki gapiom z miasteczka.”

W godzinę później jeden z jej ludzi, wyprawiony jako goniec, zawiózł następujący list do jej matki, która od dziesięciu lat mieszkała w Rzymie i umiała tam sobie wyrobić znaczne wpływy.

Wielce Czcigodna Pani Matko!

Co rok dajesz mi trzysta tysięcy franków w dzień imienin; obracam tutaj te pieniądze na szaleństwa, szanowne co prawda, ale zawsze szaleństwa. Mimo że mi tego nie przypominasz od dawna, wiem, że miałabym dwa sposoby dowiedzenia Ci mojej wdzięczności za dobre intencje, jakie dla mnie żywiłaś. Nie wyjdę za mąż, ale zostałabym chętnie ksienią<sup>10</sup> tego klasztoru; myśl tę zrodziła we mnie okoliczność, że trzy panie pomieszczone na liście przez naszego kardynała są moimi wrogami; którąkolwiek by wybrano, czekałyby mnie wszelkie dokuczliwości. Ofiaruj mój bukiet imieninowy tam, gdzie trzeba; na początek odwleczmy nominację na pół roku, co uszczęśliwi przeoryszę, moją dobrą przyjaciółkę, obecnie sprawującą rządy. Już to samo będzie dla mnie szczęściem, a słowa tego rzadko mogę użyć, mówiąc

<sup>10</sup>...ksieni... przeorysza — w pewnych klasztorach żeńskich przeorysza była godnością wyższą niż ksieni, która zastępowała ją i była pierwszą zakonnicą w zgromadzeniu.

o Twojej córce. Pomysł mój jest szalony, wiem; ale jeśli widzisz jaką nadzieję powodzenia, za trzy dni przywdziej białą welon; osiem lat mieszkania w klasztorze bez jednego dnia przerwy daje mi prawo do półrocznego odpustu. Dyspensy nie odmawia się, to kosztuje czterdzieści talarów.

Pozostaję z całym szacunkiem, Czciogodna Pani Matko, etc.

List ten przepelnił radością signorę Campireali. Otrzymała go w chwili, gdy sobie żywo wyrzucała, iż oznajmiła córce śmierć Juliana; nie wiedziała, jak się skończy jej głęboka melancholia, przewidywała jakieś szaleństwo; bała się wręcz, aby córka nie zechciała oglądać w Meksyku miejsc, gdzie rzekomo padł Branciforte; wówczas, przejeżdżając przez Madryt, łatwo dowiedziałyby się o prawdziwym nazwisku pułkownika Lizzara. Z drugiej strony to, o co córka prosiła ją w liście, to była rzecz najtrudniejsza, a nawet można powiedzieć — najniedorzeczniejsza w świecie. Młoda dziewczyna, nie będąc nawet zakonnicą, znana jedynie z szalonej — podzielanej może! — miłości bandyty, miała stanąć na czele klasztoru, gdzie każdy magnat rzymski miał jakąś krewniaczkę! „Ale — myślała signora Campireali — powiadają, że każdy proces można wytoczyć, a tym samym wygrać. Jakoż w odpowiedzi swojej Wiktoria Carafa dała pewne nadzieje córce, która zazwyczaj miała zachcenia niedorzeczne, ale w zamian zapominała o nich bardzo łatwo. Wieczorem, zbierając wiadomości o wszystkim, co z daleka lub z bliska mogło tyczyć klasztoru w Castro, dowiedziała się, że od kilku miesięcy przyjaciel jej, kardynał Santi-Quatro, jest wielce zgryziony: pragnął wydać bratanicę za don Oktawa Colonna, starszego syna księcia Fabbrycego, o którym tak często była mowa w tym opowiadaniu. Księżę ofiarował mu swego drugiego syna, don Lorenza, ponieważ dla załatwienia jego fortuny mocno wyszczerbionej w wojnie, którą król Neapolu i papież, wreszcie pogodzeni, wydali zbójcom z lasów Faggiola, trzeba było, aby żona starszego syna wniosła domowi Colonna sześćset tysięcy piastrów (3 210 000 fr) posagu. Otóż kardynał Santi-Quatro, nawet wywłaszczając w najdziwszy sposób innych krewnych, nie mógł ofiarować więcej niż trzysta osiemdziesiąt do czterystu tysięcy talarów.

Wiktoria Carafa do późnej nocy wypytywała o te sprawy przyjaciół starego Santi-Quatro. Nazajutrz o siódmej rano kazała się oznajmić u starego kardynała.

— Eminencjo — rzekła — jesteśmy oboje bardzo starzy; nie byłoby celu oszukiwać się wzajem, dając piękne nazwy rzeczom, które nie są piękne. Przychodzę ci zaproponować szaleństwo; wszystko, co można powiedzieć na jego korzyść, to to, że nie jest wstrętne, ale wyznaję, iż zdaje mi się mocno niedorzeczne. Kiedy się toczyła sprawa o małżeństwo Oktawa Colonna z córką moją, Heleną, nabrałam sympatii dla tego młodzieńca i w dniu jego ślubu wypłacił Waszej Eminencji dwieście tysięcy piastrów w ziemi lub gotowiznie, z prośbą, byś mu je doręczył. Ale aby biedna wdowa mogła uczynić tak olbrzymią ofiarę, trzeba, by moja córka Helena, która liczy obecnie dwadzieścia siedem lat i która od dziewiętnastego roku życia nie opuściła klasztoru ani na jedną noc, została *ksienią w Castro*; trzeba by opóźnić w tym celu wybór o pół roku, rzecz kanonicznie dozwolona.

— Co pani powiada?! — krzyknął stary kardynał wzburzony. Nawet Jego Świątobliwość nie mógłby uczynić tego, czego pani żądasz od biednego, niedołęznego starca.

— Toteż mówiłam Waszej Eminencji, że pomysł jest niedorzeczny; głupcom wyda się szalony; ale ludzie znający stosunki na dworze pomyślą, że nasz miłościwy władca, dobry papież Grzegorz XIII, zechciał wynagrodzić wierne i długie służby Waszej Eminencji ułatwiając małżeństwo, którego jak całemu Rzymowi wiadomo, Eminencja pragnie. Zresztą rzecz jest bardzo możliwa, zupełnie kanoniczna, ręczę; córka moja przywdziej welon od jutra.

— Ale symonia, pani! — wykrzyknął kardynał straszliwym głosem.

Signora Campireali zabierała się do odejścia.

— Co pani za papier zostawia?

— To spis majątków, które oddałabym jako równowartość dwustu tysięcy piastrów, w razie gdyby nie chiano gotowizny; przelanie tytułów własności można by trzymać

w ukryciu długi czas; na przykład Colonnowie mogliby wytoczyć proces, który bym przegrała.

— Ale symonia, pani, okropna symonia!

— Trzeba zacząć od odroczenia wyboru na pół roku; jutro przyjdę po rozkazy Waszej Eminencji.

Czuję, że czytelnikowi urodzonemu na północ od Alp trzeba objaśnić urzędowy niemal ton pewnych ustępów tego dialogu; przypomnę, że w krajach ściśle katolickich większość drażliwych rozmów opiera się w końcu o konfesjonał, a wówczas zgoła nie jest obojętne, czy dane wyrażenie było pełne uszanowania, czy też ironiczne.

Nazajutrz Wiktoria Carafa dowiedziała się, że wskutek ważnego błędu *faktycznego*, odkrytego w liście trzech pań proponowanych na stanowisko ksieni w Castro, odłożono wybór na pół roku: mianowicie druga z pań na liście miała w rodzie renegata; któryś jej stryjeczny dziadek przyjął protestantyzm w Udine.

Signora Campireali uznała za właściwe porozumieć się z księciem Fabrycym Colonna, którego domowi ofiarowała tak znaczne korzyści. Po dwudniowych zabiegach zdołała uzyskać spotkanie w miasteczku niedaleko Rzymu, ale wyszła z tego posłuchania wręcz przerażona: książe, zazwyczaj tak spokojny, tak był przejęty chwałą wojenną pułkownika Lizzara (Juliana Branciforte), że uważała za zupełnie bezcelowe prosić go o tajemnicę w tej mierze. Pułkownik był dlań niby syn, co więcej, niby ulubiony wychowanek. Książe bez ustanku odczytywał listy z Flandrii. Cóż by się stało z ukochanym projektem, dla którego signora Campireali tyle poświęcała od dziesięciu lat, gdyby córka dowiedziała się o istnieniu i sławie pułkownika Lizzara?

Sądzę, że lepiej pominąć milczeniem wiele okoliczności, które, to prawda, malują obyczaje tej epoki, ale których opowiadanie wydaje mi się dość przykre. Autor rzymskiego rękopisu zadał sobie nieskończony trud, aby dociec ścisłej daty szczegółów, które opuszczam.

W dwa lata po widzeniu signory Campireali z księciem Colonna Helena była ksienią w Castro, ale stary kardynał Santi-Quattro zmarł z bólu po tym akcie symonii. Biskupem w Castro był wówczas najurodzawszy mężczyzna na dworze papieskim, monsignor Francesco Cittadini, szlachcic z Mediolanu. Ten młody człowiek odznaczający się skromnością, wdziękiem i godnością był w częstych stosunkach z ksienią wizytek, zwłaszcza z okazji nowych budowli, którymi zamierzała upiększyć swój klasztor. Ów młody biskup Cittadini, wówczas liczący dwadzieścia dziewięć lat, zakochał się do szaleństwa w pięknej ksieni. W procesie, który wytoczono w rok później, wiele zakonnic powołanych w charakterze świadków powiadało, że biskup, jak mógł najczęściej, odwiedzał klasztor i często mawiał do ksieni: „Gdzie indziej rozkazuję i, wyznaję to na mój wstyd, znajduję w tym niejaką przyjemność; przy tobie, pani, jestem posłuszny jak niewolnik, ale z przyjemnością, która o wiele przewyższa słodycz rozkazywania gdzie indziej. Czuję się pod władzą istoty wyższej; gdybym nawet próbował, nie mógłbym mieć innej woli niż jej wola i raczej bym pragnął być na wieki ostatnim z jej niewolników niż być królem z dala od jej oczu.”

Świadkowie zeznają, iż często wśród tych dwornych przemów ksieni nakazywała mu milczenie, i to w twardych i wzgardliwych słowach.

Prawdę rzekłszy, dodaje inny świadek, pani traktowała go jak lokaja; wówczas biedny biskup spuszczał oczy, zaczynał płakać, ale nie odchodził. Znajdował co dzień jakiś pozór, aby się zjawić w klasztorze, co mocno gorszyło spowiedników klasztornych i wrogów ksieni. Ale ksieni miała silne poparcie w przeoryszy, swojej serdecznej przyjaciółce, która pod jej rozkazami sprawowała rządy.

— Wiecie, moje szlachetne siostry — powiadała przeorysza — że od czasu nieszczęśliwej miłości, jaką nasza ksieni żywiła za młodu dla pewnego rycerza, zostało jej sporo dziwactw; ale wiecie również, że nigdy nie zmieniła zdania o osobie, której okazała wzgardę. Otóż może przez całe życie nie wyrzekła tylu obraźliwych słów, ile ich wylała w naszej obecności na głowę biednego monsignora Cittadini. Codziennie w naszych oczach znosi obejście takie, że musimy się rumienić za jego dostojęństwo.

— Tak — odparły zgorznione zakonnice — ale wraca co dzień, nie dzieje mu się tedy zbyt krzywda; w każdym zaś razie ten pozór zgorznienia szkodzi powadze świętego zakonu wizytek.

Najsurowszy pan nie obrzuca najniezdarniejszego sługi ani czwartą częścią obelg, jakimi dumna ksieni smagała co dzień młodego biskupa, tak pełnego namaszczenia; ale był zakochany, przywiózł zaś ze swej ojczyzny tę kardynalną zasadę, iż skoro się raz podejmie tego rodzaju przedsięwzięcie, trzeba się troszczyć jedynie o cel, a nie zważać na środki.

— Ostatecznie — powiadał biskup do swego powiernika Cezara del Bene — hańba spada na kochanka, który poniecha ataku, zanim go zmusi do tego zupełna beznadziejność.

Obecnie smutne moje zadanie ograniczy się do podania wyciągu — z konieczności bardzo suchego — z procesu, który spowodował śmierć Heleny. Proces ten wyczytałem w bibliotece, której nazwę trzeba mi zmilczeć; tworzy on nie mniej niż osiem tomów *in folio*. Pytania i wywody są po łacinie, odpowiedzi po włosku. Znajduję tam, iż w listopadzie 1572 roku, około jedenastej wieczór, młody biskup udał się sam do bramy kościoła, gdzie przez cały dzień mają dostęp wierni; ksieni sama otworzyła mu i pozwoliła iść za sobą. Przyjęła go w pokoju, w którym przebywała często i który tajemnymi drzwiczkami łączył się z chórem nad nawami kościoła.

Nie upłynęła godzina, a zdumionego biskupa odprawiono z powrotem; ksieni odprawdziła go sama do wrót kościoła, mówiąc te słowa:

— Proszę wracać do swego pałacu i poniechać mnie co rychlej. Żegnam cię, monsignore, brzydząc się panem, mam uczucie, że się oddałam lokajowi.

Jednakże za trzy miesiące nadszedł karnawał. Mieszkańcy Castro słynni byli z zabaw, jakie wydawali w owej epoce; całe miasto rozbrzmiewało gwarem maskarad. Żaden korowód nie ominął małego okienka, przez które wnikało nieco światła do jednej ze stajen klasztornych. Można się domyślić, że na trzy miesiące przed karnawałem stajnię tę zmieniono na salon i że w dniu maskarady było tam bardzo tłoczno. W pełni tego szaleństwa biskup zjawia się w swej karocy; ksieni dała mu znak i następnej nocy o pierwszej znalazł się u wrót kościoła. Wszedł; ale w niespełna trzy kwadransy odprawiono go z gniewem. Od pierwszej schadzki w listopadzie zachodził do klasztoru mniej więcej co tydzień. Na twarzy jego malował się wyraz tryumfu i głupoty, który nie uszedł niczyjej uwagi, a który mocno drażnił dumny charakter młodej ksieni. Zwłaszcza w poniedziałek wielkanocny, między innymi, potraktowała go jak ostatniego z ludzi, obrzucając go słowami, których nie zniósłby ciura klasztorny. Mimo to w kilka dni później dała mu znak, wskutek którego piękny biskup znalazł się o północy u bramy kościoła; sprowadziła go, aby mu oznajmić, że jest brzemienna. Na tę wiadomość (powiadają akty procesu) piękny młodzian zbladł ze zgrozy i zupełnie *ogłupiał ze strachu*. Ksieni dostała gorączki, sprowadziła lekarza i nie tała przed nim swego stanu. Człowiek ten znał szczerdłość chorej i przyrzekł wybawić ją z kłopotu. Zaczął od tego, iż zaznajomił ją z pewną prostą kobietą, młodą i ładną, która mimo iż nie nosiła tytułu położnej, znała się na tym. Mąż jej był piekarzem. Helena rada była z tej kobiety, ale ta oznajmiła jej, iż dla wykonania planu, który miał przynieść ocalenie, trzeba, by chora miała dwie powiernice w klasztorze.

— Kobieta taka jak ty, zgoda; ale któraś z równych mi... nigdy! Odejdź!

Położna wyszła. Ale za kilka godzin Helena, nie uważając za bezpieczne narażać się na plotki tej kobiety, kazała zawołać lekarza, który przysłał piekarczową z powrotem. Ksieni przyjęła ją łaskawiej, piekarczowa zaś przysięgła, iż nawet gdyby jej nie przywołano, nie byłaby rozgadała tajemnicy; ale oświadczyła ponownie, że jeśli nie znajdzie się w klasztorze dwóch kobiet oddanych ksieni i świadomych wszystkiego, nie może się niczego podjąć. (Niewątpliwie bała się oskarżenia o dzieciobójstwo.) Zastanowiwszy się głęboko, ksieni powierzyła tę straszliwą tajemnicę pani Wiktorii, przeoryszy klasztoru, ze szlachetnej rodziny książąt de C., i pani Bernardzie, córce margrabiego P. Kazała im przysiąc na brewiarz, że nigdy nie zdradzą ani słowa z tego, co im powie, nawet przy sakramencie spowiedzi. Obie panie zdrętwiały ze zgrozy. Świadczą w swoich zeznaniach, iż znając wyniosły

Ciąża

charakter ksieni, spodziewały się dowiedzieć o jakim morderstwie. Ksieni oświadczyła im spokojnie i po prostu:

— Chybiłami swoim obowiązkom, jestem w ciąży.

Pani Wiktorja, przeorysza, głęboko wzruszona i wiedzona przyjaźnią, która od tylu lat łączyła ją z Heleną, nie zaś próżną ciekawością, wykrzyknęła ze łzami w oczach:

— Któż jest zuchwalec, który popełnił tę zbrodnię?

— Nie powiedziałam tego nawet spowiednikowi; osądź, czy zechcę powiedzieć tobie!

Obie panie zaczęły się naradzać nad sposobem ukrycia nieszczęsnej tajemnicy. Przede wszystkim postanowiły, że łóżko ksieni przeniesie się z jej obecnego pokoju, położonego w samym środku, do apteki, którą właśnie urządzono w najodleglejszej części klasztoru, na trzecim piętrze budynku wzniesionego hojnością Heleny. Tam to ksieni dała życie potomkowi płci męskiej. Od trzech tygodni piekarczowa była ukryta w mieszkaniu przeoryszy. Kiedy się przemykała pod ścianami klasztoru, unosząc dziecko, dziecko zaczęło krzyczeć; przerażona kobieta schroniła się do piwnicy. W godzinę potem pani Bernarda przy pomocy lekarza zdołała otworzyć furtkę i piekarczowa szybko opuściła klasztor, a wkrótce potem miasto. Znalazszy się w szczerym polu, gnana panicznym strachem, schroniła się do groty, którą przypadkiem napotkała w skałach. Ksieni napisała do Cezara del Bene, powiernika i pokojowca biskupa, który pośpieszył do wskazanej groty; był na koniu, chwycił dziecko i puścił się galopem do Montefiascone. Dziecko ochrzczono w kościele Św. Małgorzaty, otrzymało imię Aleksandra. Miejscowa gospodyni postarała się o mamkę, której Cezar wręczył osiem talarów. Kobiety, licznie zgromadzone pod kościołem w czasie ceremonii chrztu, jęły natarczywie pytać Cezara o nazwisko ojca.

— To wielki pan z Rzymu — odparł — który nadużył wiary wieśniaczki ubogiej jak wy.

I znikł.

## VII

Wszystko szło dobrze w tym olbrzymim klasztorze, zamieszkałym przez więcej niż trzysta ciekawych kobiet; nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Ale księżna wręczyła lekarzowi kilka garści cekinów, świeżo wybitych w mennicy w Rzymie. Lekarz dał sporo tych sztuk piekarczowej. Kobiecina była ładna, a mąż zazdrosny; szperał w jej walizie, znalazł te lśniące sztuki złota i w przypuszczeniu, że stanowią cenę jej hańby, zmusił ją, przykładając nóż do gardła, aby powiedziała, skąd pochodzą. Po paru wykrętach kobieta wyznała prawdę i pogodzili się. Małżeństwo zaczęło się naradzać nad sposobem użycia takiej sumy. Piekarczowa chciała zapłacić jakieś długi, ale mężowi zachciało się kupić muła, co też się stało. Ten muł poruszył całą dzielnicę, gdzie znano ubóstwo owej pary. Wszystkie kumoszki z miasteczka, przyjaciółki i nieprzyjaciółki, zachodziły raz po raz pytać piekarczową, co za szcudry kochanek dał jej fundusze na tego muła. Kobiecina doprowadzona do ostateczności powiadała tu i ówdzie prawdę. Jednego dnia, kiedy Cezar del Bene odwiedził dziecko i przybył zdać sprawę ksieni ze swoich odwiedzin, ta, mimo iż bardzo niezdrowa, zawlekła się aż do kraty i obsypała go wymówkami za niedyskrecję jego pomocników. Biskup rozchorował się ze strachu; napisał do swoich braci do Mediolanu, aby im donieść o niesłychanym oskarżeniu, którego padł ofiarą; prosił, aby mu przyszli z pomocą. Mimo iż mocno niezdrow, postanowił opuścić Castro, ale przed odjazdem tak napisał do ksieni:

Wie Pani już, że wszystko wyszło na jaw. Toteż o ile Pani dba o to, aby ocalić nie tylko moją reputację, ale może i życie, i aby uniknąć większego zgorszenia, może Pani obwinić Jana Baptistę Doleri, zmarłego przed dwoma dniami; jeśli w ten sposób nie ocali Pani swojej czci, moja cześć przynajmniej uniknie wszelkiego niebezpieczeństwa.

Biskup zawołał spowiednika klasztoru w Castro imieniem don Luigi.

— Oddaj to — rzekł — do rąk wielbnej ksieni.

Ta przeczytawszy haniebne pismo, wykrzyknęła głośno w obecności wszystkich:

— Na takie obejście zasługują panny głupie<sup>11</sup>, które przekładają piękność ciała nad piękność duszy!

Wiadomość o wszystkim, co się dzieje w Castro, doszła rychło uszu *straszliwego* kardynała Farnese (stał się taki od kilku lat, ponieważ spodziewał się na najbliższym konklawe zyskać poparcie kardynałów zelantów). Natychmiast wydał podeście<sup>12</sup> w Castro rozkaz uwięzienia biskupa Cittadini. Cała służba biskupa, obawiając się śledztwa i tortur, uciekła. Jedyne Cezar del Bene został wierny swemu panu i przysiągł, że raczej umrze w męczarniach, niżby miał powiedzieć coś, co by mogło biskupowi zaszkodzić. Cittadini, osaczony przez straż w swoim pałacu, napisał znów do braci, którzy co prędzej przybyli z Mediolanu. Zastali go w więzieniu w Ronciglione.

W pierwszym przesłuchaniu ksieni czytam, iż wyznając swój błąd przeczy, aby miała stosunki z Jego Wielebnością; współnikiem jej był rzekomo Doleri, adwokat klasztoru.

9 września 1573 roku Grzegorz XIII nakazał, aby proces odbył się z całym pośpiechem i z całą surowością. Sędzia kryminalny, prokurator i komisarz udali się do Castro i do Ronciglione. Cezar del Bene, pokojowiec biskupa, wyznaje tylko, że zaniósł dziecko do mamki. Przesłuchują go w obecności pani Wiktorii i Bernardy. Biorą go na tortury dwa dni z rzędu, cierpi strasznie, ale wierny słowu, wyznaje jedynie to, czego mu niepodobna zaprzeczyć, tak iż prokurator nic zeń nie wydobyl.

Kiedy nadeszła kolej pań Wiktorii i Bernardy, które były świadkami tortur zadanych Cezarowi, wyznają wszystko, co uczyniły. Zapytywano wszystkie zakonnice o nazwisko sprawcy zbrodni; większość odpowiada, iż słyszały, że to Jego Wielebność. Jedna z odźwiernych przytacza zelżywe słowa, jakimi ksieni obrzuciła biskupa, wypędzając go z kościoła. Dodaje: „Kiedy ludzie mówią do siebie w tym tonie, znaczy, że już od dawna są z sobą bardzo blisko. W istocie ksiądz biskup, zazwyczaj rad z siebie, miał wychodząc z kościoła minę wielce markotną.”

Jedna z zakonnice pytana pod groźbą tortur odpowiedziała, że sprawcą zbrodni musi być kot, ponieważ ksieni trzyma go nieustannie w objęciach i pieści go często. Inna zakonnica twierdzi, że sprawcą musi być wiatr, ponieważ w dniu, w które jest wiatr, ksieni jest rada i wesola, wystawia się na wiatr w altanie, którą kazała umyślnie zbudować; i kiedy ją prosić o łaskę w tym miejscu, nigdy nie odmawia. Piekarzowa, mamka, kumoszki z Montefiascone, przerażone torturami, na które w ich oczach wzięto Cezara, wyznają prawdę.

Młody biskup był chory lub udawał chorego w Ronciglione, co dało sposobność jego braciom, wspieranym wpływami i środkami signory Campireali, rzucić się do stóp papieża i błagać o wstrzymanie śledztwa aż do wyzdrowienia biskupa. Na co straszliwy kardynał Farnese pomnożył liczbę straży strzegącej go w więzieniu. Ponieważ biskupa nie można było przesłuchiwać, komisarze zaczęli każde posiedzenie od nowego badania ksieni. Pewnego dnia, kiedy matka kazała jej powiedzieć, aby była dobrej myśli i dalej przeczyła wszystkiemu, Helena wyznała wszystko.

— Czemu obwiniałaś zrazu Jana Baptystę Doleri?

— Przez litość dla tchórzostwa biskupa; przy tym jeśli zdoła ocalić swoje drogie życie, będzie mógł opiekować się moim synem.

Po tym wyznaniu wtrącono ksienię w klasztorze w Castro do celi, której mury, zarówno jak sklepienie, miały osiem stóp grubości; zakonnice mówiły o tym więzieniu ze zgrozą, znane było pod mianem „celi mnichów”. Ksieni była tam pod ustawiczną strażą trzech kobiet.

Skoro zdrowie biskupa polepszyło się nieco, trzystu zbirów czy żołnierzy przybyło, aby go zabrać z Ronciglione. Przeniesiono go do Rzymu w lektyce i pomieszczono w więzieniu Corte Savella<sup>13</sup>. Wkrótce potem zakonnice przewieziono również do Rzymu; ksienię zamknięto w klasztorze św. Marty. Cztery zakonnice były oskarżone: panie Wiktorii i Bernarda, siostra furtianka oraz odźwierna, która słyszała zelżywe słowa ksieni do biskupa.

<sup>11</sup> *panny głupie* — z przypowieści ewangelicznej (Mat. XXV).

<sup>12</sup> *podesta* — w republikach włoskich urzędnik miejskich stojący na czele policji i sądownictwa.

<sup>13</sup> *Corte Savella* — więzienie specjalnego trybunału tej samej nazwy, który sądził sprawy dostojników kościelnych i ich krewnych.



Biskupa przesłuchał audytor Izby, jedna z najwyższych osobistości sądowniczych. Wzięto na nowo na tortury biednego Cezara del Bene, który nie tylko nie wyznał nic, ale powiadał rzeczy wiele niemiłe dla władz, co nań sprowadziło nową porcję tortur. Tym wstępnym męczarniom poddano również panie Wiktorię i Bernardę. Biskup przeczył wszystkiemu bezrozumnie, ale z uporem; opowiadał szczegółowo wszystko, co robił owych trzech wieczorów, najoczywiściej spędzonych u ksieni.

Wreszcie postawiono sobie do oczu ksienię i biskupa; i mimo że Helena wciąż mówiła prawdę, wzięto ją na tortury. Gdy powtarzała to samo, co wciąż mówiła od swego pierwszego wyznania, biskup, wierny swej roli, obrzucił ją obelgami.

Po wielu dalszych aktach, usprawiedliwionych w gruncie, ale skażonych owym duchem okrucieństwa, który po Karolu V i Filipie II<sup>14</sup> utrwalił się we włoskim sądownictwie, biskupa skazano na dożywotnie więzienie w Zamku Św. Anioła; ksienię zamknięto na całe życie w klasztorze św. Marty. Ale już signora Campireali, pragnąc ocalić córkę, podjęła wykopanie podziemnego przejścia. Tunel ten wychodził z kanału pozostałego po wspaniałościach starożytnego Rzymu i miał się kończyć w głębokiej piwnicy, gdzie składano szczątki mniszek zakonu św. Marty. Szeroki na dwie stopy, miał ściany z desek, przytrzymujące ziemię po prawej i po lewej stronie; w miarę zaś jak się posuwano, wstawiano sklepienie z dwóch desek, tworzących niby ramiona dużego A.

Przekop ten drążono w głębokości mniej więcej trzydziestu stóp. Ważne było zachować właściwy kierunek; raz po raz studnie i fundamenty dawnych budowli kazały robotnikom zbaczać z drogi. Druga trudność to ziemia, z którą nie wiadano, co począć; zdaje się, że ją rozsypywano w nocy po ulicach Rzymu. Wszyscy dziwili się tej obfitości ziemi, która, można rzec, spadała z nieba.

Mimo olbrzymich sum, jakie signora Campireali wydawała, aby ocalić córkę, podkop jej odkryto by z pewnością; ale w roku 1585 umarł papież Grzegorz XIII: z opróżnieniem papieskiego stolca rozpoczęło się panowanie zamętu.

Helena cierpiała u św. Marty bardzo; można sobie wyobrazić, z jakim zapalem owe dość ubogie zakonnice siliły się dokuczać ksieni bardzo bogatej i skazanej za taką zbrodnię. Oczekiwała z niecierpliwością wyniku prac podjętych przez matkę. Ale nagle serce jej doznało osobliwych wzruszeń. Już pół roku wprzód Fabrycy Colonna widząc, iż zdrowie Grzegorza XIII podupada, i mając wielkie zamiary na czas bezkrólewia, posłał jednego ze swych oficerów do Juliana Branciforte, tak znanego obecnie w armii hiszpańskiej pod mianem pułkownika Lizzary. Wzywał go do Włoch; Julian płonął chęcią ujrzenia ojczyzny. Wylądował pod przybranym nazwiskiem w Pescara, małym porcie na Adriatyku poniżej Chietti w Abruzzach, i górami przybył do Petrella. Radość księcia zdumiała wszystkich. Oświadczył Julianowi, że go sprowadził, aby go uczynić swym następcą i powierzyć mu dowództwo armii. Na co Branciforte odparł, iż z punktu widzenia wojskowego rzecz cała jest licha warta, czego z łatwością dowiódł; że jeżeli Hiszpanie naprawdę zechcą, mogą w pół roku i z niewielkim zachodem zniszczyć wszystkie partyzanckie korpusy we Włoszech.

— Ale ostatecznie — dodał młody Branciforte — jeśli książę sobie życzy, jestem gotów. Zawsze znajdzie książę we mnie następcę dzielnego Ranucego, ubitego pod Ciampi.

Przed przybyciem Juliana książę nakazał, tak jak on umiał, aby nikt w Petrella nie ośmielił się mówić o Castro i o procesie ksieni; kara śmierci bez żadnej litości czekała za najmniejsze gadulstwo. Wśród wylewów przyjaźni, z jakimi książę przyjął Juliana, poprosił go, aby nie jechał do Albano bez niego; sam zaś miał odbyć tę podróż tak, iż obsadził miasto tysiącem swoich ludzi, tysiąc dwustu zaś umieścił jako przednią straż na drodze do Rzymu. Można osądzić, co się działo z biednym Julianem, kiedy książę, wezwawszy starego Scotti, który żył jeszcze, do domu, gdzie się mieściła generalna kwatera, kazał go wprowadzić do pokoju, gdzie znajdował się Branciforte. Skoro dwaj przyjaciele padli sobie w ramiona, książę rzekł:

— A teraz, biedny pułkowniku, spodziewaj się wszystkiego, co najgorsze.

Po czym zdmuchnął świecę i wyszedł, zamykając ich na klucz.

<sup>14</sup>po Karolu V i Filipie II — do cesarza niemieckiego Karola V i jego syna Filipa II należały w XVI w. hiszpańskie posiadłości we Włoszech (m.in. Królestwo Neapolu).

Nazajutrz Julian nie chciał wyjść z pokoju; posłał po prostu do księcia z prośbą, aby mógł wrócić do Petrella i nie pojawiać się przez kilka dni. Ale oznajmiono mu, że książę zniknął, zarówno jak jego wojsko. W nocy dowiedział się o śmierci Grzegorza XIII; zapomniał o swym przyjacielu Julianie i pognął w pole. Przy Julianie zostało jakich trzydziestu ludzi należących do dawnej kompanii Ranucego. Wiadomo, że w owej epoce w czasie *interregnum* prawa spały, każdy dawał folgę swoim namiętnościom, prawem była tylko siła; dlatego nim dzień dobiegł końca, książę Colonna powiesił już pięćdziesięciu z górą wrogów. Co do Juliana, ten, mimo że nie miał ani czterdziestu ludzi, ośmielił się iść na Rzym.

Wszyscy słudzy ksieni z Castro pozostali jej wierni; pomieścili się w ubogich domkach sąsiadujących z klasztorem św. Marty. Agonia Grzegorza XIII trwała więcej niż tydzień; signora Campireali czekała niecierpliwie zamętu, który nastąpił po jego śmierci, aby dokończyć ostatnich pięćdziesięciu sążni podkopu. Ponieważ trzeba było przebyć piwnice kilku zamieszkałych domów, obawiała się, że nie zdoła utaić przed światem celu swego przedsięwzięcia.

Na trzeci dzień po przybyciu Juliana Branciforte do Petrella trzech dawni *bravi* Juliana, przyjęci przez Helenę w jej służby, zachowywali się tak, jakby oszaleli. Mimo iż wiadomo było aż nadto, że Helena znajduje się w najściślejszym zamknięciu i pod strażą zakonnic, które jej nienawidziły, Hugo, jeden z *bravi*, przybył do bramy klasztoru i jał natrętnie się domagać, aby mu pozwolono ujrzeć jego panią, i to natychmiast. Odpędzono go i wyrzucano za drzwi. Pod wpływem rozpaczony człowiek ten został pod bramą i zaczął rozdawać po bajoku każdemu ze sług klasztornych, który wchodził albo wychodził; powtarzał przy tym te słowa: „Cieszcie się ze mną! Pan Julian Branciforte przybył, żyje! Powiedzcie to swoim przyjaciółom.”

Dwaj kamraci Hugona cały dzień znosili mu bajoki i rozdawali je dzień i noc, powtarzając wciąż te same słowa, póki nie rozdali wszystkiego. A trzech *bravi*, luzując się wzajem, dalej pełnili straż u bramy klasztoru, wciąż powtarzając przechodniom te same słowa z towarzyszeniem głębokich pokłonów: „Pan Julian przybył etc.”

Pomysł dzielnych ludzi powiódł się: w niespełna trzydzieści sześć godzin po rozdaniu pierwszych bajoków biedna Helena w głębi swej kaźni wiedziała, że Julian żyje. Słowo to wtrąciło ją w istne szaleństwo.

— O matko! — wykrzyknęła — ileż ty mi złego wyrządziłaś!

W kilka godzin później zdumiewającą wiadomość potwierdziła Marieta, która za cenę wszystkich swoich klejnocików zdobyła pozwolenie towarzyszenia odźwiernej, gdy ta przynosiła Helenie jadło. Helena rzuciła się jej w ramiona, płacząc z radości.

— To bardzo pięknie — rzekła — ale niedługo dane mi będzie zostać z tobą.

— Myśle! — odparła Marieta. — Przypuszczam, że nim konklawe się skończy, więzienie pani zamieni się na proste wygnanie.

— Ach, droga, ujrzeć Juliana, i ujrzeć go tak występna!

Trzeciej nocy po tej rozmowie posadzka kościelna zapadła się w jednym miejscu z wielkim hałasem; zakonnice myślały, że klasztor wali się w gruzy. Popłoch był straszny, wszyscy krzyczeli, że to trzęsienie ziemi. W godzinę po zawaleniu się marmurowej posadzki signora Campireali, poprzedzana przez trzech *bravi* w służbie Heleny, weszła podziemnym chodnikiem do więzienia.

— Zwycięstwo, pani, zwycięstwo! — krzyczeli zuchy.

Helena złąkała się śmiertelnie; myślała, że to Julian nadchodzi. Uspokoila się i rysy jej odzyskały zwykły wyraz, kiedy jej oznajmili, że towarzyszą jedynie signorze Campireali i że Julian jest dopiero w Albano, które zajął wraz z kilkoma tysiącami żołnierzy.

Po chwili oczekiwania signora Campireali zjawila się; szła z trudem, prowadzona przez koniuszego: był w paradnym stroju i przy szpadzie, ale jego wspaniałe ubranie było całe zachlastane ziemią.

— O moja Heleno, ocaliłam cię! — wołała signora.

— A kto ci powiedział, matko, że ja chcę ocalenia?

Signora Campireali osłupiała; patrzyła na córkę szeroko otwartymi oczami, widocznie bardzo wzruszona.

Ucieczka

— A więc, droga Heleno — rzekła wreszcie — los zmusza mnie do wyznania postępu, bardzo naturalnego może wobec nieszczęść zaszłych w naszej rodzinie, ale którego żałuję i za który proszę o przebaczenie: Julian... Branciforte... żyje...

— I dlatego że on żyje, ja nie chcę żyć.

Signora Campireali nie zrozumiała zrazu, następnie zaczęła znów mówić do córki błagalnymi słowy, ale nie otrzymała odpowiedzi. Helena obróciła się w stronę krucyfiks i modliła się, nie słuchając. Próżno przez całą godzinę signora Campireali siła się uzyskać słowo lub spojrzenie. Wreszcie córka, zniecierpliwiona, rzekła:

— Pod marmurowym krucyfiksem w moim pokoiku w Albano były schowane jego listy; lepiej było pozwolić mi zginąć od sztyletu ojca! Idź, matko, i zostaw mi złoto!

Signora Campireali chciała jeszcze coś mówić mimo znaków, jakie jej dawał wystraszony koniuszy. Helena zniecierpliwiała się.

— Zostaw mi bodaj godzinę swobody; zatrulaś mi życie, chcesz mi zatruć i śmierć.

— Będziemy jeszcze panami przekopu przez dwie lub trzy godziny; mam nadzieję, że się opamiętasz! — wykrzyknęła signora Campireali, zalewając się łzami.

I zapuściła się w korytarz.

— Hugonie, zostań przy mnie — rzekła Helena do jednego z *bravi* — i bądź uzbrojony, mój chłopcze, będzie może trzeba mnie bronić. Chodź, pokaż mi swój pugiń, swoją szpadę, sztylet!

Stary żołnierz pokazał jej broń w dobrym stanie.

— Dobrze! Zostań tam, w pobliżu mej celi; napiszę do Juliana długi list, który mu sam oddasz; nie chcę, aby przechodził przez inne ręce niż twoje, bo nie mam czym zapieczętować. Możesz przeczytać to, co zawiera list. Zabierz wszystko złoto, które mi zostawiła matka; potrzebuję tylko pięćdziesięciu cekinów, połóż je na łóżku.

To rzekłszy, Helena zaczęła pisać:

Nie wątpię o Tobie, Drogi Julianie; jeśli odchodzę, to dlatego że umarłabym z bóleści w Twoich ramionach widząc, jakie byłoby moje szczęście, gdybym nie była popełniła błędu. Nie sądzę, bym kochała kiedy jaką istotę po Tobie; wręcz przeciwnie, serce moje było przejęte najwyższą wzdargą dla człowieka, którego dopuściłam do mej sypialni. Błąd mój wypłynął jedynie z nudy i — można rzec — z rozpusty. Pomyśl, że umysł mój, mocno osłabiony od czasu daremnej podróży do Petrella, gdzie księżę, którego czciłam, ponieważ Ty go kochałeś, przyjął mnie tak okrutnie; pomyśl, powtarzam, że umysł mój, wielce osłabiony, dławiono dwanaście lat kłamstwem. Wszystko, co mnie otaczało, było fałszem i kłamstwem, i ja wiedziałam o tym. Zrazu dostałam ze trzydzieści listów od Ciebie; osądź, z jakim wzruszeniem otwierałam pierwsze, ale w miarę jak je czytałam, serce moje ścinało się. Badałam pismo, poznawałam Twoją rękę, ale nie Twoje serce. Pomyśl, że to pierwsze kłamstwo podcięło istotę mego życia, tak iż otwierałam obojętnie list pisany Twoją ręką! Ohydna bajka o Twojej śmierci do reszty zabiła we mnie wszystko, co zostało jeszcze ze szczęśliwej młodości. Pierwszą mą myślą, wyobrażasz sobie, było jechać, aby zobaczyć i dotknąć własnymi rękami wybrzeży Meksyku, gdzie rzekomo dzicy Cię zgładzili; gdybym poszła za tą myślą, byłibyśmy teraz szczęśliwi, w Madrycie bowiem — mimo liczby i zręczności szpiegów, którymi czujna ręka mogłaby mnie otoczyć — byłabym trafiła do wszystkich dusz, w których zostało jeszcze nieco współczucia i dobroci, i wierzę, iż byłabym dotarła do prawdy. Tak, mój Julianie! Już Twoje wspaniałe czyny zwróciły na Ciebie uwagę świata i może ktoś w Madrycie wiedział, że Ty jesteś Branciforte. Mamże powiedzieć, co zburzyło nasze szczęście? Najpierw pamięć okrutnego i upokarzającego przyjęcia w Petrella; ileż przeszkód trzeba by pokonać od Castro do Meksyku! Widzisz, dusza moja straciła już całą energię. Następnie wzięła we mnie górę próżność. Zabudowałam klasztor wielkimi gmachami, aby obrócić na swoje mieszkanie pokoik przy furcie, gdzieś Ty się schronił w noc walki. Jednego dnia spoglądałam na ziemię, którą Ty niegdyś dla mnie oblałeś krwią; usłyszałam wzdargliwe słowo, podniosłam oczy, ujrzałam wrogie twarze; aby się pomścić, zapragnęłam być księżką. Matka, która wiedziała, że Ty żyjesz, dokonała heroicznego czynów, aby uzyskać tę dziką nominację. Godność ta była dla mnie jedynie źródłem nudy, do reszty spodliła mi duszę; często sprawiało mi przyjemność znaczyć swą

władzę nieszczęściem drugich; popełniałam niesprawiedliwości. Miałam trzydzieści lat, byłam — wedle świata — cnotliwa, bogata, poważana, a mimo to głęboko nieszczęśliwa. Wówczas zjawił się ten nieborak, sama poczciwość, ale i wcielone niezdarstwo. Nicość jego sprawiła, że zniosłam pierwsze jego nadskakiwania. Wszystko, co mnie otaczało od Twego wyjazdu, tak udręczyło mą duszę, że nie miałam siły oprzeć się najlżejszej pokusie. Mamże wyznać coś, co jest bardzo nieprzystojne? Ba, myślę, że umarłej wszystko wolno. Kiedy będziesz czytał te słowa, robaki zeżrą owe rzekome piękności, które powinny były istnieć tylko dla Ciebie. Trzebaż wreszcie powiedzieć tę rzecz tak bardzo mi przykrą: otóż nie wiedziałam, czemu bym nie miała zakosztować grubej cielesnej miłości, jak wszystkie nasze rzymskie panie; byłam rozwiązła w myśli, ale nigdy nie mogłam się oddać temu człowiekowi bez zgrozy i wstrętu, które niweczyły całą przyjemność. Widziałam wciąż Ciebie przy mym boku w ogrodzie w Albano, kiedy Madonna podsunęła Ci ową myśl, szlachetną na pozór, ale która — wraz z moją matką — sprawiła nieszczęście naszego życia. Nie byłeś groźny, ale tkliwy i dobry jak zawsze: patrzyłeś na mnie; wówczas chwyciła mnie wściekłość na tego człowieka, tak że biłam go ze wszystkich sił. Oto cała prawda, drogi Julianie; nie chciałam umrzeć, nie wyznałszy Ci jej; myślałam także, że ta rozmowa z Tobą odbierze mi chęć do śmierci. Widzę z niej tym lepiej, jaką radością byłoby dla mnie ujrzeć Cię, gdybym została godną Ciebie. Nakazuję Ci żyć i dalej iść drogą chwały wojennej, która sprawiła mi tyle radości, kiedy się dowiedziałam o Twoich triumfach. Cóż by to było, wielki Boże! gdybym była dostała Twoje listy, zwłaszcza po bitwie pod Achenne! Żyj i wspominaj często Ranucego, poległego pod Ciampi, i Helenę, która aby nie widzieć wyrzutu w twoich oczach, umarła w klasztorze św. Marty.

Skończywszy pisać, Helena zbliżyła się do starego żołnierza, który tymczasem zasnął; wzięła po kryjomu puginał, po czym zbudziła go.

— Skończyłam — rzekła — lękam się, aby wrogowie nasi nie zawładnęli podkopem. Weź prędko mój list — leży na stole — i oddaj go sam Julianowi, *ty sam*, rozumiesz? I jeszcze daj mu tę chustkę; powiedz mu, że go kocham w tej chwili tak, jak zawsze go kochałam, *zawsze*, słyszysz?!

Hugo stał w miejscu i nie odchodził.

— Idźże!

— Pani, czy pani dobrze się namyśliła? Pan Julian tak panią kocha!

— I ja go kocham; weź list i oddaj mu go sam!

— A więc niech panią Bóg błogosławi tak, jak pani jest dobra!

Hugo wyszedł i wrócił szybko; zastał Helenę martwą z puginałem w sercu.

## WIKTORIA ACCORAMBONI KSIĘŻNA BRACCIANO

Nieszczęściem zarówno dla mnie, jak dla czytelnika nie jest to powieść, ale raczej wierny przekład bardzo poważnego opowiadania spisane w Padwie w grudniu 1585 roku.

Bawiąc przed kilku laty w Mantui, szukałem szkiców i obrazów dostępnych dla mojej skromnej sakiewki, ale dobierałem malarzy sprzed roku 1600; około tej epoki oryginalność włoska, już zagrożona mocno zdobyciem Florencji w roku 1530<sup>15</sup>, umarła do reszty.

Zamiast obrazu pewien stary patrycjusz, bardzo bogaty i bardzo skąpy, ofiarował mi na sprzedaż bardzo drogo poźółkłe od starości rękopisy. Poprosiłem o pozwolenie przejrzania ich; zgodził się, dodając, iż ufa mojej rzetelności, że mianowicie, o ile nie kupię rękopisów, nie zapamiętam ciekawych anegdot, które tam wyczytam.

Pod tym warunkiem, który mnie ubawił, przejrzałem z wielkim uszczerbkiem dla oczu jakieś trzysta lub czterysta tomów, w których przed paroma wiekami nagromadzono opowieści tragicznych wydarzeń, listy z wyzwaniem na pojedynek, ugody między szlachetnymi sąsiadami, pamiątniki na różne tematy etc., etc. Stary właściciel żądał olbrzymiej sumy za te rękopisy. Po dłuższych rokowaniach nabyłem bardzo drogo prawo skopiowania pewnych opowiadań, które mi się spodobały i które malują włoskie obyczaje około roku 1500. Mam ich dwadzieścia dwa tomy *in folio* i to, co czytelnik przeczyta, o ile znajdzie cierpliwość po temu, to właśnie jedna z tych kronik, wiernie przetłumaczona. Znam historię szesnastego wieku we Włoszech i sądzę, że to, co następuje, jest zupełnie prawdziwe. Zadałem sobie trud, aby przekład tego starego włoskiego stylu, surowego, prostego, wielce ciemnego i najeżonego aluzjami do spraw i myśli, które zaprzętały świat pod berłem Sykstusa V (1585), nie barwił się odblaskiem pięknej literatury nowoczesnej oraz pojęciami naszej epoki wyzutej z przesądów.

Nieznajomy autor rękopisu jest to osobistość wielce oględna: nie sądzi nigdy faktu, nie komentuje go nigdy; jedynym jego celem jest prawda. Jeśli czasem jest — bezwiednie zresztą — malowniczy, to stąd, iż około roku 1585 próżność nie otaczała wszystkich ludzkich postępów aureolą przesady; każdy mniemał, iż aby oddziaływać na drugich, trzeba się wyrażać możliwie jasno. Około roku 1585, wyjąwszy błaznów trzymany na dworach lub wyjąwszy poetów, nikt nie silił się na powab słów. Nie powiadano jeszcze: „Umrę u twoich stóp, Najjaśniejszy Panie”, posyłając po konie pocztowe, aby drapnąć; był to może jedyny rodzaj zdrady, który nie był przyjęty. Mówiono mało i każdy dawał niezmiernie baczenie na to, co doń mówiono.

Tak więc, łaskawy czytelniku, nie szukaj tu stylu żywego, błyskotliwego, strojnego aluzjami do modnych uczuć; nie spodziewaj się zwłaszcza porywających wzruszeń romansu George Sand; ta wielka pisarka zrobiłaby arcydzieło z życia i nieszczęść Wiktorii Accoramboni. Szczere opowiadanie, które ci przedkładam, może mieć jedynie skromne zalety kroniki. Kiedy przypadkiem, jadąc sam o zmroku kolaską pocztową, zechce się ktoś zadumać nad tajemnicami serca ludzkiego, będzie mógł osnuć swoje sądy dokoła szczegółów tej historii. Autor mówi wszystko, tłumaczy wszystko, nie zostawia nic wyobraźni czytelnika; spisał to w dwanaście dni po śmierci bohaterki<sup>16</sup>.

Wiktorija Accoramboni urodziła się z wielce szlachetnej rodziny w Agubio, w księstwie Urbino. Od dzieciństwa zwracała uwagę rzadką i niezwykłą pięknnością; ale pięknosc ta była najmniejszym jej urokiem. Nie brakło jej żadnej z zalet, które mogą zyskać podziw młodej dziewczynie wysokiego rodu; ale wśród tylu przymiotów najgodniejszy uwagi, niemal — można rzec — graniczący z cudem, był jakiś nieodparty wdzięk, od pierwszego wejrzenia jednający jej serce i wolę każdego. I tej prostoty, stanowiącej siłę najmniejszego słowa, nie maćił żaden cień sztuczności; od pierwszej chwili czuło się ufność do tej pani obdarzonej tak niezwykłą urodą. Ktoś, kto by ją tylko widział, mógłby ostatecznie oprzeć się temu urzeczeniu; ale jeśli usłyszał jej głos, zwłaszcza jeśli z nią rozmawiał, niepodobna mu było obronić się działaniu tak niezwykłego czaru.

<sup>15</sup>oryginalność włoska, już zagrożona mocno zdobyciem Florencji w roku 1530 — mowa o długotrwałym oblężeniu Florencji przez papieża Klemensa VII i cesarza Karola V.

<sup>16</sup>Autor mówi wszystko, tłumaczy wszystko, nie zostawia nic wyobraźni czytelnika; spisał to w dwanaście dni po śmierci bohaterki — rękopis włoski złożony jest w redakcji „Revue des Deux Mondes”. [przypis autorski]

Wielu młodych kawalerów w Rzymie, gdzie mieszkał jej ojciec i gdzie jeszcze stoi jego pałac na placu Rusticucci, opodal św. Piotra, zabiegało o jej rękę. Było wiele zazdrości i wiele współzawodnictw, ale wreszcie rodzice Wiktorii dali pierwszeństwo Feliksowi Peretti, siostrzeńcowi kardynała Montalto, który został później papieżem Sykstusem V, szczęśliwie nam panującym.

Feliks, syn Kamilli Peretti, siostry kardynała, nazywał się zrazu Franciszek Mignucci; przybrał miano Feliksa Peretti wówczas, gdy został uroczysto adoptowany przez wuja.

Wchodząc w dom Perettich, Wiktoria wniosła bezwiednie tę właściwość, którą można nazwać oplakaną i która towarzyszyła jej wszędzie; można powiedzieć, że aby jej nie ubóstwiać, trzeba było nigdy jej nie ujrzyć<sup>17</sup>. Miłość, jaką płonął do niej mąż, graniczyła z prawdziwym szaleństwem; teściowa jej Kamilla i sam kardynał Montalto nie mieli, zdawało się, innego zajęcia na ziemi niż odgadywać chęci Wiktorii i starać się je zaspokoić. Cały Rzym zdumiewał się, jak ów kardynał, znany ze szczupłych środków nie mniej jak ze wstrętu do wszelkiego zbytku, znajdował stałą przyjemność w tym, aby uprzedzać wszystkie życzenia Wiktorii. Istota ta, młoda, olśniewająco piękna, uwielbiana przez wszystkich, miewała bądź co bądź niekiedy zachcenia dość kosztowne. Wiktoria dostawała od swoich nowych krewnych klejnoty wielkiej ceny, perły, słowem wszystko, co się pojawiło najrzadszego u złotników rzymskich, w owym czasie dobrze zaopatrzonych.

Z miłości do lubej siostrzenicy kardynał Montalto, tak znany ze swej surowości, uważał braci Wiktorii tak, jakby to byli własni jego siostrzeńcy. Oktaw Accoramboni, ledwie doszedłszy trzydziestu lat, został — dzięki wstawiennictwu kardynała Montalto — desygnowany przez księcia Urbino i mianowany przez papieża Grzegorza XIII biskupem fossombronskim; Marcell Accoramboni, młody junak, oskarżony o mnogość zbrodni i żywo ścigany przez *corte*<sup>18</sup>, z trudem umknął pościgu, który mógł go zawieść na śmierć. Zaszczycony opieką kardynała, zdołał odzyskać nieco spokoju.

Trzeciego brata Wiktorii, Juliusza Accoramboni, kardynał Aleksander Sforza dopuścił do pierwszych zaszczytów na swym dworze, skoro tylko kardynał Montalto poprosił go o to.

Słowem, gdyby ludzie umieli mierzyć własne szczęście nie wedle bezgranicznej niestałości pragnień, ale wedle istotnych dóbr, które już posiadają, małżeństwo Wiktorii z siostrzeńcem kardynała Montalto mogło się wydać Accorambonim szczytem ziemskiego szczęścia. Ale bezrozumna żądza olbrzymich i niepewnych korzyści może ludziom najbardziej obsypanym łaskami losu podsuwać szalone i niebezpieczne myśli.

Faktem jest, że jeżeli który z krewnych Wiktorii, jak to w Rzymie podejrzewano, przyczynił się przez żądzę nowego wywyższenia do zagłady jej męża, niebawem miał sposobność ocenić, o ile byłoby rozsądniej zadowolić się umiarkowanymi darami miłego losu, który miał tak rychło dojść szczytu ambicji ludzkiej.

Gdy tak Wiktoria żyła jak królowa w swoim domu, pewnego wieczora, kiedy Feliks Peretti położył się do łóżka z żoną, niejaka Katarzyna, urodzona w Bolonii, pokojówka Wiktorii, oddała mu list. List ten przyniósł brat Katarzyny, Dominik d'Aquaviva, zwany Mancino (mańkut). Człowiek ten był wygnany z Rzymu za rozliczne zbrodnie, ale na prośbę Katarzyny Feliks zyskał mu potężną opiekę swego wuja i Mancino bywał często w domu Feliksa, który pokładał w nim wielkie zaufanie.

List, o którym mówimy, pisany był w imieniu Marcelego Accoramboni, najmilszego Feliksowi ze wszystkich braci Wiktorii. Najczęściej żył w ukryciu poza murami Rzymu; niekiedy wszakże odważał się wejść do miasta i wówczas znajdował schronienie u Feliksa.

Listem tym, doręczonym o tak niewczesnej godzinie, Marcelli wzywał szwagra swego, Feliksa Peretti, na pomoc; zaklinał go, aby mu przybył na ratunek, i dodawał, że w sprawie niezmiernie pilnej oczekuje go koło pałacu Montecavallo.

<sup>17</sup>Wiktoria wniosła bezwiednie tę właściwość, którą można nazwać oplakaną i która towarzyszyła jej wszędzie; można powiedzieć, że aby jej nie ubóstwiać, trzeba było nigdy jej nie ujrzyć — w Mediolanie, o ile mogę sobie przypomnieć, w Bibliotece Ambrożyjskiej, można obejrzeć pełne wdzięku i uczucia sonety i inne wiersze Wiktorii Accoramboni. Dość dobre sonety powstały niegdyś o jej okropnym losie. Wydaje się, że miała umysł równie niezwykły jak wdzięk i urodę. [przypis autorski]

<sup>18</sup>*corte* — był to zbrojny oddział mający za zadanie czuwać nad bezpieczeństwem publicznym, żandarmi i agenci policji roku 1500. Dowodził nimi kapitan, nazywany *bargello*, który był osobiście odpowiedzialny za wykonanie rozkazów gubernatora Rzymu (prefekta policji). [przypis autorski]

Feliks powiedział żonie o szczególnym liście, po czym ubrał się, nie biorąc innej broni prócz szpady. Już miał wyjść w towarzystwie jednego sługi z pochodnią, kiedy zastąpiły mu drogę matka, Kamilla, wszystkie kobiety z całego domu, a wśród nich sama Wiktorja; błagały najusilniej, aby nie wychodził o tak późnej porze. Kiedy nie chciał ulec ich prośbom, padły na kolana i ze łzami w oczach zaklinały go, aby ich usłuchał.

Kobiety te, a zwłaszcza Kamilla, były pod wrażeniem opowieści krążących o dziwnych rzeczach, które się działy co dzień i uchodziły bezkarnie w owym czasie pontyfikatu Grzegorza XIII, pełnego zamętu i niesłychanych zbrodni. Uderzyła je jeszcze i ta myśl: kiedy Marceli Accoramboni ważył się pojawić w Rzymie, nie miał zwyczaju wzywać Feliksa i taki krok o tej godzinie zdawał się im czymś zgoła nieprzystojnym.

Pełen ognia właściwego swemu wiekowi, Feliks nie uznawał tych argumentów; kiedy zaś dowiedział się, że list przyniósł Mancino, człowieka, którego kochał i któremu nieraz oddał usługę, nic nie mogło go wstrzymać; wyszedł z domu.

Jak wspomniano, poprzedzał go jeden sługa z pochodnią; ale ledwie biedny młodzian wstąpił kilka kroków na wzgórze Montecavallo, padł ugodzony trzema strzałami z rusznicy. Widząc go leżącego, mordercy rzucili się nań i przeszli go mnóstwem ciosów, aż im się zdał zupełnie martwy. Natychmiast przyniesiono tę żalobną nowinę matce i żonie Feliksa, a przez nie doszła wnet do wuja jego, kardynała.

Kardynał, nie zmieniawszy wyrazu twarzy, nie zdradzając najlżejszego wzruszenia, zaczął się szybko ubrać, po czym polecił Bogu samego siebie oraz tę biedną duszę (tak zaskoczona niespodzianie). Następnie udał się do siostrzenicy i tam z cudowną powagą oraz z pozorami głębokiego spokoju nałożył hamulec krzykom i płaczom kobiecym, które zaczynały się rozlegać w całym domu. Wpływ jego na te kobiety był taki, że od tej chwili, nawet w momencie gdy wynoszono trupa z domu, nie ujrano ani nie usłyszano w ich zachowaniu nic, co by się w najmniejszym stopniu oddalało od zwyczajnej żaloby w spokojnym domu. Co się tyczy samego kardynała, nikt nie mógł w nim dojrzeć nawet umiarkowanych oznak bólu; nic nie zmieniło się w porządku ani w widomych objawach jego życia. Cały Rzym nabrał niebawem tego przeświadczenia, mimo iż ze swą zwykłą ciekawością śledził najlżejsze poruszenia tego tak głęboko zranionego człowieka.

Zdarzyło się przypadkiem, że nazajutrz po śmierci Feliksa zwołano konsystorz (kardynałów) do Watykanu. Nie było człowieka w mieście, który by nie myślał, że bodaj w pierwszy dzień kardynał Montalto uchylił się od tej publicznej funkcji. W istocie miał się tam ukazać oczom tylu i tak ciekawych świadków! Śledzono by najlżejsze drgnienie owej naturalnej słabości, którą tak pilnie wypadało ukryć osobie mierzącej z wybitnego stanowiska ku jeszcze wybitniejszemu; każdy bowiem przyzna, że nie przystoi, aby ten, który ma ambicję wznieść się ponad wszystkich ludzi, okazał się człowiekiem jak inni.

Ale osoby, które żywiły takie mniemanie, omyliły się podwójnie. Po pierwsze, wedle swego zwyczaju kardynał Montalto zjawił się w sali konsystorskiej jeden z pierwszych; po wtóre, nawet najprzenikliwszym niepodobna było dopatrzeć się w nim jakiegoś znaku wzruszenia. Przeciwnie, sposób, w jaki odpowiadał kolegom, starającym się wyrazić mu współczucie z powodu tak okrutnego wypadku, przejął wszystkich zdumieniem. Jego hart i pozorna nieczułość po tak okropnym nieszczęściu stały się przedmiotem rozmów całego miasta.

Co prawda nawet w konsystorzu paru ludzi znających obyczaje dworów przypisywało tę pozorną obojętność nie brakowi uczucia, ale raczej udaniu; a pogląd ten podzieliła niebawem większość dworaków. W istocie roztropniej było nie okazywać zbyt wielkiego wzruszenia krzywdą, której sprawca był zapewne osobą wysoko postawioną i mogącą snadnie zagrozić drogę do najwyższej godności.

Jaką bądź była przyczyna tej widomej obojętności, to pewna, iż zdumiała ona cały Rzym oraz dwór Grzegorza XIII. Ale — aby wrócić do konsystorza — kiedy zebrali się wszyscy kardynałowie i sam papież wszedł na salę, natychmiast obrócił oczy w stronę kardynała Montalto i ujrano, że Jego Świątobliwość uronił łzy; co się tyczy kardynała, rysy jego nie straciły zwykłego spokoju.

Zdumienie wzrosło jeszcze, kiedy na tym samym konsystorzu kardynał Montalto przyklęknął z kolei przed tronem Jego Świątobliwości, aby zdać sprawę z czynności mu powierzonych; papież, nim mu pozwolił rozpocząć, nie mógł się wstrzymać od szlochu.

Żaloba, Siła

Kiedy Jego Świątobliwość zdolny był przemówić, starał się pocieszyć kardynała, przyrzekając mu, iż zbrodnia tak potworna spotka się rychło z surową karą. Ale kardynał, podziękowawszy pokornie, błagał papieża, aby poniechał śledztwa w tej sprawie, świadcząc się, iż co się jego tyczy, przebacza z serca winowajcy, kimkolwiek by był. I po tej prośbie, wyrażonej w bardzo krótkich słowach, kardynał przeszedł do spraw, które mu poruczono, tak jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Oczy wszystkich obecnych kardynałów wlepione były w papieża i w kardynała Montalto; mimo iż bardzo trudno jest zmylić wyćwiczone oko dworaków, żaden wszakże nie ośmielił się powiedzieć, aby twarz kardynała Montalto zdradziła ślad wzruszenia, gdy widział tak z bliska płaczącego papieża, który po prostu nie mógł się opanować. Ta zdumiewająca nieczułość kardynała Montalto nie zadała sobie kłamu przez cały czas rozmowy z Jego Świątobliwością; aż papież był tym uderzony i po skończonym konsystorzu, nie mogąc się wstrzymać, rzekł do kardynała San Sisto, swego ulubionego bratanka:

— *Veramente, costui è un gran frate!* (W istocie, tęgi mnich z tego człowieka!)<sup>19</sup>

Następnych dni zachowanie kardynała Montalto nie uległo zgoła odmianie. Przyjął, jak każe obyczaj, kondolencje kardynałów, prałatów i księząt rzymskich, ale z żadnym — bez względu na wiążące ich stosunki — nie pozwolił sobie na słowo bólu lub żaloby. Z każdym po krótkiej uwadze o niestałości rzeczy ziemskich, umocnionej i popartej cytatami z Pisma lub z Ojców Kościoła, odmieniał rozmowę i przechodził do miejskich nowin lub do osobistych spraw każdego; zgoła tak, jakby chciał pocieszyć swoich pocieszycieli.

Rzym był zwłaszcza ciekawy tego, co się będzie działo podczas odwiedzin księcia Pawła Giordana Orsini, diuka Bracciano, któremu głos publiczny przypisywał śmierć Feliksa Peretti. Pospółstwo mniemało, że kardynał nie zniesie z bliska obecności księcia i rozmowy z nim sam na sam, aby miał nie zdradzić jakowym znakiem swoich uczuć.

W chwili gdy książę przybył do kardynała, zebrała się ogromna ciżba na ulicy i koło bramy; mnogość dworzan wypełniała wszystkie pokoje, tak byli ciekawi śledzić twarze obu. Ale u żadnego z nich nie było można dostrzec nic nadzwyczajnego. Kardynał zachował wszystkie formy dworności; przybrał twarz nader wesołą, a sposób, w jaki zwracał się do księcia, odznaczał się wyszukaną uprzejmością.

W chwilę potem, siadając do karocy i znalazłszy się ze swymi poufałymi, książę Paweł nie mógł się wstrzymać i rzekł śmiejąc się: *In fatto, è vero che costui è un gran frate!* (Szczera prawda, że to jest tęgi mnich!), jak gdyby chciał potwierdzić prawdę słów, które się wymknęły papieżowi.

Roztropni ludzie myśleli, że zachowanie kardynała Montalto w tej okoliczności wymościło mu drogę do tiary; wiele bowiem osób powzięło o nim to mniemanie, iż z natury czy z cnoty chrześcijańskiej nie umie lub nie chce szkodzić nikomu, choćby miał największe przyczyny gniewu.

Feliks Peretti nie zostawił żadnego pisma tyżącego żony; tym samym trzeba jej było wracać do rodziców. Kardynał kazał jej wręczyć przed odejściem stroje, klejnoty i w ogóle wszystkie dary, jakie otrzymała, gdy była żoną jego siostrzeńca.

Trzeciego dnia po śmierci Feliksa Wiktoria w towarzystwie matki wprowadziła się do pałacu księcia Orsini. Niektórzy mówili, iż skłoniła je do tego kroku troska o osobiste bezpieczeństwo<sup>20</sup>, ile że *corte* groziła im pościgiem, jako oskarżonym o zgodę na zabójstwo lub bodaj o jego świadomość. Inni myśleli (a późniejsze wypadki potwierdziły to niejako), że skłoniła je do tego kroku chęć małżeństwa, ile że książę przyrzekł Wiktorii zaślubić ją, skoro tylko będzie wolna.

Bądź co bądź ani wówczas, ani później nie poznano jasno sprawcy śmierci Feliksa, mimo iż wszyscy podejrzewali wszystkich. Większość wszelako przypisywała tę śmierć księciu Orsini; znano jego miłość do Wiktorii, którą objawiał w sposób niedwuznaczny; a małżeństwo, które nastąpiło, było tego wymownym dowodem, gdyż oblubienica

<sup>19</sup> *W istocie, tęgi mnich z tego człowieka* — aluzja do hipokryzji, którą niedowiarkowie uważają za częstą u mnichów. Sykstus V był mnichem żebrzącym i przesładowanym w swoim zakonie. Zobacz jego życiorys u Gregoria Leti, zabawnego historyka, który kłamie nie częściej od innych. Feliks Peretti został zamordowany w 1580; jego wuj został papieżem w 1585. [przypis autorski]

<sup>20</sup> *Wiktoria w towarzystwie matki wprowadziła się do pałacu księcia Orsini. Niektórzy mówili, iż skłoniła je do tego kroku troska o osobiste bezpieczeństwo, ile że corte groziła im pościgiem* — *corte* nie mogła wkraczać do pałacu książęcego. [przypis autorski]



była tu o tyle niższa stanem, iż jedynie napór namiętności mógł ją zrównać z oblubieńcem<sup>21</sup>. Przeświadczenia tego nie zachwiał wśród ogółu list napisany do gubernatora Rzymu i ogłoszony w kilka dni po fakcie. List ten podpisany był nazwiskiem Cezara Palantieri, młodego człowieka o wielce nieokiełznanym charakterze, wygnanego z miasta.

W liście tym Palantieri powiada, że nie trzeba, aby Jego Dostojność zadawał sobie trud szukania gdzie indziej sprawcy śmierci Feliksa, gdyż to on kazał go zabić wskutek nieporozumień, które zaszły między nimi przed jakimś czasem.

Wielu myślało, że to morderstwo nie stało się bez zgody rodziny Accoramboni; oskarżono braci Wiktorii uwiedzionych jakoby ambicją spowinowacenia się z możnym i bogatym księciem. Oskarżano zwłaszcza Marcelę na mocy poszlaki zawartej w liście, który wywabiał z domu nieszczęsnego Feliksa. Mówiono źle i o samej Wiktorii, kiedy ujrzano, iż godzi się zamieszkać w pałacu Orsinich, jako przyszła małżonka, tuż po śmierci męża. Twierdzono, że jest mało prawdopodobne, by w mgnieniu oka można osiąść umiejętność władania krótką bronią, jeśli się przez jakiś czas przynajmniej nie posługiwało szpadą.<sup>22</sup>

Dochodzenie tego morderstwa objął monsignor Portici, gubernator Rzymu, na rozkaz Grzegorza XIII. Widzimy w nim tylko, iż ów Dominik przezwany Mancino, uwięziony przez *corte*, ale nie wzięty na tortury (*tormentato*), wyznaje w drugim przesłuchaniu dnia 24 lutego 1582:

„Że przyczyną wszystkiego była matka Wiktorii i że wspomagała ją owa *cameriera* rodem z Bolonii, która natychmiast po morderstwie schroniła się do cytadeli w Bracciano (należącej do księcia Orsini, gdzie *corte* nie śmiałyby wkroczyć), a że sprawcami zbrodni byli Machione z Gubbio i Paweł Barca z Bracciano, *lancie spezzate* (żołnierze) pewnego pana, którego nazwiska dla godnych przyczyn nie wymieniono.”

Do tych „godnych przyczyn” dołączyły się, jak sądzę, prośby kardynała Montalto, który żądał usilnie, aby dochodzeń nie posuwano dalej; jakoż w istocie nie było mowy o procesie. Mancino wyszedł z więzienia z *precetto* (rozkazem), by wracał natychmiast, pod karą śmierci, do swej ojczyzny i nie wydal się bez szczególnego zezwolenia. Uwolnienie tego człowieka nastąpiło w roku 1583, w dzień św. Ludwika, że zaś ów dzień był równocześnie dniem urodzin kardynała Montalto, okoliczność ta utwierdza mnie coraz więcej w przeświadczeniu, że to na jego prośbę zakończono sprawę. Pod rządem tak słabym jak rząd Grzegorza XIII taki proces mógł mieć następstwa bardzo niemiłe, i to bez żadnej kompensaty.

W ten sposób działanie *corte* zawieszono; mimo to Grzegorz XIII nie chciał się zgodzić, aby książę Paweł Orsini, diuk Bracciano, zaślubił wdowę Accoramboni. Jego Świątobliwość, nałożywszy Wiktorii jakoby więzienie, dał księciu i wdowie *precetto* niezawierania małżeństwa bez osobliwej zgody jego lub jego następcy.

Grzegorz XIII umarł (z początkiem roku 1585); ponieważ doktorzy praw, których poradził się Paweł Orsini, orzekli, że wedle ich sądu *precetto* wygasa przez śmierć panującego, który je nałożył, książę postanowił zaślubić Wiktorię przed wyborem nowego papieża. Ale małżeństwo nie mogło się odbyć tak rychło, jak by książę pragnął; częścią dlatego, że chciał mieć pozwolenie braci Wiktorii, zdarzyło się zaś, że Oktaw Accoramboni, biskup Fossombrone, nie chciał za nic dać swego pozwolenia; częścią, ponieważ nie przypuszczano, aby wybór następcy Grzegorza XIII odbył się tak szybko. Faktem jest, że ślub odbył się dopiero tego dnia, w którym papieżem został kardynał Montalto, tak zainteresowany w tej sprawie, to znaczy 24 kwietnia 1585; bądź to z przypadku, bądź że książę rad był okazać, że tak samo nie lęka się *corte* pod nowym papieżem, jak się go nie lękał pod Grzegorzem XIII.

<sup>21</sup> oblubienica była tu o tyle niższa stanem, iż jedynie napór namiętności mógł ją zrównać z oblubieńcem — pierwsza żona księcia Orsini, z której miał syna imieniem Virginio, była siostrą Franciszka I, wielkiego księcia Toskanii, i kardynała Ferdynanda de Medici. Kazał ją zabić, za zgodą jej braci, ponieważ go zdradziła. Takie były prawa honoru przyniesione do Włoch przez Hiszpanów. Wiarołomstwo kobiety było w tym samym stopniu zniewagą dla jej braci jak dla męża. [przypis autorski]

<sup>22</sup> Twierdzono, że jest mało prawdopodobne, by w mgnieniu oka można osiąść umiejętność władania krótką bronią, jeśli się przez jakiś czas przynajmniej nie posługiwało szpadą — aluzja do przyjętego sposobu walczenia jednocześnie szpadą i sztyltem. [przypis autorski]

To małżeństwo oburzyło do żywego Syktusa V (takie imię przybrał Montalto); porzucił już sposób myślenia właściwy mnichowi i dostroił swą duszę do stopnia, na którym Bóg go pomieścił.

Mimo to papież nie zdradził niczym gniewu; jedynie gdy książe Orsini zjawił się tego samego dnia wraz z ciżbą panów rzymskich, aby mu ucałować nogi, a z tajnym zamiarem wyczytania w twarzy Ojca Świętego, czego mu się trzeba spodziewać lub lękać ze strony tego człowieka, dotąd tak mało mu znanego, spostrzegł, że już nie czas na żarty. Kiedy nowy papież spojrział na księcia w szczególny sposób i nic nie odpowiedział na jego dworność, ten postanowił wyświetlić bezzwłocznie zamiary Jego Świątobliwości.

Za pośrednictwem Ferdynanda, kardynała de Medici (brata pierwszej żony), oraz katolickiego ambasadora hiszpańskiego książe uzyskał u papieża audiencję w jego pokoju; tam wygłosił do Jego Świątobliwości dobrze obmyślane przemówienie. Nie wspominając o minionych wypadkach, ucieszył się jego nową godnością oraz ofiarował mu, jako powolny wasal i sługa, całe swoje mienie i wszystkie siły.

Papież<sup>23</sup> wysłuchał z nadzwyczajną uwagą; w końcu oświadczył, że nikt bardziej odeń nie pragnie, aby życie i czyny Pawła Giordana Orsini były na przyszłość godne krwi Orsinich i prawego chrześcijańskiego rycerza; że co się tyczy przeszłego jego stosunku do Stolicy Apostolskiej i do niego samego, dziś papieża, sumienie może go najlepiej objaśnić; może wszakże być pewny jednej rzeczy, mianowicie, że tak jak przebacza mu chętnie to, co mógł być uczynić przeciw Feliksowi Peretti i przeciw Feliksowi kardynałowi Montalto, nigdy nie przebaczyłby mu tego, co by na przyszłość uczynił przeciw papieżowi Sykstusowi; tym samym wzywa go, aby natychmiast wygnął z domu i ze swoich ziem wszystkich bandytów (wywołańców) i zлочyńców, którym dotąd użyczał schronienia.

Syktus V umiał wywierać osobliwe wrażenie, w jakimkolwiek tonie przemawiał; ale kiedy był wzburzony i groźny, rzekłbyś, oczy jego ciskały pioruny. Tyle jest pewne, że książe Paweł Orsini, zawsze nawykły, że papieża go się bali, zaczął pod wpływem tych słów poważnie myśleć o swoich sprawach, ile że niczego podobnego nie słyszał od lat trzynastu. Ledwie wyszedłszy z pałacu Jego Świątobliwości, pobiegł do kardynała de Medici opowiedzieć mu, co zaszło. Następnie za radą kardynała postanowił odprawić bez zwłoki wszystkich wywołańców, którym dawał schronienie w swoim pałacu i w swoich ziemiach, i pomyślał co prędzej o tym, aby znaleźć jakiś przyzwoity pozór bezzwłocznego opuszczenia kraju podległego władzy tak surowego papieża.

Trzeba wiedzieć, że książe Paweł Orsini zrobił się nader otyły; nogi jego były grubsze niż ciało zwykłego człowieka, a jedna z tych olbrzymich nóg dotknięta była schorzeniem zwanym *lupa* (wilczyca), tak nazwanym, ponieważ trzeba je żywić wielką ilością świeżego mięsiwa, które się przykładła na schorzały członek; inaczej żrące humory, nie znajdując martwego mięsa do pożarcia, rzuciłyby się na żywe ciało w ich pobliżu.

Książe wziął to cierpienie za pozór, aby się udać do słynnych kąpeli w Albano, opodał Padwy, kraju podległego Rzeczypospolitej Weneckiej; wyruszył wraz z nową małżonką w połowie czerwca. Albano było dlań schronieniem bardzo pewnym, od wielu bowiem lat dom Orsinich związany był z Rzeczypospolitą Wenecką wzajemnymi usługami.

Znalazłszy się w tym bezpiecznym schronieniu, książe myślał już tylko o tym, aby zażywać wczasu; w tym celu wynajął trzy wspaniałe pałace: jeden w Wenecji, pałac Dandolo, przy ulicy Zecca; drugi w Padwie, mianowicie pałac Foscarini, na wspaniałym placu zwanym Arena; trzeci wybrał w Salo, nad lubym brzegiem jeziora Garda: ten pałac należał niegdyś do rodziny Sforza Pallavicini.

Panowie weneccy (rząd republiki) z przyjemnością dowiedzieli się o przybyciu w ich stany takiego magnata i ofiarowali mu bardzo godną *condotta* (to znaczy pokaźną sumę, wypłacaną corocznie, którą książe miał obrócić na sformowanie korpusu dwóch do trzech tysięcy ludzi pod swoim dowództwem). Książe wymówił się bardzo swobodnie od tej propozycji; kazał oświadczyć senatorom, iż z naturalnej i dziedzicznej w jego rodzie skłonności byłby sercem gotów do służby w Najdostojniejszej Republice, jednakże, będąc obecnie oddany królowi katolickiemu<sup>24</sup>, nie uważa za właściwe przyjmować innych zo-

<sup>23</sup>papież — Syktus V został papieżem w roku 1585, w sześćdziesiątym ósmym roku życia, panował pięć lat i cztery miesiące: uderzające jest jego podobieństwo do Napoleona. [przypis autorski]

<sup>24</sup>król katolicki — tytuł królów hiszpańskich.

bowiązań. Owa tak stanowcza odpowiedź ostudziła nieco senatorów. Zrazu mieli zamiar, w razie przybycia księcia do Wenecji, zgotować mu wspaniałe przyjęcie imieniem miasta; po tej odprawie namyślili się uważać go za prywatną osobę.

Książę Orsini, powiadomiony o wszystkim, postanowił nawet nie jechać do Wenecji. Już był w sąsiedztwie Padwy; za czym, jadąc dalej tym uroczym krajem, udał się wraz ze swą do domu przygotowanego dlań w Salo, nad brzegiem jeziora Garda. Spędził tam całe lato wśród wspaniałych i urozmaiconych rozrywek.

Skoro nadeszła pora zmiany pobytu, książę dokonał kilku niewielkich podróży, po których uczuł, że nie może już znosić zmęczenia tak dobrze jak wprzód; zląkł się o swoje zdrowie; wreszcie postanowił spędzić kilka dni w Wenecji, ale odradziła mu to żona jego Wiktoria, która go nakłoniła, aby nadal został w Salo.

Niektórzy myśleli, że Wiktoria Accoramboni spostrzegła niebezpieczeństwo grożące życiu małżonka i że nakłoniła go do pozostania w Salo, jedynie chcąc wyciągnąć go później poza granice Włoch, na przykład do jakiegoś wolnego miasta w Szwajcarii; w ten sposób w razie śmierci księcia ubezpieczyłaby swoją osobę i osobisty majątek.

Czy to przypuszczenie było słuszne, czy nie, faktem jest, że nie stało się nic podobnego, ile że książę, uległszy nowemu napadowi choroby w Salo 10 listopada, natychmiast przeczuł to, co ma się zdarzyć.

Uzalił się swej nieszczęśliwej żony; widział ją w kwiecie młodości, ubogą zarówno reputacją, jak mieniem, znenawidzoną władcom panującym we Włoszech, niezbyt nawiadzoną przez Orsinich i bez nadziei innego małżeństwa po jego śmierci. Jako pan wspaniały i wierny słowu, sporządził z własnego popędu testament, którym chciał ubezpieczyć losy tej nieszczęsnej. Zostawił jej w gotowiznie lub klejnotach okazałą sumę stu tysięcy piastrów<sup>25</sup>, poza tym wszystkie konie, karoce i sprzęty, które mu służyły w tej podróży. Dziedzicem reszty majątku uczynił Virginia Orsini, swego jedynego syna z pierwszej żony, siostry Franciszka I, wielkiego księcia toskańskiego (tej samej, którą zabił za niewierność za zgodą jej braci).

Ale jak niepewne są przewidywania ludzi! Rozporządzenia, którymi Paweł Orsini mniemał zapewnić bezpieczeństwo nieszczęśliwej kobiecie, zmieniły się dla niej w kłęski i niedole.

Podpisawszy testament książę uczuł się dnia 12 listopada nieco lepiej. Rano 13 puszczono mu krew, a lekarze, pokładając nadzieje już tylko w surowej diecie, wydali najściślejsze rozkazy, aby mu nie dozwolano żadnego jadła.

Ale zaledwie opuścili pokój, książę zażądał, aby mu dano obiad; nikt nie ośmielił się sprzeciwić, jadł tedy i pił jak zwyczajnie. Ukończywszy posilek stracił przytomność i na dwie godziny przed zachodem słońca nie żył.

Po tej naglej śmierci Wiktoria Accoramboni w towarzystwie Marcelego, swego brata, oraz całego dworu nieboszczyka księcia udała się do Padwy do pałacu Foscarini w pobliżu Areny, tego samego, który książę Orsini był wynajął.

Wkrótce potem przybył tam do niej brat jej Flaminio, cieszący się pełnią łask kardynała Farnese. Wiktoria poczyniła kroki, aby uzyskać wypłatę mężowskiego zapisu; zapis ten sięgał sześćdziesięciu tysięcy piastrów, które miały być jej wypłacone w ciągu dwóch lat, niezależnie od posagu i wiana oraz klejnotów i sprzętów, które miała w ręku. Książę Orsini zarządził testamentem, aby w Rzymie lub innym mieście, wedle wyboru księżnej, kupiono jej pałac wartości dziesięciu tysięcy piastrów i posiadłość wiejską za sześć tysięcy; zalecił dalej, aby jej zapewniono stół i służbę należne pani jej stanowiska. Służba miała się składać z czterdziestu ludzi wraz z odpowiednią ilością koni.

Signora Wiktoria pokładała wiele nadziei w przyjaźni książąt Ferrary, Florencji i Urbino oraz kardynałów Farnese i Medici, mianowanych przez nieboszczyka wykonawcami testamentu. Godzi się nadmienić, że testament sporządzony był w Padwie i poddany ocenie znamienitych ichmość panów Parrizolo i Menochio, pierwszych profesorów tamecznego uniwersytetu, a dziś tak słynnych prawników.

Książę Ludwik Orsini przybył do Padwy, aby dopełnić swoich obowiązków względem nieboszczyka i wdowy; następnie miał się udać na wyspę Korfu, aby objąć rządy, do których go powołała Najdostojniejsza Republika.

<sup>25</sup>sumę stu tysięcy piastrów — około 2 000 000 w 1837 r. [przypis autorski]

Najpierw wszczął się spór między signorą Wiktorią i księciem Ludwikiem o konie nieboszczyka diuka, których książę nie chciał uznać za *sprzęty* w zwyczajnym znaczeniu tego słowa; ale księżna dowiodła, że trzeba je, ściśle mówiąc, uważać za *sprzęty*. Za czym postanowiono, że zachowa ich użytek do późniejszego rozstrzygnięcia; a jako rękojmnię podała pana Soardi z Bergamo, kondotiera Rzeczypospolitej Weneckiej, szlachcica bardzo bogatego, jednego z pierwszych w ojczyźnie.

Druga trudność wyłoniła się z powodu pewnej ilości srebra, które nieboszczyk książę oddał księciu Ludwikowi w zastaw za pożyczoną sumę. Wszystko rozstrzygano drogą sądową, ile że najdostojniejszy książę Ferrary pilnował, aby ostatnią wolę księcia Orsini wypełniono z całą ścisłością.

Tę drugą sprawę rozstrzygnięto dnia 23 grudnia, który to dzień przypadał w niedzielę.

Tej samej nocy czterdziestu ludzi wtargnęło do domu rzeczonyj Accoramboni. Byli ubrani w płaszcze płócienne, dziwnie skrojone i uszyte w ten sposób, aby ich nie można było poznać, chyba po głosie, wołając się zaś nawzajem, posługiwali się zmyślonymi imionami.

Szukali najpierw księżnej, a skoro ją znaleźli, jeden rzekł: „Teraz trzeba umierać”.

I nie darowując jej ani chwili, mimo iż błagała, że chce się polecić Bogu, wbił jej sztylet tuż nad lewą piersią; po czym, obracając sztylet na wszystkie strony, okrutnik zażądał kilka razy od nieszczęśliwej, aby powiedziała, czy dosięgnął serca; wreszcie wydała ostatnie tchnienie. Przez ten czas inni szukali braci księżnej, z których jeden, Marceli, uszedł z życiem, ponieważ go nie znaleziono w domu; drugiego przeszyto setką ciosów. Mordercy zostawili ciała na ziemi, cały dom we łzach i lamentach i porwawszy szkatułkę z pieniędzmi i kosztownościami umknęli.

Wieść ta dobiegła szybko do sędziów w Padwie; polecieli rozpoznać martwe ciała i posłali do Wenecji po rozkazy.

Przez cały poniedziałek w pałacu oraz w kościele Eremitów była straszliwa cizba; wszyscy chcieli oglądać trupy. Ciekawi byli poruszeni litością, zwłaszcza na widok księżnej, tak pięknej; płakali nad jej nieszczęściem *et dentibus fremebant* (i zgrzytali zębami) na morderców; ale nie znano jeszcze ich nazwiska.

*Corte*, powziąwszy silne podejrzenie, iż rzecz stała się z rozkazu lub przynajmniej za zgodą rzeczonyj księcia Ludwika, kazała go wezwać; kiedy zaś on chciał wejść *in corte* (do trybunału) Jego Dostojności kapitana z orszakiem czterdziestu uzbrojonych ludzi, zagrodzono mu drogę i powiedziano, aby wszedł tylko z trzema lub czterema. Ale w chwili gdy ci wchodzili, inni wcisnęli się za nimi, odtrącając strażę i weszli wszyscy.

Książę Ludwik, znalazłszy się przed Jego Dostojnością kapitanem, uzalił się na tę zniewagę, świadcząc się, że nigdy nie doznał podobnego afrontu od żadnego panującego. Kiedy Jego Dostojność spytał go, czy wie coś dotyczącego śmierci signory Wiktorii oraz tego, co się zdarzyło ubiegłej nocy, odpowiedział, że tak i że nakazał, aby z tego zdano sprawę sądowi. Chciano zapisać jego zeznania; odpowiedział, że ludzie jego stanu nie podlegają tej formalności i że także nie godzi się go przesłuchiwać.

Książę Ludwik poprosił o pozwolenie wysłania gońca do Florencji z listem do księcia Virginia Orsini, w którym zawiadamia go o zbrodni i procesie. Pokazał list udany, nie będący prawdziwym, i uzyskał to, o co prosił.

Ale wysłanego gońca przytrzymało za miastem i przeszukano starannie; znaleziono list, który książę Ludwik pokazał, oraz drugi, schowany w butach kuriera; a był następującej treści:

Do pana Virginia Orsini  
Wielce Dostojny Panie!

Wykonaliśmy to, co było ułożone między nami, i to w ten sposób, żeśmy wyprowadzili w pole jegomością Tondini (zapewne nazwisko naczelnika *corte*, który przesłuchiwał księcia), tak iż mają mnie tu za niewinnego jak baranek. Wykonałem rzecz osobiście, toteż nie zaniedbaj Wasza Książęca Mość wysłać natychmiast wiadomych ludzi.

List ten poruszył mocno sędziów; posłali go czym prędzej do Wenecji, sami zaś dali rozkaz zamknięcia bram miasta oraz obsadzenia murów wojskiem przez dzień i noc. Ogłoszono surowe kary na każdego, kto znając zbrodniarzy nie udzieliłby sądowi tego, co wie. Mordercy, którzy zdradzą jednego ze swoich, nie będą sami odpowiadali, a nawet otrzymają pewną kwotę pieniężną. Ale około siódmej w nocy w wigilię Bożego Narodzenia<sup>26</sup> (24 grudnia o północy) przybył z Wenecji Alojzy Bragadino z szerokimi pełnomocnictwami od senatu oraz z rozkazem ujęcia za wszelką cenę, żywych lub umarłych, rzonego księcia Ludwika i wszystkich jego ludzi.

Ów pełnomocnik Bragadino, Jego Dostojność kapitan i podesta zebrali się w fortecy.

Nakazano pod karą szubienicy (*della forca*) wszelkiej milicji, pieszej i konnej, aby się zebrała, dobrze uzbrojona, wpodłe domu rzonego księcia Ludwika, sąsiadującego z fortecą, a przylegającego do kościoła św. Augustyna na Arenie.

Skoro nastał dzień (będący dniem Bożego Narodzenia), ogłoszono w mieście edykt upominający synów św. Marka, aby pobiegli z bronią w rękę do domu pana Ludwika; ci, którzy nie posiadają broni, mają się udać do fortecy, gdzie otrzymają jej, ile zapragną. Edykt ten przyznawał nagrodę dwóch tysięcy dukatów temu, kto odda do rąk *corte* żywym lub umarłym rzonego pana Ludwika, a pięćset dukatów za każdego z jego ludzi. Co więcej, wydano rozkaz, aby ten, kto nie ma broni, nie zbliżał się do domu księcia, iżby nie zawadzał bijącym się, w razie gdyby książę odważył się uczynić wypad.

Zarazem pomieszczono rusznice wałowe, moździerze i armaty na starych murach, na wprost domu księcia; toż samo na nowych murach, z których widać było tyły domu. Z owej strony ustawiono jazdę, aby się mogła swobodnie obracać w razie potrzeby. Nad rzeką Brentą rozstawiono ławy, szafy, wozy i inne sprzęty, tworząc z nich rodzaj szańca. Chciano w ten sposób uczynić zaporę dla oblężonych, w razie gdyby mieli ruszyć na lud w zwartym ordynku. Szaniec ten miał też chronić puszkarzy i piechotę przeciw rusznicom oblężonych.

Wreszcie umocowano na rzece barki, na wprost i po bokach książęcego pałacu. Barki były pełne ludzi zbrojnych w muszkiety i inną broń sposobną do niepokojenia wroga, w razie gdyby próbował ucieczki; równocześnie wzniesiono barykady na wszystkich ulicach.

W czasie tych przygotowań nadszedł list w bardzo przystojnych słowach, w których książę żalił się, że go osądzono winnym i że się go traktuje jako wroga, ba, nawet buntownika, zanim zbadano sprawę. List ten ułożył niejaki Liveroto.

27 grudnia trzej szlachcice, najznacniejsi w mieście, udali się z ramienia sądu do księcia Ludwika, który miał w domu około czterdziestu ludzi, żołnierzy ostrzelanych z niebezpieczeństwem. Zastali ich sporządzających szańce z desek i mokrych materacy oraz gotujących rusznice.

Ci trzej szlachcice oświadczyli księciu, że sędziowie gotowi są owdnać jego osobą; napominają go, aby się poddał, dodając, iż dzięki temu, nim jeszcze przyjdzie do czynnego starcia, może się u nich spodziewać zmiłowania. Na co pan Ludwik odpowiedział, że gdyby usunęli strażę rozstawioną koło domu, udałby się przed sędziów samowtór albo samotrzeć ze swymi ludźmi, aby traktować sprawę, pod warunkiem, że zawsze będzie miał swobodę cofnąć się do pałacu.

Wysłannicy przyjęli propozycje spisane jego ręką i wrócili do sędziów, którzy odrzucili te warunki, za szczególną poradą wielce znamienitego Pio Enea i innych panów. Posłowie wrócili do księcia i oznajmili mu, że jeśli się nie podda wręcz i bez warunków, dom jego będzie zrównany z ziemią z armaty; na co odpowiedział, że woli śmierć niż takie pohańbienie.

Starsi dali znak do bitwy. Mimo że można było zburzyć prawie cały dom jedną salwą, woleli działać z niejakiimi względami, próbując, czy oblężeni nie zgoda się poddać.

Ten zamiar powiódł się i oszczędzono Wenecjanom wiele pieniędzy, które byliby wydali na odbudowanie pałacu; nie wszyscy jednak pochwalili to. Gdyby ludzie pana Ludwika powzięli bez wahania rezolucję i wypadli z domu, skutek byłby bardzo wątpliwy. Byli to starzy żołnierze, nie zbywało im amunicji, broni ani serca, a zwłaszcza mieli

<sup>26</sup>około siódmej w nocy w wigilię Bożego Narodzenia — do połowy XIX wieku w znacznej części Włoch rozpoczynano dobę na godzinę przed zachodem słońca i rachowano godziny do dwudziestu czterech.

największy interes w tym, aby zwyciężyć; czyż nie było lepiej dla nich, nawet przyjmując najgorsze, umrzeć od kuli niż z ręki kata? Zresztą z kim mieli do czynienia? Z ciurami mało doświadczonymi w broni. W takim wypadku panowie mocno by żalowali swej łagodności i swej wrodzonej dobroci.

Zaczęto tedy od burzenia kolumnady przed domem; następnie, strzelając wciąż nieco górą, zburzono tylną fasadę. Przez ten czas oblężeni gęsto strzelali z rusznicy, ale bez innego skutku prócz tego, iż jakiegoś człowieka skaleczono w ramię.

Pan Ludwik krzyczał z wielkim impetem: „Bitwa! bitwa! wojna! wojna!” Był bardzo zajęty wytapianiem kul z cynowych półmisków oraz z ołowiu z szybki okiennych. Groził, że uczyni wycieczkę. Ale oblegający powzięli nowe postanowienie: wysunięto artylerię grubszego kalibru.

Za pierwszym wystrzałem zawałił się wielki kawał domu i niejaki Pandolfo Leupratti z Camerino padł przywalony gruzem. Był to bardzo mężny człowiek i banita jeden z najznamienitszych. Wygnano go ze stanów św. Kościoła, a na głowę jego nałożył cenę czterechset piastrow jasnie wielmożny pan Vitelli, a to za śmierć Wincentego Vitelli, napadniętego w powozie i zabitego sztyletem i rusznicą, bronią daną przez księcia Ludwika Orsini, a ramieniem owego Pandolfa i jego towarzyszy. Ogluszony upadkiem, Pandolfo nie mógł uczynić żadnego ruchu; ciura pewien zwany Caidi Lista przysunął się doń uzbrojony w pistolet i bardzo mężnie uciął mu głowę, którą zaniósł czym prędzej do cytadeli i oddał władzom.

Wkrótce potem drugi strzał armatni zwałił ścianę domu, a wraz z nią hrabiego Montemelino z Perugii; i zmarł w ruinach zmiażdżony kulą.

Ujrzano następnie wychodzącego z domu pułkownika Lorenzo, szlachcica z Camerino, bardzo bogatego, który w niejednej okazji dał dowody męstwa i wielce był szacowny księciu. Ten postanowił nie umrzeć bez pomsty; chciał strzelić z rusznicy; ale mimo że kurek spadł, zdarzyło się — może z dopustu Boga — że zapal się nie zajął, a w tejże chwili jego przeszła kula. Wystrzelił doń jakiś biedaczyna, repetytor żaków u św. Michała. Ale kiedy, chcąc zyskać przyrzeczoną nagrodę, zbliżał się, aby mu uciąć głowę, uprzedzili go inni, zwinniejsi, a zwłaszcza silniejsi, którzy wzięli sakiewkę, pas, strzelbę, pieniądze i pierścionki pułkownika i ucięli mu głowę.

Skoro ci, w których książę Ludwik największą pokładał ufność, padli, stropił się bardzo i zauważono, że poniechał już wszelkiego ruchu.

Pan Filenfi, jego marszałek dworu i sekretarz w cywilnym ubraniu, dał z balkonu białą chustką znak, że się poddaje. Wyszedł i zawiedziono go do cytadeli *prowadząc pod ramię*, jak podobno jest obyczaj na wojnie; a prowadził go Anzelm Suardo, namiestnik panów (sędziów). Przesłuchany na miejscu rzekł, iż nie ponosi żadnej winy w tym, co się stało, ile że dopiero w wilię Bożego Narodzenia przybył z Wenecji, gdzie zatrzymał się kilka dni dla spraw księcia.

Spytano go, ilu ludzi ma ze sobą książę; odpowiedział: „Dwudziestu albo trzydziestu”.

Spytano o ich nazwiska; odpowiedział, że jest ośmiu lub dziesięciu takich, którzy jako znamienitsi jadali jak on przy stole księcia, i tych zna po nazwisku; o innych, włączących z ziemiością i niedawno przybyłych, nic mu nie wiadomo.

Wymienił trzynaście osób, wśród tych brata pana Liveroto.

Wkrótce potem artyleria, ustawiona na murach, zaczęła grać. Żołnierze usadowili się w domach sąsiadujących z pałacem księcia, aby przeszkodzić ucieczce jego ludzi. Książę, narażający się na te same niebezpieczeństwa co owi dwaj, których opowiedzieliśmy śmierć, rzekł tym, co go otaczali, aby się bronili, póki nie ujrzą pisma jego ręki w towarzystwie pewnego znaku; po czym oddał się wymienionemu już Anzelmowi Suardo. Nie można go było zawieźć w karocy, jak było przepisane, a to z powodu ciżby ludu i barykad wznoszących się na ulicach; postanowiono tedy, że pójdzie piechotą.

Szedł otoczony ludźmi Marcelego Accoramboni; tuż przy nim szli panowie *condottieri*, namiestnik Suardo, inni kapitanowie i szlachta, wszyscy dobrze uzbrojeni. Następnie szła tęga kompania żandarmów i żołnierzy miejskich. Książę Ludwik szedł ciemno ubrany, ze sztyletem u boku i z płaszczem odrzuconym przez ramię w sposób bardzo dworny; rzekł z uśmiechem wzgardy: „Gdybym był walczył!” — chcąc dać do zrozumienia, że byłby zwyciężył. Zaprowadzony przed panów, skłonił się i rzekł, wskazując na namiestnika Anzelma:

— Panowie, jestem jeńcem tego szlachcica i bardzo mnie smuci to, co się zdarzyło, a czemu nie jestem winien.

Kiedy kapitan nakazał, aby mu odjęto sztylet, który miał przy boku, oparł się o balkon i zaczął sobie obcinać paznokcie nożyczkami, które tam znalazł.

Spytano go o osoby, które ma w domu; wymienił między innymi pułkownika Liveroto i hrabiego Montemelino (o którym była mowa wyżej), dodając, że dałby dziesięć tysięcy piastrów za jednego z nich, a za drugiego oddałby własną krew. Poprosił, aby go pomieszczono w miejscu przystojnym dla człowieka jego stanu. Skoro rzecz ułożono, napisał własną ręką do swoich, nakazując, aby się poddali, i dał pierścień jako znak. Oświadczył panu Anzelmowi, że daje mu swoją szpadę i fuzję, skoro znajdzie tę broń w domu, aby się nią posługiwał dla jego miłości jako bronią należącą do szlachcica, a nie do pospolitego ciury.

Żołnierze weszli do domu księcia, przetrząsnęli go starannie i natychmiast zwołali ludzi księcia, w liczbie trzydziestu czterech, po czym zaprowadzili ich po dwu do więzienia. Trupy zostawiono na pastwę psom i co prędzej zdano ze wszystkiego sprawę w Wenecji.

Spostrzeżono, że wielu żołnierzy księcia Ludwika, współników czynu, brakuje; zabroniono dawać im schronienie pod karą zburzenia nieposłusznym domu i skonfiskowania mienia; ci zaś, którzy ich wydadzą, otrzymają pięćdziesiąt piastrów. Tym sposobem wykryto wielu.

Wysłano z Wenecji fregatę do Kandii z rozkazem do pana Latyna Orsini, aby wracał natychmiast dla sprawy wielkiej wagi. Zdaje się, że straci swoje stanowisko.

Wczoraj rano, w dzień św. Szczepana, wszyscy spodziewali się, że będą świadkami stracenia księcia Ludwika lub też dowiedzą się, że go uduszono w więzieniu; i było powszechne zdziwienie, że się stało inaczej, zważywszy, że nie jest to ptak, którego by można długo trzymać w klatce. Ale następnej nocy odbył się proces i w dzień św. Jana, nieco przed świtem, przyszła wiadomość, że owego pana uduszono w więzieniu i że umarł bardzo dobrze przysposobiony. Ciało jego przeniesiono bez zwłoki do katedry, w otoczeniu księży katedralnych oraz ojców jezuitów. Zostawiono go cały dzień na stole na środku kościoła, iżby służył za widowisko dla ludu, a za zwierciadło dla niedoświadczonych.

Nazajutrz ciało jego przeniesiono do Wenecji, jak nakazał w testamencie, i tam go pogrzebano.

W sobotę powieszono dwóch jego ludzi; pierwszym i głównym był Furio Savorgnano, drugim — osoba podłego stanu.

W poniedziałek, przedostatniego dnia rzezonego roku, powieszono trzynastu, wśród tych kilku bardzo szlachetnego rodu; dwóch innych, kapitana Splendiano i hrabiego Paganello, przeprowadzono przez rynek i lekko szarpano kleszczami; skoro przybyli na miejsce stracenia, zatłuczono ich, rozbito im głowy i jeszcze na wpół żywych poćwiartowano. Byli obaj ze szlachty i nim weszli na złą drogę, obaj bardzo bogaci. Powiadają, że to hrabia Paganello zabił Wiktorię Accoramboni z okrucieństwem, o którym opowiadaliśmy. Sprzeciwiałoby się temu to, iż książę Ludwik w przytoczonym liście wyznaje, iż rzecz spełnił własną ręką; może czyni to przez próżną chwałbę, podobną, jaką okazał w Rzymie po zamordowaniu Vitellego, lub aby się lepiej zasłużyć w oczach księcia Virginia Orsini.

Hrabiemu Paganello, nim otrzymał śmiertelny cios, wbito wielokrotnie nóż powyżej lewej piersi, aby mu dosięgnąć serca, jak on to uczynił owej biednej pani. Stąd wynikło, że z piersi jego popłynął jakoby strumień krwi.

Zył tak więcej niż pół godziny, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich. Był to człowiek czterdziestopięcioletni, wyglądał bardzo silnie.

Szubienica stoi jeszcze, aby się załatwić z dziewiętnastoma pozostałymi w pierwszy dzień nieświęteczny. Ale ponieważ kat jest bardzo zmęczony, a lud jest bez tchu od widoku tyłu śmierci, odkładają egzekucję przez te dwa dni. Nie zdaje się, aby kogoś zostawiono przy życiu. Z ludzi księcia Ludwika jedynym wyjątkiem może być pan Filenfi, jego marszałek dworu, który zadaje sobie wiele trudu — i w istocie rzecz jest dlań ważna — aby dowieść, że nie miał żadnego udziału w tym zdarzeniu.

Nikt nie przypomina sobie, nawet z najstarszych mieszkańców Padwy, aby kiedykolwiek — i równie sprawiedliwym wyrokiem — pozbawiono życia tyle osób na jeden raz. I panowie weneccy zyskali sobie dobrą sławę i reputację u najcywilizowańszych narodów.

Sprawiedliwość

Dopisane inną ręką:

Franciszka Filenfi, sekretarza i *maestro di casa*, skazano na piętnaście lat więzienia. Podczaszego (*copiere*) Onoria Adami z Fermo, zarówno jak dwóch innych, na rok więzienia; siedmiu innych skazano na galery z kajdanami na nogach, siedmiu uwolniono.



## RODZINA CENCI 1599

Don Juan Moliera jest uwodzicielem, niewątpliwie, ale przede wszystkim jest człowiekiem z dobrego towarzystwa. Zanim się odda niezwykłemu pędowi, który go prze- do ładnych kobiet, dba o to, aby się dostroić do pewnego idealnego wzoru; chce być przedmiotem bezgranicznego podziwu na dworze młodego króla<sup>27</sup>, uwodzającego i pełnego wdzięku.

Don Juan Mozarta bliższy jest natury i mniej francuski: mniej myśli o *sądzie drugich* i nie zależy mu przede wszystkim na tym, żeby *błyszczeć*, jak mówi baron de Faeneste<sup>28</sup> d'Aubignégo. Mamy tylko dwa portrety don Juana włoskiego, w postaci, w jakiej musiał się objawić w owym pięknym kraju w szesnastym wieku, w zaraniu odradzającej się cywilizacji.

Z tych dwóch portretów jeden jest taki, że bezwarunkowo nie mogę go pokazać<sup>29</sup>, epoka nasza jest zbyt świątobliwa; trzeba pamiętać wielkie słowo, które nieraz słyszałem z ust lorda Byrona: „*This age of cant*”<sup>30</sup>. Owa obłuda, tak nudna i niezdolna oszukać nikogo, ma tę olbrzymią zaletę, iż daje głupcom temat do rozmowy: gorszą się, że ktoś osmielił się powiedzieć to a to, że się odważył śmiać z tego a tego, etc. Wadą jej jest, iż nieskończenie uszczupla sferę historii.

Jeśli czytelnik raczy mi pozwolić, przedstawię mu, z całą uniżonością, zapisek historyczny tyżący drugiego z owych Juanów, tego, o którym można mówić w roku 1837: nazywał się *Franciszek Cenci*.

Iżby don Juan był możliwy, trzeba, aby istniała na świecie obłuda. Don Juan w starożytności byłby zjawiskiem powszednim; religia była radosnym świętem, zachęcała ludzi do rozkoszy, jakże miałyby piętnować istoty, które rozkosz czynią swym jedynym celem? Jedynie rząd mówił o *powściągliwości*; zabraniał tego, co mogło szkodzić ojczyźnie — to znaczy dobrze zrozumianemu interesowi ogółu — a nie tego, co może szkodzić danej jednostce.

Wszelki człowiek, który miał pociąg do kobiet i dużo pieniędzy, mógł być tedy don Juanem w Atenach. Nikt nie miał mu nic do zarzucenia; nikt nie głosił, że życie jest padolem płaczu i że zasługą jest cierpieć.

Nie sądzę, aby don Juan ateński mógł dojść do zbrodni równie szybko jak don Juano- wie nowoczesnych monarchii. Znaczna część przyjemności naszego don Juana polegała na urąganiu opinii; w początkach zaś, za młodu, wyobrażał sobie, że urąga jedynie obłudzie.

*Gwałcić prawa* w monarchii typu Ludwika XV, wygarnąć z fuzji do lekarza i strącić go z dachu na dół — czyż to nie dowód, że ktoś się obraca w towarzystwie monarchy, że jest człowiekiem najlepszego tonu i że drwi sobie z sędziego, który jest mieszczaninem? *Drwić sobie z sędziego* — czyż to nie jest pierwsza próba początkującego don Juana?

U nas kobiety nie są już w modzie, oto czemu don Juano- wie zdarzają się rzadko; ale kiedy istnieli, zaczęli zawsze od szukania przyjemności bardzo naturalnych, szcycąc się zarazem, że się przeciwstawiają temu, co im się wydawało nierozsądne w religii współczesnych. Dopiero później, kiedy don Juan zaczyna się psuć, znajduje on przedziwną rozkosz w tym, aby urągać nawet poglądom, które sam uważa za słuszne i sprawiedliwe.

To przejście musiało być bardzo trudne u starożytnych; dopiero za cesarzów rzymskich, po Tyberiuszu i Kaprei<sup>31</sup>, spotyka się rozpustników miłujących zepsucie dla zepsucia, to znaczy dla przyjemności urągania słusznym poglądom współczesnych.

Tak więc religii chrześcijańskiej przypisuję możliwość satanicznej roli don Juana. Bez wątplenia, to ta religia ogłosiła światu, że biedny niewolnik czy gladiator ma duszę co do wartości i godności najzupełniej równą duszy samego Cezara; jakoż należy się jej wdzięczność za to uszlachetnienie uczuć; nie wątpię zresztą, że prędzej czy później uczucia te byłyby się zbudziły w sercu ludów. *Eneida* jest już o wiele *tkliwsza* niż *Iliada*.

<sup>27</sup>na dworze młodego króla — Ludwika XIV.

<sup>28</sup>baron de Faeneste — bohater satyrycznej powieści Agrippy d'Aubignégo *Przygody barona de Faeneste*.

<sup>29</sup>jeden jest taki, że bezwarunkowo nie mogę go pokazać — Stendhal ma zapewne na myśli papieża Aleksandra VI Borgię.

<sup>30</sup>*This age of cant* (ang.) — ten wiek obłudy.

<sup>31</sup>po Tyberiuszu i Kaprei — Tyberiusz spędził ostatnie lata swego panowania na Capri (Kaprea), prowadząc tam wielce nieobyczajny tryb życia.

Obyczaje, Rozkosz,  
Buntownik

Szlachcic, Prawo

Buntownik

Nauka Chrystusa była niemal tą samą nauką współczesnych mu filozofów arabskich; jedyna nowa rzecz, która weszła w świat wraz z zasadami głoszonymi przez św. Pawła, to ciało kapłańskie zupełnie oddzielone od reszty obywateli, a nawet mające sprzeczne z nimi interesy.<sup>32</sup>

Ciało to wzięło za jedyne zadanie hodować i umacniać *uczucia religijne*, znalazło uroki i przyzwyczajenia zdolne oddziaływać na dusze wszystkich klas, od nieokrzeseanego pastucha aż do zużytego starego dworaka; umiało związać swoje wspomnienia z czarem wrażeń dzieciństwa; nie przepuściło najmniejszej zarazy ani najdrobniejszej klęski, aby z nich nie skorzystał dla pomnożenia lęku i *uczucia religijnego* lub bodaj dla wzniesienia pięknego kościoła, jak na przykład Salute w Wenecji.

Istnienie tego ciała wydało cudowną rzecz: św. Leon, papież, stawiał bez *sily fizycznej* opór dziękmu Attyli i jego barbarzyńskim hordom, które napełniły właśnie strachem Chiny, Persję i Galię.

Tak więc religia — podobnie jak owa „absolutna władza złagodzona piosenką<sup>33</sup>”, zwana monarchią francuską — wydała osobliwe rzeczy, których świat nigdy by może nie ujrzał, gdyby był pozbawiony tych dwóch instytucji.

Wśród tych rzeczy dobrych albo złych, ale zawsze osobliwych i ciekawych, które by mocno zdziwiły Arystotelesa, Polibiusza, Augusta i inne tegie głowy w starożytności, mieszcząc bez wahania na wskroś nowoczesny charakter don Juana. Jest to, moim zdaniem, owoc *ascetycznych urzędzeń* papieży władających po Lutrze; Leon X bowiem i jego dwór (1506) hołdowali mniej więcej zasadom religii Ateńczyków.

*Don Juana* Moliera wystawiono w początkach panowania Ludwika XIV, 15 lutego roku 1665; monarcha ów nie ugrzązł był jeszcze w dewocji, a mimo to cenzura duchowna kazała usunąć scenę z żebrakiem w lesie<sup>34</sup>. Aby wzmocnić swoje stanowisko, cenzura ta siliła się wytłumaczyć młodemu królowi — który był rzadkim nieukiem — że słowo *jansenista* jest to synonim *republikanina*.<sup>35</sup>

Oryginał stworzył Hiszpan, Tirso de Molina<sup>36</sup>; włoska trupa grała przeróbkę tegoż w Paryżu około roku 1664 z szalonym powodzeniem. Jest to zapewne najczęściej grywana ze wszystkich komedii w świecie. Bo też jest tam diabeł i miłość, lęk przed piekłem i namiętne pożądanie kobiety, to znaczy wszystko, co jest najstraszniejszego i najśłodszego w oczach ludzi, o ile wzniosą się bodaj trochę ponad stan dzikich.

Nie dziw, że obraz don Juana wszedł do literatury za pośrednictwem hiszpańskiego poety. Miłość zajmuje wiele miejsca w życiu tego ludu; w owym kraju jest to namiętność, która przemożną ręką ugina pod sobą wszystkie inne, nawet — czyżby kto uwierzył! — *próżność*. Toż samo w Niemczech i we Włoszech. Biorąc ściśle, jedynie Francja najzupełniej jest wolna od tej namiętności, która tym cudzoziemcom każe popełniać tyle szaleństw, na przykład zaślubić ubogą dziewczynę pod pozorem, że jest ładna i że się ją kocha. Brzydkim pannom nie zbywa we Francji na wielbicielach: my jesteśmy ludzie rozsądni. Gdzie indziej trzeba im oblec sukienkę zakonną; dlatego to klasztory są nieodzowne w Hiszpanii. Panny nie mają posagów w tym kraju; prawo to zapewniło triumf miłości. Czyż we Francji miłość nie schroniła się na piątę pięterko, to znaczy między dziewczętą, które wybierają sobie miłego bez pośrednictwa rejenta i rodziny?

Nie ma co mówić tutaj o don Juanie lorda Byrona; jest to po prostu nowy Faublas<sup>37</sup>, ot, ładny chłopiec, na którego wałą się wielkie, nieprawdopodobne łaski losu.

<sup>32</sup>Nauka Chrystusa była niemal tą samą nauką współczesnych mu filozofów arabskich [...] ciało kapłańskie zupełnie oddzielone od reszty obywateli, a nawet mające sprzeczne z nimi interesy. — patrz Monteskiusz, *Polityka Rzymian w kwestiach religii* [Stendhal ma na myśli *Rozważania nad przyczynami wielkości i upadku Rzymian*; Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>33</sup>absolutna władza złagodzona piosenką — aforyzm Chamforta.

<sup>34</sup>cenzura duchowna kazała usunąć scenę z żebrakiem w lesie — w scenie tej don Juan proponuje żebrakowi dukata, jeśli ten wypowie jakieś przekleństwo. Żebrak nie ulega jednak pokusie i don Juan daje mu w końcu tę jałmużnę „przez miłość ludzkości”.

<sup>35</sup>Aby wzmocnić swoje stanowisko, cenzura ta siliła się wytłumaczyć młodemu królowi, który był rzadkim nieukiem, że słowo *jansenista* jest to synonim *republikanina*. — Saint-Simon, *Pamiętniki księdza Blache*. [przypis autorski]

<sup>36</sup>Tirso de Molina — imię to przyjął mnich, człowiek wielkiego talentu, brat Gabriel Tellez. Należał do zakonu Odkupienia i zostawił wiele sztuk, gdzie znajdują się sceny genialne, między innymi *Nieśmiały na dworze*. Tellez napisał trzysta komedii, z których sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt jeszcze istnieje. Umarł około 1610 r. [Tirso de Molina żył do roku 1648; Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>37</sup>Faublas — bohater powieści Louveta de Covrocy.

We Włoszech zatem, i to jedynie w szesnastym wieku, musiał się zjawić po raz pierwszy ten osobliwy charakter.

We Włoszech w siedemnastym wieku mówiła pewna księżniczka, jedząc z rozkoszą lody w upalny wieczór: „Co za szkoda, że to nie jest grzech!”

To uczucie stanowi, wedle mnie, podstawę charakteru don Juana: jak widzimy, religia chrześcijańska jest dlań nieodzowna.

Pewien neapolitański autor<sup>38</sup> woła: „Czyż to jest nic urągać niebu wierząc, iż w tejże chwili niebo może się obrócić w popiół? Stąd, powiadają, olbrzymią rozkoszą jest mieć kochankę zakonnice, i to zakonnice głęboko pobożną, doskonale świadomą tego, że czyni źle, i błagając Boga o przebaczenie z tą samą żarliwością, z jaką grzeszy.”

Wyobraźmy sobie bardzo zepsutego chrześcijanina, urodzonego w Rzymie w dobie, gdy surowy Pius V przywrócił do czci lub wymyślił na nowo mnóstwo drobiazgowych praktyk, zgola obcych owej prostej moralności, która mieni cnotą jedynie *to, co jest użyteczne ludziom*. Nieubłagana inkwizycja — nieubłagana tak, że jedynie krótko przetrwała we Włoszech i musiała się schronić do Hiszpanii — świeżo porósłszy w siły napawała lękiem wszystkich.<sup>39</sup> Przez kilka lat ścigano bardzo ciężkimi karami zaniedbanie lub publiczną wzdarcę owych drobnych praktyk wyniesionych do rzędu najświętszych obowiązków religii; otóż zepsuty rzymianin, o którym mówimy, wzruszył ramionami, widząc, jak ogół drży przed strasliwym prawem inkwizycji: „Ba — powiedział sobie — jestem najbogatszym człowiekiem w Rzymie, owej stolicy świata; chcę być i największym zuchem; będę sobie publicznie drwił ze wszystkiego, co ci ludzie szanują, a co tak mało ma wspólnego z rzeczami godnymi szacunku.”

Albowiem don Juan, aby być sobą, musi być człowiekiem odważnym oraz posiadać ów bystry i jasny umysł pozwalający swobodnie czytać w pobudkach czynów ludzkich.

Franciszek Cenci musiał sobie powiedzieć: „Jakim wymownym czynem ja, rzymianin, urodzony w Rzymie w roku 1527, właśnie podczas owych sześciu miesięcy, przez które luterzańskie żołdaki konetabla Bourbon<sup>40</sup> dopuszczały się najokropniejszych profanacji rzeczy świętych, jakim odważnym czynem zdołam zadziwić wszystkich i zabawić się przednio, urągając opinii? Jak wprawić w zdumienie głupców, wśród których żyję? Jak znaleźć tę niewysłowioną rozkosz, aby się czuć *innym* od tego pospólstwa?”

W głowie rzymianina, i to rzymianina ze średniowiecza, nie mogło się pomieścić, aby miał poprzestać na słowach. Nie ma kraju, w którym buńczuczne słowa byłyby w większej pogardzie niż we Włoszech.

Człowiek, który mógł sobie to powiedzieć, zwał się Franciszek Cenci: padł zabity w oczach swej córki i swojej żony 15 września 1598 roku. Nic miłego nie zostało nam po tym don Juanie; charakteru jego nie złagodziła i nie *pomniejszyła* myśl o tym, aby być przede wszystkim, jak don Juan Moliera, człowiekiem z dobrego towarzystwa. Jeśli myślał o innych, to jedynie po to, aby *zaznaczyć* swą wyższość nad nimi, posłużyć się nimi dla swoich celów lub nienawidzić ich. Don Juan nie zna rozkoszy czerpanej w sympatii, słodkiej zadumie, w złudzeniach tkliwego serca. Trzeba mu przede wszystkim rozkoszy, które by były triumfem, które by mogły być widoczne drugim i którym by *nie można zaprzeczyć*; trzeba mu owej listy, jaką bezczelny Leporello podsuwa przed oczy smętnej Elwirze.<sup>41</sup>

Rzymski don Juan ustrzegł się tej ciężkiej niezręczności, aby dawać klucz do swego charakteru, aby się zwierzać przed lokajem, jak don Juan Moliera, nie miał w życiu po-

<sup>38</sup>Pewien neapolitański autor — D. Dominico Paglietta [zdaniem M. Martineau owym domniemanym autorem jest Domenico di Fiore, adwokat (*paglietta*) neapolitański, przyjaciel Stendhala; Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>39</sup>Nieubłagana inkwizycja [...] napawała lękiem wszystkich. — Święty Pius V Ghislieri z Piemontu, którego pociągłą i surową twarz można oglądać na grobowcu Sykstusa V w kościele Santa Maria Maggiore, był *wielkim inkwizytorem*, kiedy powołano go na tron świętego Piotra w roku 1566. Rządził Kościołem przez sześć lat i dwadzieścia cztery dni. Zobacz jego listy ogłoszone przez pana de Pottera, jedynego człowieka wśród nas, który zna ten punkt historii. Dzieło pana de Pottera, ogromna kopalnia faktów, jest owocem czterestu lat pracowitych studiów w bibliotekach Florencji, Wenecji i Rzymu. [przypis autorski]

<sup>40</sup>luterzańskie żołdaki konetabla Bourbon dopuszczały się najokropniejszych profanacji — Charles de Bourbon, sojusznik Karola V w wojnie z papieżem Klemensem VII, w maju 1527 r. wszczął samowolnie oblężenie Rzymu, które pociągnęło za sobą złupienie miasta znane jako *Sacco di Roma*.

<sup>41</sup>trzeba mu owej listy, jaką bezczelny Leporello podsuwa przed oczy smętnej Elwirze — w *Don Juanie* Mozarta Leporello śpiewa arię, w której wylicza Elwirze, opuszczonej małżonce, wszystkie miłości swego pana.

wiernika i nie wyrzekł innych słów prócz tych, które były potrzebne *dla ziszczenia jego zamiarów*. Nikt nie zaszedł go w chwili owej szczerzej tkliwości i uroczej pogody, które każą nam tyle wybaczyć don Juanowi Mozarta; krótko mówiąc, portret, który wam ukazę, jest okropny.

Gdyby chodziło o mój wybór, nie byłbym opisywał tego charakteru; poprzestałbym na przestudiowaniu go, gdyż bardziej jest okropny niż ciekawy; ale wyznaję, że prosili mnie o to towarzysze podróży, którym nie mogłem niczego odmówić. W roku 1823 miałem szczęście oglądać Włochy w towarzystwie uroczych osób, których nie zapomnę nigdy; oczarował mnie, wraz z innymi, portret Beatrix Cenci, który można oglądać w Rzymie w pałacu Barberini.

Galeria tego pałacu sprowadza się obecnie do siedmiu czy ośmiu obrazów, ale cztery z nich to arcydzieła: przede wszystkim portret słynnej Fornariny, kochanki Rafaela, pędzla samego Rafaela. Portret ten, co do którego nie może być wątpliwości, istnieją bowiem jego współczesne kopie, jest zupełnie różny od wizerunku, który w galerii florenckiej podają za portret kochanki Rafaela i który pod tym mianem utrwalił swym rylcem Morghen. Florencki portret nie jest nawet Rafaela. Przez cześć dla wielkiego imienia czytelnik przebaczy mi może tę małą dygresję?

Drugi cenny portret w galerii Barberini jest pędzla Gwida; to portret Beatrix Cenci<sup>42</sup>, który widzi się na tyłu lichych rycinach. Wielki malarz osłonił szyję Beatryczy kawałkiem draperii, włożył jej na głowę turban; lękał się snadź posunąć prawdę aż do *okropności*, gdyby wiernie odtworzył strój, jaki sobie kazała sporządzić na dzień egzekucji, oraz stargane włosy biednej szesnastoletniej dziewczyny wydanej na łup rozpaczy. Głowa jej słodka i piękna, łagodne spojrzenie i oczy bardzo duże mają zdziwiony wyraz osoby, którą zaskoczono w chwili, gdy płacze gorącymi łzami. Włosy są jasne i piękne. Nie ma w tej głowie nic z owej dumy rzymskiej ani z tej świadomości własnej siły, jakie często czytamy w nieustraszoną spojrzeniu jakiejś *córy Tybru, di una figlia del Tevere*, jak one same o sobie mówią z dumą. Nieszczęściem półcienie tego portretu zrudziały w czasie owych długich dwustu trzydziestu ośmiu lat dzielących nas od katastrofy, którą chcemy opowiedzieć.

Trzeci portret w galerii Barberini to Lukrecja Petroni, macocha Beatryczy, stracona wraz z nią. Typ matrony rzymskiej o wrodzonej piękności i dumie.<sup>43</sup> Wydatne rysy, olśniewającej białości płeć<sup>44</sup>, brwi czarne i silnie zaznaczone, spojrzenie władcze, a przepojone rozkoszą. Wspaniały kontrast z łagodną, prostą, prawie niemiecką fizjonomią piasierbicy.

Czwarty portret, błyszczący prawdą i blaskiem kolorów, to jedno z arcydzieł Tycjana: owa niewolnica grecka, która była kochanką słynnego doży Barbarigo.

Prawie każdy cudzoziemiec przybyły do Rzymu każe się prowadzić zaraz do galerii Barberini; ciągną ich — kobiety zwłaszcza — portrety Beatrix Cenci i jej macochy. Podzieliłem tę powszechną ciekawość; jak wszyscy, starałem się uzyskać dostęp do aktów słynnego procesu. Jeśli zdołacie to osiągnąć, będziecie, sądzę, zdumieni, czytając te akta, gdzie wszystko jest po łacinie z wyjątkiem odpowiedzi oskarżonych, nie znajdując prawie wcale *faktów*. To stąd, że w Rzymie w 1599 fakty te nie były nikomu obce. Pozwolono mi skopiować współczesną opowieść; sądziłem, że mogę dać jej przekład, nie obrażając niczyjej obyczajności; przynajmniej przekład ten można było głośno odczytać przy damach w 1823. Rozumie się, że tłumacz przestaje być wierny tam, gdzie nie może nim być: zgroza łatwo zdławiłaby zainteresowanie.

Smutna rola don Juana (tego, który nie stara się dostosować do idealnego wzoru i który pamięta o opinii świata jedynie po to, aby ją znieważać) przedstawiona jest tutaj w całej okropności. Wyuzdanie jego zbrodni zmusiło dwie nieszczęśliwe kobiety do tego, że go kazały zabić w swoich oczach; z tych dwóch kobiet jedna była jego żoną, druga córką — czytelnik nie będzie śmiał rozstrzygnąć, czy były winne. Współcześni uważali, że nie zasługują na śmierć.

<sup>42</sup>portret Beatrix Cenci — w czasach Stendhala niesłusznie uważano ten obraz Guida Reni (1575–1642) za portret Beatrix Cenci, przedstawia on bowiem Sybillę z Samos.

<sup>43</sup>Typ matrony rzymskiej o wrodzonej piękności i dumie. — duma ta nie pochodzi wcale z *pozycji* towarzyskiej, jak na portretach van Dycka. [przypis autorski]

<sup>44</sup>płeć (tu daw.) — cera, karnacja.

Jestem przekonany, że tragedia Galeota Manfredi (który zginął z ręki swojej żony — temat ujęty przez wielkiego poetę Montiego) i tyle innych domowych tragedii piętnastego wieku, mniej znanych i ledwie wspomnianych w poszczególnych kronikach włoskich miast, kończyły się sceną podobną do sceny w zamku Petrella. Oto przekład współczesnego opowiadania; spisano je w rzymskiej włoszczyźnie dnia 14 września 1599 roku.

PRAWDZIWA HISTORIA ŚMIERCI JAKUBA I BEATRYCZY CENCI ORAZ LUKRECJI PETRONI CENCI, ICH MACOCHY, STRACONYCH ZA ZBRODNIĘ OJCOBÓJSTWA OSTATNIEJ SOBOTY DNIA II WRZEŚNIA ROKU 1599 ZA PANOWANIA JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI PAPIEŻA KLEMENSA VII ALDOBRANDINI

Ohydne życie, jakie wiódł Franciszek Cenci, urodzony w Rzymie, jeden z najzamożniejszych naszych obywateli, doprowadziło go w końcu do zguby. Spowodował on przedwczesną śmierć swoich synów, krzepkich i dzielnych młodzieńców, oraz córki Beatryczy, która mimo że ją zawiedziono na stracenie ledwie przed czterema dniami, w szesnastym roku życia, uchodziła za jedną z najpiękniejszych istot w państwie papieskim i w całej Italii. Krąży pogłoska, że imć Gwido Reni, jeden z wychowanków wspaniałej szkoły bolońskiej, postarał się zrobić portret biednej Beatryczy w ubiegły piątek, w wilię jej stracenia. Jeśli ów wielki malarz wywiązał się z tego zadania tak, jak to uczynił w innych obrazach wykonanych w naszej stolicy, potomność będzie mogła sobie wytworzyć jakieś pojęcie o piękności tej cudnej dziewczyny. Izby mogła zachować również wspomnienie jej bezprzykładnych niedoli oraz zdumiewającej siły, z jaką ta dusza, naprawdę rzymska, umiała stawić im czoło, postanowiłem spisać to, czegom się dowiedział o czynie, który ją zawiódł na śmierć, oraz to, com widział w dniu jej chlubnej tragedii.

Osoby, które mi udzieliły informacji, mogły z racji swego stanowiska znać najtajniejsze okoliczności, nie znane w Rzymie nawet dziś, mimo że od sześciu tygodni nikt nie mówi o niczym innym jak tylko o procesie Cencich. Będę pisać dość swobodnie, w przeświadczeniu, iż mogę złożyć swój *komentarz* w czcigodnym archiwum, skąd z pewnością nie wydobędą go, aż po mojej śmierci. Jedyną mą zgryzotą jest, iż muszę — ale tak każe prawda — zaprzeczyć niewinności tej biednej Beatrix Cenci, uwielbianej i szanowanej przez wszystkich, którzy ją znali, tak jak jej ohydny ojciec był znieawidzony i przeklinany.

Człowiek ten, który, nie można zaprzeczyć, otrzymał od nieba zdumiewający rozum i oryginalność, był synem monsignora Cenci, który za Piusa V (Ghislieri) wzniósł się na stanowisko *podskarbiego* (ministra finansów). Ten święty papież, całkowicie, jak wiadomo, pochłonięty słuszną nienawiścią do herezji oraz odbudowywaniem swej wspaniałej inkwizycji, żywił jedynie wzdarcie dla świeckiego zarządu swego państwa, tak iż monsignor Cenci, pełniący urząd podskarbiego przez kilka lat przed rokiem 1572, zdołał zostawić temu okropnemu człowiekowi, który był jego synem a ojcem Beatryczy, czysty dochód stu sześćdziesięciu tysięcy piastrów (około dwóch milionów pięćset tysięcy franków w 1837).

Franciszek Cenci prócz tego wielkiego majątku miał sławę odwagi i roztropności taką, jakiej za jego młodości nie zdołał osiągnąć nikt inny w Rzymie; a sława ta dawała mu tym więcej wpływu na dworze papieskim i wśród całego ludu, ile że zbrodnie, o które zaczynano go obwiniać, były z rodzaju, które świat łatwo przebacza. Wielu rzymian przypominało sobie jeszcze z żalem swobodę myślenia i działania, jakiej kosztowano za Leona X, którego nam śmierć wydarła w roku 1513<sup>45</sup>, i za Pawła III, zmarłego w 1549. Już za tego papieża zaczęto mówić o młodym Franciszku Cenci z przyczyny jego szczególnych miłostek, uwieńczonych pomyślnym skutkiem dzięki jeszcze szczególniejszym środkom.

Za Pawła III, w epoce gdy jeszcze można było mówić z niejakim bezpieczeństwem, wielu twierdziło, że Franciszek Cenci jest zwłaszcza chciwy niezwykłych wydarzeń, które by mogły mu dać *peripezie di nuova idea*, nowe i niepokojące wrażenia; ci opierali się na tym, iż w jego księgach rachunkowych znalaziono takie oto punkty:

„Za przygody i *peripezie* w Toskanelli — trzy tysiące pięćset piastrów (około sześćdziesięciu tysięcy franków z roku 1837), *e non fu caro* (i to nie było za drogo).”

<sup>45</sup>Leona X, którego nam śmierć wydarła w roku 1513 — mylna data, Leon X został wtedy dopiero obrany papieżem. Umarł w 1521 r.

Nie jest może wiadomo w innych miastach włoskich, że nasze losy i nasz sposób życia w Rzymie zmieniają się wedle charakteru panującego papieża. Tak więc przez trzynaście lat pod dobrym papieżem Grzegorzem XIII (Buoncompagni) wszystko było w Rzymie wolno; kto chciał, kazał zasztyletować swego wroga i byle się zachowywał przyzwoicie, nie był ścigany. Po tym nadmiarze pobażania nastąpił nadmiar srogości przez pięć lat, kiedy panował wielki Sykstus V. Powiadano o nim jak o cesarzu Auguście, iż albo nie powinien był przyjść nigdy, albo powinien był zostać na zawsze. Wówczas Rzym oglądał stracenie nieszczęśliwych za morderstwa lub otrucia zapomniane od dziesiątka lat, z których mieli nieszczęście wypowiadać się przed kardynałem Montalto, później Sykstusem V.

O Franciszku Cenci zaczęło być głośno głównie za Grzegorza XIII; pojął żonę bardzo bogatą i pod każdym względem odpowiadającą tak możnemu panu; umarła, dawszy mu siedmioro dzieci. Wkrótce po jej śmierci zaślubił powtórnie Lukrecję Petroni, osobę rzadkiej urody, słynną zwłaszcza z olśniewającej białości cery, ale nieco zbyt pełną, jak to jest powszechną wadą rzymianek. Z Lukrecją nie miał dzieci.

Najmniejszą przywarą, o jaką można było winić Franciszka Cenci, była skłonność do haniebnych miłości; największą ta, że nie wierzył w Boga. W życiu nie ujrzał go nikt wchodzącego do kościoła.

Wtrącony trzy razy do więzienia za swoje haniebne miłości, ocalał się, dając dwieście tysięcy piastrów osobom będącym w łasce papieżów, pod którymi kolejno żył. (Dwieście tysięcy piastrów równa się mniej więcej pięciu milionom w 1837.)

Widziałem Franciszka Cenci dopiero wówczas, gdy mu już włosy siwiały, pod papieżem Buoncompagni, kiedy śmiałkom wszystko było dozwolone. Był to człowiek mający jakieś pięć stóp i cztery cale wzrostu, zręcznej postawy, mimo iż był chudy; uchodził za wielkiego osiłka, może sam rozpuszczał te pogłoski; oczy miał duże i wyraziste, ale z powieką zanadto obwisłą; nos wydatny i duży, wargi cienkie, uśmiech pełen wdzięku. Uśmiech ten stawał się straszny, kiedy Cenci wlepił spojrzenie w któregoś ze swoich wrogów; skoro był bodaj trochę wzruszony i podrażniony, drżał na całym ciele tak, że niepodobna było mu tego opanować. Widziałem go za młodu, pod papieżem Buoncompagni, jak puszczał się konno z Rzymu do Neapolu, zapewne dla jakiejś miłości; jechał przez lasy San Germano i Fajola, nie troszcząc się o bandytów, i odbywał podobno tę drogę w dwadzieścia godzin. Podróżował zawsze sam, nie uprzedzając nikogo; kiedy jeden koń był zdrożony, kupował albo kradł innego. Skoro robiono mu jakieś ceremonie, on nie robił sobie ceremonii z tym, aby pchnąć kogo sztyletem. Ale po prawdzie, za mej młodości, to znaczy, kiedy on miał czterdzieści osiem albo pięćdziesiąt lat, nikt nie był na tyle śmiały, aby mu się przeciwzić. Wielką jego przyjemnością było zwłaszcza urągać nieprzyjaciółom.

Znano go dobrze na wszystkich gościńcach w stanach Jego Świątobliwości; płacił hojnie, ale też był zdolny w dwa lub trzy miesiące po doznanych uchybieniach wysłać zbirów i zgładzić tego, kto go obraził.

Jedynym cnotliwym czynem, jakiego dokonał przez całe długie życie, było to, że zbudował w dziedzińcu swego rozległego pałacu, w pobliżu Tybru, kościół poświęcony św. Tomaszowi; a i to jeszcze pobudką tego pięknego czynu była osobliwa chęć, aby mieć pod okiem groby wszystkich swoich dzieci<sup>46</sup>, do których żywił bezmierną i wynaturzoną nienawiść, zgoła od ich najwcześniejszej młodości, kiedy nie mogły go jeszcze niczym obrazić.

„Tam chcę je mieć wszystkie” — mawiał często z gorzkim uśmiechem do robotników, których zatrudniał przy budowie kościoła. Trzech starszych, Jakuba, Krzysztofa i Rocha, posłał na naukę do uniwersytetu w Salamance w Hiszpanii. Skoro się raz znaleźli w tych odległych stronach, znajdował złośliwą przyjemność w tym, aby im nie posyłać wcale pieniędzy, tak iż nieszczęśliwi młodzieńcy, napisawszy do ojca mnóstwo listów, które pozostały bez odpowiedzi, zmuszeni byli nędznie wracać do ojczyzny, pożyczając drobne sumy lub żebrząc przez całą drogę.

W Rzymie zastali ojca sroższym jeszcze, surowszym i drapieżniejszym niż kiedykolwiek; mimo swych ogromnych bogactw nie chciał ich ani odziać, ani dawać im pieniędzy

<sup>46</sup>zbudował [...] kościół poświęcony św. Tomaszowi; [...] pobudką tego pięknego czynu była osobliwa chęć, aby mieć pod okiem groby wszystkich swoich dzieci — w Rzymie grzebią zmarłych pod kościołami. [przypis autorski]

Władza, Sprawiedliwość,  
Spowiedź

Grzech, Pobożność

Ojciec

na najprostsze życie. Nieszczęśliwi musieli odwołać się do papieża, który zniewolił Franciszka Cenci, aby im wyznaczył małą pensyjkę. Z tą szczupłą pomocą opuścili dom.

Niebawem z okazji swoich bezecnych miłostek Franciszek dostał się do więzienia trzeci i ostatni raz; na co trzej bracia wyprosili posłuchanie u Ojca Świętego, obecnie władającego nam papieża, i prosili go wspólnie, aby uśmiercił Franciszka Cenci, ich ojca, który, powiadali, okryje hańbą ich dom. Klemens VIII miał wielką ochotę to uczynić, ale pozostawił swej pierwotnej myśli, aby nie dać zadowolenia wyrodnym dzieciom, i wygnął je haniebnie przed swego oblicza.

Ojciec, jak wspomnieliśmy wyżej, wydostał się z więzienia, dając znaczną sumę komuś, kto mógł mu być pomocny. Można pojąć, że osobliwy krok trzech najstarszych synów musiał pomnożyć jeszcze nienawiść jego do dzieci. Przeklinał je bez ustanku, duże i małe, i codziennie okładał kijem dwie biedne córki, które mieszkały z nim w pałacu.

Najstarsza, mimo iż pilnie strzeżona, póty dokładała starań, aż zdołała przedłożyć papieżowi suplikę, zaklinając Jego Świątobliwość, aby ją wydał za mąż lub pomieścił w klasztorze. Klemens VIII ulitował się jej niedoli i wydał ją za Karola Gabrielli, z najszlachetniejszego domu w Gubbio; Jego Świątobliwość zmusił ojca do wypłacenia znacznego posagu.

Na ten niespodziany cios Franciszek Cenci wpadł w straszny gniew. W obawie, aby Beatrycja, podrosłszy trochę, nie zdobyła się na podobny pomysł, zamknął ją w jednym z apartamentów olbrzymiego pałacu. Tam nikomu nie wolno było oglądać Beatrycji, liczącej wówczas ledwie czternaście lat, a już będącej w pełni swej cudnej piękności. Posiadała zwłaszcza wesołość, niewinność i humor, jakiego nigdy u nikogo nie spotkałem. Franciszek Cenci sam nosił jej pożywienie. Można przypuszczać, że wówczas to potwór zakochał się w niej lub udawał zakochanego, aby dręczyć swą nieszczęsną córkę. Często wspominał jej o przewrotnej sztuczce, jaką mu wypłatała jej starsza siostra, i doprowadzając się do furii dźwiękiem własnych słów, okładał w końcu razami biedną Beatrycję.

Wśród tego Roch Cenci, jego syn, zginął z ręki jakiegoś rzeźnika, a następnego roku zabił Krzysztofa Cenci Paweł Corso z Massy. Przy tej sposobności ojciec okazał całą swą bezbożność, na pogrzebie bowiem obu synów nie chciał dać ani bajoka na świecę. Dowiadując się o losie syna swego Krzysztofa, wykrzyknął, że dopiero wówczas będzie rad, kiedy wszystkie jego dzieci znajdą się w ziemi, i że skoro ostatnie umrze, on na znak radości podpali swój pałac. Rzym zdumiewał się takimi słowami, ale wszystko zdało się możliwe ze strony człowieka, który swą chlubę pokładał w tym, aby uragać całemu światu, nawet samemu papieżowi.

(Tutaj staje się zupełnym niepodobieństwem podążyc za rzymskim kronikarzem w bardzo zawikłanym opowiadaniu osobliwych rzeczy, jakimi Franciszek Cenci starał się zadziwić współczesnych. Żona jego i jego nieszczęśliwa córka stały się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ofiarami tych ohydnych kaprysów.)

Wszystko to nie wystarczało mu, groźbami i siłą próbował zgwałcić córkę Beatrycję, która była już duża i ładna; nie wstydził się kłaść w jej łóżku zupełnie nagi. Przechadzał się z nią po salonach, będąc zupełnie obnażony; po czym wiodł ją do łóżka żony, iżby przy blasku lampy biedna Lukrecja mogła widzieć, co on robi z Beatrycją.

Wmawiał w biedną dziewczynę okropną herezję, którą ledwie śmiem przytoczyć, mianowicie, że jeśli ojciec ma sprawę z własną córką, dzieci, które stąd się urodzą, są niezawodnie święte, i że wszyscy najwięksi święci czczeni przez Kościół urodzili się w ten sposób, to znaczy, że ich macierzysty dziadek był ich ojcem.

Kiedy Beatrix opierała się jego ohydnych chuciom, bił ją tak dotkliwie, iż biedna dziewczyna, nie mogąc znieść tego okropnego życia, zapragnęła pójść w ślady starszej siostry. Przesłała naszemu świątobliwemu papieżowi szczegółową suplikę; ale należy przypuścić, że Franciszek Cenci ubezpieczył się w tej mierze, nie zdaje się bowiem, aby ta suplika doszła kiedy rąk Jego Świątobliwości; przynajmniej niepodobna jej było odnaleźć w Kancelarii Memorialów, kiedy po uwięzieniu Beatrycji obrońca jej bardzo potrzebował tego dokumentu; byłby on poniekąd dowodem wybryków, jakich widownią był zamek w Petrella. Czyż nie byłoby dla wszystkich jasne, że Beatrix Cenci znalazła się w położeniu godziwej obrony? Memorial ten przemawiał również w imieniu Lukrecji, macochy Beatrycji.

Ojciec, Okrucieństwo

Franciszek Cenci dowiedział się o tych staraniach; można się domyślać, z jaką wściekłością podwoił prześladowania obu nieszczęśliwych kobiet.

Życie ich stało się nie do zniesienia; wówczas to, widząc jasno, że niczego nie mogą się spodziewać po sprawiedliwości panującego, którego dworaków Franciszek zjednał sobie podarkami, postanowiły chwycić się ostatecznego środka, który je zgubił, ale który miał tę korzyść, iż zakończył ich cierpienia na tym świecie.

Trzeba wiedzieć, że sławny monsignor Guerra często bywał w pałacu Cencich; był to człowiek wysokiego wzrostu i w ogóle piękny mężczyzna; otrzymał od losu ten osobny dar, że ze wszystkiego, do czego zechciał się przyłożyć, wywiązywał się ze szczególnym wdziękiem. Przypuszczano, że kochał Beatrycę i że miał zamiar zrzucić *mantelletta*<sup>47</sup> i ożenić się z nią<sup>48</sup>, ale mimo że starał się z wielką bacnością kryć swoje uczucia, ściągnął na siebie nienawiść Franciszka Cenci, który wyrzucał mu bliską zażyłość ze wszystkimi jego dziećmi. Ilekroć monsignor Guerra się dowiedział, że signora Cenci nie ma w pałacu, udawał się do apartamentu pań i spędzał tam po kilka godzin, gawędząc z nimi i słuchając ich skarg na niewiarygodne obchodzenie, jakiego obie były pastwą. Zdaje się, że pierwsza Beatrix odważyła się wspomnieć monsignorowi Guerra o planie, jaki powzięły. Z czasem monsignor zgodził się przyłożyć do tego rękę; nagłony niejednokrotnie przez Beatrycę, umyślił wreszcie powiadomić o tym osobliwym zamiarze Jakuba Cenci, bez którego zgody nic nie można było rozpocząć, ile że był najstarszym bratem i głową domu po Franciszku.

Jakub przystał do spisku nadzwyczaj łatwo; ojciec obchodził się z nim okropnie, nie dawał mu żadnego zasiłku, co było dla Jakuba tym dotkliwsze, iż miał żonę i sześcioro dzieci. Na miejsce narady i omówienia szczegółów śmierci Franciszka wybrano mieszkanie monsignora Guerra. Sprawę roztrząsnięto najstaranniej, we wszystkich szczegółach przyjmując zdanie Lukrecji i Beatrycy. Kiedy wreszcie rzecz była postanowiona, wybrano dwóch wasalów Franciszka Cenci, którzy żywili doń śmiertelną nienawiść. Jeden nazywał się Marzio; był to dzielny człowiek, bardzo przywiązany do dzieci Franciszka; aby uczynić coś, co by im było miłe, zgodził się wziąć udział w ojcobójstwie. Drugiego, Olimpia, księżę Colonna mianował był kasztelanem fortecy Petrella, w Królestwie Neapolu; ale mocą swego wpływu u księcia Franciszek Cenci wypędził go stamtąd.

Umówiono wszystko z tymi dwoma. Ponieważ Franciszek Cenci oznajmił, iż aby uniknąć rzymskich wyziewów, spędzi najbliższe lato w tej właśnie warowni w Petrella, umyślono zgromadzić tam tuzin neapolitańskich zbirów. Olimpio podjął się ich dostarczyć. Postanowiono, że ukryje się ich w lasach niedaleko Petrella i uprzedzi o chwili, w której Franciszek Cenci puści się w drogę: porwą go z gościńca i każą oznajmić rodzinie, iż gotowi są go uwolnić w zamian za znaczny okup. Dzieci wrócą wówczas do Rzymu, aby zgromadzić sumę żadaną przez rozbójników; muszą udać, że nie mogły zebrać jej dość szybko, a zbóje w myśl swej groźby, nie otrzymawszy pieniędzy, uśmiercą Franciszka. W ten sposób nikomu nie przyjdzie na myśl podejrzewać istotnych sprawców.

Ale skoro nadeszło lato i Franciszek Cenci wyjechał z Rzymu do Petrella, szpieg, który miał uprzedzić o wyjeździe, ostrzegł zbyt późno zbirów zaczajonych w lesie, tak iż nie zdążyli wypaść na gościńiec. Cenci przybył do Petrella bez szkody, zbóje zaś, zmęczeni oczekiwaniem wątpliwego łupu, udali się gdzie indziej kraść na własny rachunek.

Tymczasem Cenci, starzec roztopny i podejrzliwy, nie wychylał się nigdy z fortecy. Że zaś zły humor jego wzrastał z dolegliwościami wieku, które mu były nie do zniesienia, podwoił jeszcze okrucieństwo, z jakim dręczył dwie biedne kobiety. Twierdził, że one cieszą się z jego niemocy.

Beatrix, doprowadzona do ostateczności ohydami, które musiała znosić, kazała wezwać pod mury fortecy Marzia i Olimpia. W nocy, gdy ojciec spał, rozmówiła się z nimi przez okienko w murze i rzuciła im listy przeznaczone dla monsignora Guerra. W listach tych ułożono, że monsignor Guerra przyrzeknie Marziowi i Olimpiowi tysiąc piastrów, jeśli się zgodzą sami zgładzić Franciszka Cenci. Trzecią część sumy miał wypłacić w Rzymie, przed spełnieniem czynu, monsignor Guerra, pozostałe dwie trzecie Lukrecja i Beatrix, skoro po dokonaniu sprawy o władną szkatułką Franciszka.

<sup>47</sup>*mantelletta* — rodzaj krótkiego płaszcza noszonego przez biskupów.

<sup>48</sup>Przypuszczano, że kochał Beatrycę i że miał zamiar zrzucić *mantelletta* i ożenić się z nią — większość monsignorów nie miała święceń i mogła się żenić. [przypis autorski]



Umówiono również, że rzecz spełni się w dzień Narodzenia Najświętszej Panny, i w tym celu obu ludzi wprowadzono z ręcznie do fortecy. Ale cześć należna świętu Matki Boskiej powstrzymała Lukrecję, która nakłoniła Beatrix do odłożenia daty, aby nie popełniać podwójnego grzechu.

Jakoż 9 września roku 1598 wieczorem matka i córka podały bardzo z ręcznie opium Franciszkowi Cenci, owemu człowiekowi tak trudnemu do oszukania; zapadł on w głęboki sen.

Około północy Beatrix wpuściła sama do fortecy Marzia i Olimpia; następnie Lukrecja i Beatrix wprowadziły ich do pokoju starca, który spał głęboko. Tam zostawiły ich, aby spełnili to, co było umówione, same zaś udały się tymczasem do sąsiedniej komnaty. Naraz ujrzały morderców wchodzących do pokoju, białych, jakby nieprzytomnych.

— Co się stało? — wykrzyknęły kobiety.

— To hańba i wstyd — odparli — zabijać biednego uszniętego starca! Litość nie pozwala nam tego uczynić.

Słyszając tę wymówkę Beatrix porwała się oburzona i zaczęła ich lżyć mówiąc:

— Jak to! Wy, mężczyźni, dobrze przygotowani do tego czynu, nie macie odwagi zabić człowieka, który śpi!<sup>49</sup> Tym bardziej nie śmielibyście mu spojrzeć w twarz, gdyby czuwał! I na to, aby tak skończyć, wzięliście pieniądze? Więc dobrze! skoro wasze tchórzostwo tego żąda, ja sama zabiję ojca, ale i wy nie pożyczycie długo!

Zagrzeni tymi płomiennymi słowy i lękając się jakowegoś uszczerbku w zapłacie, mordercy wrócili śmiało do komnaty, kobiety zaś udały się za nimi. Jeden z nich miał wielki gwóźdź, który postawił pionowo na oku śpiącego starca; drugi, trzymający miot, wbił mu ten gwóźdź w głowę. Tak samo wbito drugi gwóźdź w gardło, tak iż tę biedną duszę, obciążoną tyloma śmiertelnymi grzechami, pochwyciły diabły; ciało miotało się, ale nadaremnie.

Skoro się z tym załatwiono, młoda dziewczyna dała Olimpiowi dużą sakiewkę pełną złota; Marziowi dała sukieny płaszcz osztyty złotym galonem, będący własnością ojca; po czym odprawiła ich.

Zostawszy same, kobiety wyciągnęły najpierw wielki gwóźdź wbity w głowę trupa i drugi, który tkwił w szyi; następnie, zawinawszy ciało w prześcieradło, powlekły je przez szereg pokojów aż na galerię, która wychodziła na zapuszczony ogródek. Stamtąd rzuciły ciało na wielki krzak bzu, rosnący w tym miejscu. Ponieważ na końcu galerii znajdował się ustęp, miały nadzieję, iż ci, którzy nazajutrz znajdą ciało starca w gałęziach bzu, pomyślą, że mu się noga powinęła i że spadł, idąc na wychód.

Wszystko zdarzyło się, jak przewidziały. Rano, skoro znaleziono trupa, wszczął się w fortecy zgłęb; i one nie omieszkały uderzyć w krzyk i oplakiwać nieszczęsną śmierć ojca i małżonka. Ale młoda Beatrix posiadała odwagę obrażonej skromności, nie zaś roztropność nieodzowną w życiu; zaraz rano oddała praczce pałacowej prześcieradło splamione krwią, powiadając, aby się nie dziwiła tej obfitej posoce, gdyż to ona miała silny upływ krwi przez całą noc. Na razie tedy wszystko odbyło się dobrze.

Pogrzebano uczciwie Franciszka Cenci i obie kobiety wróciły do Rzymu, aby się cieszyć spokojem, którego od tak dawna i nadaremnie pragnęły. Sądziły, że kupiły sobie trwałe szczęście, ponieważ nie wiedziały, co się dzieje w Neapolu.

Sprawiedliwość boża, która nie chciała, aby tak okrutne ojacobójstwo zostało bez kary, zrzędziła, iż skoro tylko się dowiedziano, co zaszło w Petrella, najwyższy sędzia powziął wątpliwość i posłał komisarza królewskiego dla zbadania ciała i uwięzienia podejrzanych osób.

Komisarz królewski kazał uwięzić wszystkich mieszkańców fortecy. Zawieziono więźniów do Neapolu w kajdanach; nic w zeznaniach ich nie wydało się podejrzanego, prócz oświadczenia praczki, która wyznała, iż otrzymała od Beatrix zakrwawione prześcieradło. Spytano jej, czy Beatrix próbowała wytłumaczyć te wielkie plamy krwi; odpowiedziała, że Beatrix mówiła o naturalnej dolegliwości. Spytano jej, czy tak wielkie plamy mogły pochodzić z owej dolegliwości; odpowiedziała, że nie i że plamy na prześcieradle miały czerwień nazbyt żywą.

<sup>49</sup> Beatrix porwała się oburzona i zaczęła ich lżyć mówiąc: „Jak to! Wy, mężczyźni, dobrze przygotowani do tego czynu, nie macie odwagi zabić człowieka, który śpi!” — wszystkie te szczegóły zostały udowodnione na procesie. [przypis autorski]

Morderstwo

Krew

Przesłano natychmiast te poszlaki trybunałowi w Rzymie; mimo to upłynęło wiele miesięcy, zanim ktoś u nas pomyślał o uwięzieniu dzieci Franciszka. Lukrecja, Beatrix i Jakub mogli byli tysiąc razy uciec, czy to udając się do Florencji pod pozorem jakiej pielgrzymki, czy wsiadając na statek w Civitavecchia; ale Bóg odmówił im tego zbawczego natchnienia.

Monsignor Guerra dowiedziawszy się o tym, co się dzieje w Neapolu, wysłał natychmiast ludzi, którym polecił zabić Marzia i Olimpia; ale jedynie Olimpia zdołano zabić w Terni. Policja neapolitańska uwięziła Marzia, zaprowadzono go do Neapolu, gdzie wyznał wszystko.

Straszliwe to zeznanie przesłano natychmiast trybunałowi w Rzymie, który zdecydował się wreszcie ująć i odprowadzić do więzienia Corte Savella Jakuba i Bernarda Cenci, jedynych żyjących jeszcze synów Franciszka, oraz wdowę po nim, Lukrecję. Beatrycę zostawiono w pałacu pod silną strażą. Przewieziono Marzia z Neapolu i również pomieszczono go w więzieniu Savella; tam stawiono go do oczu dwom kobietom, które przeczyły wszystkiemu niezłomie; zwłaszcza Beatrix nie chciała za nic uznać płaszcza z galonem, który dała Marziowi. Zbójca ten, naraz zdjęty uwielbieniem dla cudnej piękności i zdumiewającej wymowy młodej dziewczyny, zaprzeczył wszystkiemu, co wyznał w Neapolu. Wzięto go na tortury, nie wyznał nic i wołał umrzeć w męczarniach; sprawiedliwy hołd oddany piękności Beatryczy!

Po śmierci zbrodniarza wobec tego, że *corpus delicti* nie zostało stwierdzone, sędziowie nie uznali, aby była dostateczna przyczyna wydania na tortury dwóch synów Franciszka Cenci lub też obu kobiet. Zawieziono wszystkich czworo do Zamku św. Anioła, gdzie spędzili kilka miesięcy zupełnie spokojnie.

Wszystko zdawało się skończone i nikt nie wątpił już w Rzymie, że ta młoda dziewczyna, tak piękna, tak dzielna i budząca tyle sympatii, znajdzie się niebawem na swobodzie, kiedy nieszcześnie policja przytrzymała zbója, który w Terni zabił Olimpia; przywieziony do Rzymu, człowiek ten wyznał wszystko.

Monsignora Guerra, tak mocno podanego w podejrzenie zeznaniami zbója, wezwano przed sąd bez najmniejszej zwłoki; więzienie było pewne, a śmierć prawdopodobna. Ale ten wspaniały człowiek, któremu los dał umiejętność robienia dobrze wszystkiego, zdołał się ocalić w sposób graniczący z cudem. Uchodził za najpiękniejszego mężczyznę na dworze papieża i nadto był znany w Rzymie, aby mógł żywić nadzieję ucieczki; zresztą drzwi były silnie strzeżone i prawdopodobnie w chwili doręczenia rozkazu dom jego był pod dozorem. Trzeba wiedzieć, że monsignor był bardzo wysoki, miał wybornie białą cerę, piękną blond brodę i cudne włosy tej samej maści.

Z niewiarygodną szybkością przekupił węglarza, wziął jego suknie, kazał sobie ogolić głowę i brodę, umalował sobie twarz, kupił dwa osły i zaczął obchodzić ulice Rzymu i sprzedawać węgiel, kuśtykając. Cudownie przybrał minę ciemnego i gburę, wykrzykiwał wszędzie swój węgiel z gębą pełną cebuli i chleba, gdy setki zbirów szukały go nie tylko w Rzymie, ale po wszystkich gościach. Wreszcie kiedy się już oswoili z jego twarzą, odważył się opuścić Rzym, wciąż pędząc przed sobą dwa osły objuczone węglem. Spotkał kilka oddziałów zbirów, którym nie postąpiło w głowie przytrzymać go. Od tego czasu był od niego tylko jeden list; matka posłała mu pieniądze do Marsylii. Przypuszczają, że wojuje we Francji jako żołnierz.

Wyznanie mordercy z Terni i ta ucieczka monsignora Guerra, która zrobiła w Rzymie nieopisane wrażenie, tak bardzo wznowiła podejrzenia, a nawet poszlaki przeciw Cencim, że wyrwano ich z Zamku św. Anioła i sprowadzono z powrotem do więzienia Savella.

Dwaj bracia, wzięci na tortury, dalecy byli od przykładu wielkodusznego zbójcy Marzia i tchórzliwie wyznali wszystko. Signora Lukrecja Petroni tak była przyzwyczajona do wygody i miękkiego zbytku, a poza tym była tak gruba w talii, że nie mogła znieść tortury sznura, wyznała wszystko, co wiedziała.

Zgoła inaczej z Beatrix Cenci, dziewczyną pełną życia i odwagi. Namowy ani groźby sędziego Moscati nie wskórały nic. Zniosła torturę sznura bez najmniejszego wzruszenia, z doskonałym męstwem. Za nic sędzia nie zdołał z niej wydobyć odpowiedzi, która by ją naraziła w najlżejszym sposobie; co więcej, dzięki swej bystrości zagnała w kozę róg słynnego Ullissesa Moscati, sędziego, któremu powierzono jej śledztwo. Tak był zdumiony

zachowaniem się dziewczyny, iż uważał sobie za powinność zdać ze wszystkiego sprawę Jego Świątobliwości papieżowi Klemensowi VIII, szczęśliwie panującemu.

Jego Świątobliwość papież zechciał przejrzeć akty procesu i zbadać go. Lękał się, iż Ulisses Moscatti, tak głośny swą głęboką wiedzą i niepospolitą bystrością umysłu, dał się ująć piękności Beatryczy i oszczędza ją w śledztwie. Wynikło stąd, iż Jego Świątobliwość odjął mu proces i powierzył go innemu, surowszemu sędziemu. W istocie barbarzyńca ten miał tę odwagę, iż udręczył bez litości owo tak piękne ciało *ad torturam capillorum* (to znaczy, iż wzięto Beatrix Cenci na tortury, wieszając ją za włosy).<sup>50</sup>

Gdy tak wisała u sznura, ów nowy sędzia postawił Beatryczy do oczu macochę i braci. Skoro tylko Jakub i signora Lukrecja ujrzeli ją, wykrzyknęli:

— Zgrzeszyliśmy, trzeba teraz uczynić pokutę i nie wydawać ciała na mękę dla daremnego uporu.

— Chcecie tedy okryć hańbą swój dom — odparła dziewczyna — i umrzeć w nieśławie? Żle czynicie, ale skoro taka wasza wola, niech i tak będzie.

Obróciła się ku zbirom.

— Odwiążcie mnie — rzekła — niech mi odczytają zeznania matki; potwierdzą to, co należy potwierdzić, a zaprzeczę temu, czemu należy zaprzeczyć.

Tak się stało: wyznała wszystko, co było prawdą.<sup>51</sup> Natychmiast zdjęto łańcuchy wszystkim; że zaś minęło pięć miesięcy, jak nie widziała braci, zechciała zjeść obiad z nimi i wszyscy czworo spędzili dzień bardzo wesoło.

Ale następnego dnia rozdzielono ich na nowo; braci zawieziono do więzienia w Tor-dinona, a kobiety zostały w Savella. Nasz Święty Ojciec, ujrawszy autentyczny akt zawierający zeznania wszystkich, nakazał, aby bezzwłocznie przywiązano ich do ogonów nieokielzanych koni i tak wydano na śmierć.

Cały Rzym zadrżał, słysząc ten surowy wyrok. Mnogość kardynałów i książąt przysłała paść na kolana przed papieżem, błagając go, aby pozwolił nieszczęśnikom przedstawić swoją obronę.

— A oni czy zostawili czas na przedstawienie obrony swemu staremu ojcu? — rzekł papież oburzony.

Wreszcie przez osobliwą łaskę zgodził się udzielić zwłoki dwudziestopięciodniowej. Natychmiast najcelniejsi rzymscy adwokaci jęli pisać w tej sprawie, która poruszyła miasto i napełniła je współczuciem. Dwudziestego piątego dnia zjawili się wszyscy naraz przed Jego Świątobliwością. Mikołaj De'Angalis przemówił pierwszy; ale zaledwie zdążył odczytać pierwsze słowa obrony, Klemens VIII przerwał:

— Zatem — wykrzyknął — są w Rzymie ludzie, którzy zamordowali własnego ojca, i są adwokaci gotowi bronić tych ludzi!

Wszyscy stali niemi, kiedy Farinacci odważył się przemówić:

— Wielce Świątobliwy Ojcze — rzekł — nie jesteśmy tu, aby bronić zbrodni, ale aby dowieść, jeśli zdołamy, że jeden albo kilkoro z tych nieszczęsnych nie są jej winni.

Papież dał znak, by mówił i mówił przez trzy długie godziny, po czym papież przyjął pisma ich wszystkich i odprawił ich. Kiedy odchodzili, Altieri szedł na końcu; zląkł się, że ściągnął na siebie niełaskę, ukląkł tedy przed Ojcem Świętym i rzekł:

— Jestem adwokatem ubogich, nie mogłem uchylić się od tej sprawy.

Na to papież odparł:

— Nie tobie się też dziwimy, ale innym.

Papież nie chciał się położyć, ale spędził całą noc na czytaniu obrony adwokatów, wezwawszy do pomocy w tej czynności kardynała de Saint-Marcel. Jego Świątobliwość zdawał się tak wzruszony, że ten i ów powziął nadzieję ratunku dla tych nieszczęśliwych. Aby ocalić synów, adwokaci zrzucali całą zbrodnię na Beatrix. Ponieważ dowiedziono

<sup>50</sup>wzięto Beatrix Cenci na tortury, wieszając ją za włosy — zobacz traktat *De suppliciis* sławnego Farinacci, współczesnego znawcy prawa. Są w nim okropne szczegóły, których nie zniesie w czytaniu nasza dziewiętnastowieczna wrażliwość, ale które świetnie znosiła młoda szesnastoletnia rzymianka, porzucona przez kochanka. [przypis autorski]

<sup>51</sup>wyznała wszystko, co było prawdą — można znaleźć u Farinacciego wiele ustępów wyznań Beatrix; mają one dla mnie wzruszającą prostotę. [przypis autorski]

w procesie, że ojciec jej niejednokrotnie użył przemocy w zbrodniczych zamiarach, adwocaci mieli nadzieję, iż jej będzie zbrodnia odpuszczona, ile że znajdowała się w położeniu godziwej obrony; gdyby zaś tak się stało, skoro główna winowajczyni ocalałaby głowę, w jakiz sposób braci jej, przez nią namówionych, miano by wydać na śmierć?

Poświęcwszy tę noc obowiązkom sędziego, Klemens VIII nakazał, aby oskarżonych odprowadzono do więzienia i *zamknięto w oddzielnych celach*. Ta okoliczność obudziła wielkie nadzieje w Rzymie, gdzie w całej tej zbrodni widziano jedynie Beatrix. Było stwierdzone, że kochała monsignora Guerra, ale że nigdy nie przekroczyła przykazań najsurowszej cnoty; nie można było tedy, wedle sprawiedliwości, czynić z niej potwora zbrodni. I jakże ją karać za to, że posłużyła się prawem obrony? A cóż by zrobiono, gdyby się okazała powolną? Trzeba było, aby sprawiedliwość ludzka pomnożyła niedole istoty tak łubej, tak godnej litości i tak już nieszczęśliwej? Po życiu tak smutnym, które zważyło na nią wszystkie nieszczęścia, czyż nie miała wreszcie prawa do kilku dni mniej okropnych? Każdy człowiek w Rzymie czuł się do obowiązku bronienia jej. Czyż by jej nie przebaczone, gdyby za pierwszym razem, kiedy Franciszek Cenci pokusił się o zbrodnię, zaszytowała go?

Papież Klemens VIII był łagodny i miłosierny. Zaczynaliśmy mieć nadzieję, iż zawstydzony nieco wybuchem gniewu, pod wpływem którego przerwał obronę adwokatom, przebaczy tej, która odparła siłą siłą, co prawda nie w momencie pierwszej zbrodni, ale wówczas gdy niegodziwiec próbował ją ponowić. Cały Rzym był w napięciu, kiedy papież otrzymał wiadomość o gwałtownej śmierci margrabiny Konstancji Santa Croce. Syn jej, Paweł Santa Croce, zabił sztyłem tę panią, liczącą sześćdziesiąt lat, za to, iż nie chciała się zobowiązać, że go uczyni spadkobiercą wszystkich dóbr. Raport dodawał, że Santa Croce uciekł i że nie było nadziei dosięgnięcia go. Papież przypomniał sobie bratobójstwo Massinich, spełnione niedawno. Zatroškany częstością tych mordów dokonanych na najbliższych krewnych, Jego Świątobliwość nie sądził, aby mu wolno było przebaczyć. Gdy nadszedł nieszczęsny raport o Pawle Santa Croce, papież znajdował się w pałacu Monte Cavallo; spędził tam 6 września, aby być następnego rana bliżej kościoła Najświętszej Panny Anielskiej, gdzie miał wyświęcić na biskupa pewnego niemieckiego kardynała.

W piątek o godzinie dwudziestej drugiej (czwarta po południu) kazał wezwać pana Ferrantego Taverna, gubernatora Rzymu<sup>52</sup>, i rzekł mu te słowa:

— Oddajemy ci sprawę Cencich, iżby sprawiedliwość spełniła się za twym staraniem bez najmniejszej zwłoki.

Gubernator wrócił do swego pałacu wielce poruszony rozkazem; natychmiast wygotał wyrok i zwołał kongregację celem naradzenia się nad sposobem wykonania.

W sobotę rano, 11 września 1599, najpierwsi panowie rzymscy, członkowie bractwa *confortatori*<sup>53</sup>, udali się do dwóch więzień, do Corte Savella, gdzie była Beatrix i jej macocha, oraz do Tordinona, gdzie znajdowali się Jakub i Bernard Cenci. Przez całą noc z piątku na sobotę panowie rzymscy, którzy wiedzieli, co się dzieje, biegali wciąż z pałacu Monte Cavallo do głównych kardynałów, aby uzyskać bodaj tyle, by kobiety stracono w murach więzienia, a nie na haniebnym rusztowaniu, i aby uzyskać łaskę dla młodego Bernarda Cenci, który mając ledwie piętnaście lat nie mógł być dopuszczony do żadnej tajemnicy. Zwłaszcza szlachetny kardynał Sforza odznaczył się tej nieszczęsnej nocy gorliwością, ale mimo iż tak możny, nic nie zdołał uzyskać. Zbrodnia Pawła Santa Croce była to zbrodnia plugawa, spełniona dla pieniędzy, a zbrodnia Beatrix była dla ocalenia honoru.

Gdy najmożniejsi kardynałowie czynili tyle daremnych starań, Farinacci, nasz wielki prawoznawca, odważył się dotrzeć do papieża; stanąwszy przed Jego Świątobliwością, zdumiewający ten człowiek umiał przemówić do sumienia papieża i póty się naprzykrzał, aż uzyskał życie dla Bernarda Cenci.

Kiedy papież wyrzekł to wielkie słowo, mogła być czwarta rano (sobota 11 września). Całą noc pracowano na placu koło mostu św. Anioła nad przygotowaniem tej okrutnej

<sup>52</sup>pana Ferrantego Taverna, gubernatora Rzymu — później został kardynałem za tak szczególną usługę. [przypis autorski]

<sup>53</sup>*confortatori* (wł.) — dosł.: pocieszający; duchowni odprowadzający skazańców na miejsce kaźni.

tragedii. Jednakże wszystkich potrzebnych odpisów wyroku nie dało się wygotować przed piątą rano, tak że dopiero o szóstej można było oznajmić okropną wiadomość biednym nieszczęśnikom, którzy spali spokojnie.

W pierwszej chwili młoda dziewczyna nie miała nawet tyle siły, aby się ubrać. Wciąż wydawała rozdzierające okrzyki i oddawała się najstraszniejszej rozpaczce.

— Jak to możliwe, o mój Boże! — wołała — abym tak niespodzianie musiała umrzeć?

Lukrecja Petroni, przeciwnie, zachowała się bardzo rozsądnie. Najpierw pomodliła się na klęczkach, następnie upomniała spokojnie córkę, aby z nią poszła do kaplicy, iżby się tam przygotowały do tego wielkiego przejścia z życia do śmierci.

To słowo wróciło Beatrycy cały spokój; o ile zrazu oddawała się wybuchom szaleństwa, o tyle stała się roztropną i poważną, skoro matka przywołała do przytomności tę wielką duszę. Od tej chwili była zwierciadłem męstwa, które podziwiał cały Rzym.

Zażądała reagenta celem sporządzenia testamentu, co jej przyzwolono. Poleciała, aby ciało jej zanesiono do św. Piotra in Montorio; zostawiła trzy tysiące franków stygmatkom (zakonnice od stygmatów św. Franciszka); suma ta miała posłużyć na wyposażenie pięćdziesięciu ubogich nowicjuszek. Przykład ten wzruszył signorę Lukrecję, która także zrobiła testament i nakazała, aby ciało jej przeniesiono do św. Jerzego; zostawiła pięć tysięcy franków jałmużny temu kościołowi i inne pobożne legaty.

O ósmej wyspowiadały się, wysłuchały mszy i przyjęły świętą komunię. Ale nim się udały na mszę, signora Beatrix rozważyła, że nie byłoby przystojnie pokazać się na rusztowaniu, w oczach całego ludu, w bogatych szatach, które miały na sobie. Kazała sporządzić dwie suknie, jedną dla siebie, drugą dla matki. Suknie te uszyto krojem szat zakonnych, bez ozdób na piersiach i ramionach, jedynie marszczone z szerokimi rękawami. Suknia matki była z czarnego płótna, suknia dziewczyny z niebieskiej kitajki, z grubym sznurem opasującym kibić.

Kiedy przyniesiono te suknie, signora Beatrix, dotąd klęcząca, wstała i rzekła do signory Lukrecji:

— Pani matko, godzina naszej męki zbliża się; byłoby dobrze, abyśmy się przygotowały, abyśmy zmieniły suknie i oddały sobie ostatni raz wzajemną przysługę przy ubieraniu.

Wzniesiono na placu św. Anioła rusztowanie z pieńkiem i *mannaja* (rodzaj gilotyny). O godzinie trzynastej (ósma rano) Bractwo Miłosierdzia przyniosło wielki krucyfiks do bram więzienia. Jakub Cenci wyszedł pierwszy; ukląkł pobożnie w proggu, pomodlił się i ucałował święte rany krucyfiksu. Za nim szedł Bernard Cenci, młodszy brat; ten miał ręce związane i deszczułkę przed oczami. Tłum był ogromny; wszczął się tumult z powodu naczynia, które spadło z okna prawie na głowę jednego z pokutników, niosącego zapaloną pochodnię tuż przy chorągwi.

Wszyscy patrzyli na dwóch braci, kiedy nagle wystąpił prokurator rzymski i rzekł:

— Signor Bernardo, pan nasz darowuje ci życie, udaj się za swymi krewnymi i módl się do Boga za nich.

Natychmiast jego dwaj *confortatori* odjęli mu deszczułkę znajdującą się przed oczyma. Kat usadowił na wóz Jakuba Cenci i zdjął mu suknie, aby go móc szarpać kleszczami. Kiedy kat podszedł do Bernarda, sprawdził podpis na jego ulaskawieniu, rozwiązał go, zdjął mu kajdany, że zaś był bez ubrania, jako iż miał być szarpany obcęgami, kat posadził go na wóz i zawinął go w bogaty płaszcz dziany złotem. (Powiadano, że to był ten sam, który Beatrix dała Marziowi po zbrodni w fortecy Petrella.) Olbrzymi tłum znajdujący się na ulicy, w oknach i na dachach poruszył się nagle, rozległ się głuchy i poważny szmer: zaczęto mówić, że dziecko zostało ulaskawione.

Rozległy się psalmy i procesja udała się przez plac Nawoński ku więzieniu Savella. Przybywszy do bram, chorągiew zatrzymała się, dwie kobiety wyszły, uwielbiły stopy św. krucyfiksu, po czym ruszyły w drogę pieszo, jedna za drugą. Były odziane tak, jak wspomniano, z głową odkrytą zasloną z kitajki, sięgającą prawie do pasa.

Signora Lukrecja, jako wdowa, miała zaslonę czarną i pantofle czarne aksamitne bez obcasów, wedle zwyczaju.

Zasłona Beatrix była z niebieskiej kitajki, jak suknia; co więcej, miała welon ze srebrnej lamy na ramionach, spódnicę fioletową i białe atlasowe pantofle, wykwinicie zasznurowane szkarlatnym sznurkiem. Miała w tym stroju szczególny wdzięk, tak iż lzy napływały do oczu wszystkim, w miarę jak ją widzieli idącą wolno na końcu procesji.

Strój

Obie kobiety miały dłonie swobodne, ale ramiona przywiązane do ciała, tak iż każda mogła nieść krucyfiks; trzymały go też przy oczach. Rękawy były bardzo szerokie, tak że było widać ramiona okryte koszulą obciśniętą przy garstkach, jak jest obyczaj w tym kraju.

Signora Lukrecja, która miała serce mniej mężne, płakała ustawicznie; młoda Beatrix, przeciwnie, objawiała wiele hartu; obracając oczy w stronę każdego kościoła, który mijala procesja, przyklękała na chwilę i mówiła silnym głosem: „*Adoramus te, Christe*”.

Przez ten czas biednego Jakuba Cenci szarpano na wózku kleszczami, co znosił z wielkim męstwem.

Procesja zaledwie mogła się przecisnąć przez plac koło mostu św. Anioła, tyle było karet i taka ciżba ludu. Zaprowadzono natychmiast kobiety do kaplicy, którą przygotowano, po czym zawiedziono tam Jakuba Cenci.

Młodego Bernarda w płaszczu oszywanym złotem zaprowadzono na rusztowanie; za czym wszyscy mniemali, że ma być stracony i że go nie darowano łaską. Biedny chłopczyzna tak się przeląkł, że padł zemdlony, ledwie wstąpiwszy nogą na szafot. Ocucono go zimną wodą i posadzono naprzeciw pieńka.

Kat poszedł po Lukrecję Petroni; ręce miała związane na grzbiecie i nie miała już zasłony na ramionach. Ukazała się na placu, obok chorągwi, z głową spowitą w czarny welon, pojednała się z Bogiem i ucałowała jego święte rany. Powiedziano jej, aby porzuciła sandały na bruku; ponieważ była bardzo tłusta, dość ciężko było jej wejść. Kiedy się znalazła na rusztowaniu i kiedy jej zdjęto z głowy czarną zasłonę, przykro ją dotknęło to, że ją widzą z odsłoniętymi ramionami i piersią; popatrzyła na siebie, potem na śmiertelny pieniek i na znak poddania podniosła z wolna ręce; łzy napłynęły jej do oczu, rzekła:

— O mój Boże... A wy, bracia, módlcie się za mą duszę.

Nie wiedząc, co ma czynić, spytała Aleksandra, pierwszego kata, jak się ma zachować. Rzekł, aby usiadła okracikiem na desce. Ale ten ruch zdał się jej nieobyczajny; jakoż wykonała go bardzo wolno (szczegóły, które następują, są do zniesienia jedynie dla włoskiego czytelnika, który chce wiedzieć wszystko z największą dokładnością; czytelnikom francuskim niech wystarczy, iż przez skrupuł skromności biedna kobieta zraniła się w pierś; kat pokazał głowę ludowi, po czym zawinął ją w czarną zasłonę).

Gdy wyporządzano szafot dla młodej dziewczyny, trybuna pełna ciekawych zawałiła się i wielu ludzi się pozabijało. Tak stanęli przed sądem boskim wcześniej od Beatrix.

Kiedy Beatrix ujrzała, iż orszak wraca po nią do kaplicy, spytała żywo:

— Czy pani matka naprawdę umarła?

Odpowiedziano, że tak; za czym padła na kolana przed krucyfiksem i modliła się żarliwie za jej duszę. Następnie mówiła głośno i długo do krucyfiksu:

— Panie, odwróciłeś się dla mnie i pójde za tobą z dobrej woli, nie rozpaczając o twym miłosierdziu dla mego straszliwego grzechu, etc.

Odmówiła następnie liczne psalmy i modły, wciąż na chwałę Boga. Kiedy wreszcie kat zjawił się przed nią ze sznurem, rzekła:

— Zwiąż to ciało, które ma być ukarane, a rozwiąż duszę, która ma dostąpić nieśmiertelności i wiekuistej chwały.

Za czym wstała, pomodliła się, zzuła trzewiki u dołu schodów, po czym wstąpiwszy na szafot okraczyła zwinnie deskę i podała głowę pod topór. Spełniła wszystko sama, tak aby kat jej nie tykał. Dzięki zwinności ruchów nie dopuściła, by publiczność miała widzieć jej ramiona i piersi, w chwili gdy jej zdejmowano zasłonę. Cios długo się opóźniał, ponieważ zaszły przeszkody.<sup>54</sup> Przez ten czas wzywała głośno imienia Jezusa Chrystusa i Przenajświętszej Dziewicy. W okropnej chwili ciało wzdręgnęło się straszliwie. Biedny Bernard Cenci, który wciąż siedział na rusztowaniu, padł znowu zemdlony; trwało dobre pół godziny, zanim confortatori zdołali go ocucić. Wówczas wstąpił na rusztowanie Jakub

<sup>54</sup>*Cios długo się opóźniał, ponieważ zaszły przeszkody.* — współczesny autor powiada, iż Klemens VIII był bardzo niespokojny o zbawienie duszy Beatrix; uważając snadź, iż ją skazano niesłusznie, lękał się odruchu buntu. W chwili gdy położyła głowę na pieńku, dano strzał armatni z Zamku św. Anioła, skąd widać było dobrze rusztowanie. Papież, który modlił się w Monte Cavallo i czekał tego sygnału, dał natychmiast młodej dziewczynie rozgrzeszenie papieskie *większe, in articulo mortis*. Stąd owo opóźnienie okrutnego momentu, o którym mówi kronikarz. [przypis autorski]

Cenci; znów trzeba tu pominąć nazbyt okrutne szczegóły. Jakub Cenci został zatluczony (*mazzolato*).

Natychmiast odprowadzono Bernarda do więzienia; miał silną gorączkę, puszczo mu krew.

Co się tyczy biednych kobiet, złożono je do trumien i ustawiono o kilka kroków od rusztowania, blisko posągu św. Pawła, ostatniego po prawej na moście św. Anioła. Zostały tam do kwadrans na piątą po południu. Koło każdej trumny płonęły cztery świece z białego wosku.

Następnie, wraz ze szczątkami Jakuba Cenci, zaniesiono je do pałacu florenckiego konsula. O kwadrans na dziesiątą wieczór<sup>55</sup> ciało młodej dziewczyny, przybrane w jej własne szaty i obficie uwienieczone kwiatami, zaniesiono do św. Piotra in Montorio. Była cudownie piękna; można by myśleć, że śpi. Pogrzebano ją koło wielkiego ołtarza, przed *Przemienieniem* Rafała z Urbino. Towarzyszyło jej pięćdziesiąt grubych płonących świec i wszyscy franciszkanie z całego Rzymu.

Lukrecję Petroni zaniesiono o dziesiątej wieczór do kościoła św. Jerzego. Podczas tej tragedii ciżba była olbrzymia; jak daleko wzrok mógł sięgnąć, ulice były wypełnione karocami i ludem, trybuny, okna i dachy pełne ciekawych. Słońce prażyło owego dnia tak, że wielu ludzi mdlało. Ogromna liczba osób dostała gorączki; kiedy zaś wszystko się skończyło o dziewiętnastej godzinie (trzy kwadransy na drugą) i kiedy tłum się rozproszył, wiele osób udusiło się w tłoku, wiele stratowało konie. Liczba zabitych była bardzo wielka.

Signora Lukrecja Petroni była dość niska i, mimo że miała pięćdziesiąt lat, bardzo urodziwa. Miała piękne rysy, mały nos, czarne oczy, twarz bardzo białą z żywymi rumieńcami; włosy skąpe, kasztanowate.

Beatrix Cenci, która będzie budziła wiekuiste żale, miała właśnie szesnaście lat; była nieduża, pulchna i miała dołki na policzkach, tak iż kiedy leżała umarła i przystrojona kwiatami, można by rzec, że śpi, a nawet że się śmieje, jak często zdarzało się jej, póki była przy życiu. Miała małe usta, włosy blond i z natury kędzierzawe. Kiedy szła na śmierć, te kręjące się blond włosy opadły jej na oczy, co jej przydało wdzięku i skłoniło do współczucia.

Jakub Cenci był małego wzrostu, otyły, biały na twarzy i z czarną brodą; miał około dwudziestu sześciu lat, gdy umierał.

Bernard Cenci podobny był zupełnie do siostry, że zaś nosił jak ona długie włosy, przeto kiedy się zjawił na szafocie, wiele osób wzięło go za nią.

Słońce prażyło tego dnia tak dotkliwie, że wielu widzów tej tragedii umarło w nocy, wśród nich Ubaldino Ubaldini, młodzieniec rzadkiej piękności i cieszący się wprzód doskonałym zdrowiem. Był to brat signora Renzi, tak znanego w Rzymie. Tak więc cienie Cencich odeszły w licznym towarzystwie.

Wczoraj, we wtorek, 14 września roku 1599 pokutnicy z San Marcello, z okazji dnia św. Krzyża, skorzystali ze swego przywileju, aby uwolnić z więzienia Bernarda Cenci, który zobowiązał się zapłacić w ciągu roku czterysta tysięcy franków Najświętszej Trójcy z mostu Sykstyńskiego.

Dopisane inną ręką:

Od niego to pochodzą Franciszek i Bernard Cenci, dziś żyjący.

Słynny Farinacci, który uporem swym ocalił życie młodemu Cenci, wydał swoje mowy obroncze. Daje jedynie wyciąg z obrony numer 66, którą wygłosił wobec Klemensa VIII w sprawie Cencich. Obrona ta w języku łacińskim zajęłaby sześć wielkich stron i nie mogę jej tutaj przytoczyć, czego żałuję; dobrze oddaje ducha roku 1599 i zdaje mi się bardzo rozsądna. Wiele lat po roku 1599 Farinacci, oddając swoje obrony do druku, dodał przypisek do tej, którą wygłosił w sprawie Cencich: „*Omnes fuerunt ultimo supplicio effecti*,

<sup>55</sup>kwadrans na dziesiątą wieczór — jest to godzina zarezerwowana w Rzymie na pogrzeb książąt. Kondukt mieszczan ma miejsce o zachodzie słońca, drobna szlachta grzebana jest o pierwszej w nocy; kardynałowie i książęta o pół do trzeciej w nocy, co 11 września odpowiadało godzinie za piętnaście dziesiątą. [przypis autorski]

*excepto Bernardo, qui ad triremes cum bonorum confiscatione condemnatus fuit, ac etiam ad interessendum aliorum morti prout interfuit*<sup>56</sup>.

Koniec tego łacińskiego przypisku jest wzruszający, ale sądzę, że czytelnik znużony jest tak długą historią.

---

<sup>56</sup>*Omnes fuerunt ultimo supplicio effecti, excepto Bernardo, qui ad triremes cum bonorum confiscatione condemnatus fuit, ac etiam ad interessendum aliorum morti prout interfuit* (łac.) — wszyscy ponieśli ostateczną męczarnię z wyjątkiem Bernarda, którego skazano na galery z konfiskatą dóbr, a także na obecność przy śmierci innych, co też się stało.



## KSIEŻNA PALLIANO

Palermo, 22 lipca 1838

Nie jestem przyrodnikiem; po grecku umiem bardzo średnio; toteż kiedym się wybierał na Sycylię, głównym mym celem nie było obserwować Etnę ani też rzucić jakieś światło dla siebie lub dla drugich na to, co starożytni Grecy powiedzieli o Sycylii. Przede wszystkim szukałem rozkoszy dla oczu, która w tym osobliwym kraju jest zaiste wielka. Podobny jest — powiadają — do Afryki; ale co jest dla mnie zupełnie pewne, to że do Włoch podobny jest jedynie przez swoje pałace namiętności. Jeżeli o kim, to o Sycylianach<sup>57</sup> można powiedzieć, że słowo *niepodobieństwo* nie istnieje dla nich, z chwilą gdy zapłoną miłością lub nienawiścią; nienawiść zaś w tym pięknym kraju nigdy nie płynie z interesu pieniężnego.

Uważam, że w Anglii, a zwłaszcza we Francji mówi się często o *włoskiej namiętności*, o owej nieokiełzanej namiętności, którą spotyka się we Włoszech w XVI i XVII wieku. Za naszych czasów ta piękna namiętność wymarła, zupełnie wymarła w klasach dotkniętych naśladownictwem obyczajów francuskich czy form modnych w Paryżu lub Londynie.

Można powiedzieć — wiem o tym — że w epoce Karola V (1530) Neapol, Florencja, a nawet Rzym naśladowały po trosze obyczaj hiszpański; ale czy te szlachetne zwyczaje nie wspierały się na bezgranicznym szacunku, jaki wszelki człowiek godny tego miana winien mieć dla skłonności swej duszy? Obyczaj ten nie tylko nie wykluczał energii, ale ją podsycał; podczas gdy pierwszą zasadą dudków małpujących księcia de Richelieu około roku 1760 było *nie okazywać wzruszenia*. Czyż zasadą dandysów angielskich, których dziś naśladuje się w Neapolu chętniej niż dudków francuskich, nie jest okazywać znudzenie wszystkim, wyśzość ponad wszystko?

Tak więc już od wieku *namiętność włoska* nie istnieje w wytwornym towarzystwie tego kraju.

Aby sobie stworzyć jakieś pojęcie o włoskiej namiętności, o której nasi romansopisarze mówią z taką pewnością siebie, musiałem sięgnąć do historii; a i to jeszcze *wielka* historia, spisana przez ludzi z talentem i często zbyt majestatyczna, niewiele mówi o tych szczegółach. Szaleństwa raczy protokołować tylko o tyle, o ile popełnili je królowie lub książęta. Zapuściłem się w osobliwą historię każdego miasta, ale przeraziła mnie obfitość materiału. Lada mieścina przedkłada wam dumnie swą historię w drukowanych trzech lub czterech tomach *in quarto* i siedmiu lub ośmiu tomach rękopiśmiennych; te ostatnie są prawie nie do odcyfrowania, usiane skrótami, dające literom osobliwe kształty i w najciekawszych miejscach pełne zwrotów używanych w danej okolicy, ale niezrozumiałych o dwadzieścia mil. Albowiem w tej pięknej Italii, gdzie miłość posiada tyle tragicznych wydarzeń, jedynie trzy miasta: Florencja, Siena i Rzym, mówią mniej więcej tak, jak piszą; wszędzie indziej język pisany odległy jest o sto mil od języka mówionego.

To, co się nazywa *włoską namiętnością*, to znaczy namiętnością, która stara się uczynić sobie zadość, nie zaś *dać drugim zaszczytne o nas pojęcie*, zaczyna się z odrodzeniem w społeczeństwie w XII wieku, a gaśnie, przynajmniej w wyższym towarzystwie, około roku 1734. W tym czasie Burboni obejmują berło Neapolu w osobie don Carlosa, z matki Farnese, drugiej żony Filipa V, owego żalosego wnuka Ludwika XIV, tak nieustraszonego w gradzie kul, tak znudzonego i tak rozkochanego w muzyce. Wiadomo, że przez dwadzieścia cztery lata cudowny kastrat Farinelli śpiewał mu co dzień trzy ulubione arie, zawsze te same.

Filozoficzny umysł może się zainteresować szczegółami namiętności takiej, jaką się spotyka w Rzymie lub w Neapolu; ale wyznaję, że nie widzę nic głępszego niż owe romanse dające włoskie imiona swoim bohaterom. Czyż nie uznaliśmy za pewnik, że namiętności zmieniają się, skoro się posuniemy o sto mil ku północy? Czyż miłość jest taka sama w Marsylii i w Paryżu? Co najwyżej można powiedzieć, że kraje mające od dawna jedną formę rządu objawiają pewne zewnętrzne podobieństwo obyczajowe.

Jak namiętności, jak muzyka, tak krajobraz zmienia się, skoro się posuniemy o trzy lub cztery stopnie na północ. Krajobraz neapolitański wydałby się niedorzeczny w Wenecji, gdyby nie było przyjęte, nawet we Włoszech, podziwiać piękność Neapolu. W Paryżu

Dekadent

Historia

Nuda

Obyczaje

<sup>57</sup>Sycylianin — dziś popr.: Sycylijczyk.

robimy jeszcze lepiej: wierzymy, że lasy i pola są zupełnie jednakie w okolicach Neapolu i Wenecji, i chcielibyśmy, aby na przykład Canaletto miał ściśle ten sam koloryt co Salvator Rosa.

A czyż nie jest szczytem śmieszności owa dama angielska, obdarzona wszystkimi doskonałościami swojej wyspy, ale wyraźnie uznana za niezdolną, nawet na tej wyspie, odmalować *nienawiść i miłość*, słowem pani Anna Radcliffe, kiedy daje włoskie imiona i wielkie namiętności osobom swego słynnego romansu *Konfesjonal czarnych pokutników*?

Nie będę się starał przydawać wdzięku prostocie oraz rażącej chwilami surowości zbyt prawdziwego opowiadania, które przedkładam pobłażliwości czytelnika, tłumacząc na przykład dosłownie odpowiedź księżnej Palliano na oświadczyzny jej krewniaka Marcellego Capece. Ta kronika rodzinna znajduje się, nie wiem czemu, na końcu drugiego tomu rękopiśmiennej historii Palermo, co do której nie mogę podać żadnych szczegółów.

Opowiadanie to, które — z wielkim żalem — mocno skracam (opuszczam mnóstwo charakterystycznych okoliczności), obejmuje raczej ostatnie przygody nieszczęśliwej rodziny Carafa niż zajmujące dzieje miłości. Próżność autorska szepce mi, że można byłoby uczynić bardziej zajmującą tę i ową sytuację, szerzej rozwijając — to znaczy zgadując i szczegółowo opowiadając czytelnikowi — uczucia danych osobistości. Ale czy ja, młody Francuz urodzony na północ od Paryża<sup>58</sup>, mogę mieć pewność, iż trafnie odgadnę to, co się działo w tych włoskich duszach z roku 1559? Mogę co najwyżej zgadnąć, co się wyda miłe i zajmujące czytelnikom francuskim z roku 1838.

Owa namiętność władająca uczuciami we Włoszech około roku 1559 żądała czynów, nie słów. Toteż w niniejszym opowiadaniu bardzo mało będzie rozmów. Jest to ujemna strona tego przekładu, ile że nawykliśmy do długich rozmów naszych powieściowych bohaterów; rozmowa jest dla nich jak bitwa. Opowieść, dla której dopraszam się pobłażliwości czytelnika, ujawnia pewną właściwość wprowadzoną we włoskie obyczaje przez Hiszpanów. Nie wyszedłem z roli tłumacza. Wierny obraz sposobu czucia w XVI wieku, a nawet sposobu opowiadania dziejopisa, którym — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — był jakiś szlachcic, dworzanin nieszczęsnej księżnej Palliano, stanowi, moim zdaniem, zaletę tej tragicznej historii, o ile w ogóle ma ona zalety.

Najsurowsza hiszpańska etykieta panowała na dworze księcia Palliano. Zważcie, że każdy kardynał, że każdy książę rzymski miał podobny dwór, a możecie sobie wytworzyć obraz, jaki przedstawiała w roku 1559 cywilizacja Rzymu. Nie zapominajcie, że była to epoka, kiedy król Filip II, potrzebując dla jakiejś intrygi głosów dwóch kardynałów, dał każdemu z nich dwieście tysięcy franków renty w beneficjach kościelnych. Rzym, mimo iż bez potężnej armii, był centrum świata. Paryż był w roku 1559 miastem dość sympatycznych barbarzyńców.

## WIERNY PRZEKŁAD STAREGO OPOWIADANIA, SPISANEGO OKOŁO 1566

Jan Piotr Carafa, mimo iż pochodzący z jednej z najszlachetniejszych rodzin w Neapolu, miał charakter przykry, szorstki, gwałtowny, wręcz godny pastucha. Przywdział sukienkę (sutannę) i udał się młodo do Rzymu, gdzie znalazł pomoc w faworze swego krewniaka, Oliwiera Carafa, kardynała i arcybiskupa Neapolu. Aleksander VI, ów wielki człowiek, który wiedział wszystko i mógł wszystko, uczynił zeń swego *cameriere* (mniej więcej to, co byśmy dziś nazwali ordynansowym oficerem). Julian II mianował go arcybiskupem Chieti; papież Paweł zrobił go kardynałem; wreszcie 23 maja 1555 roku, po straszliwych intrygach i kłótniach kardynałów zamkniętych na konklawe, wybrano go papieżem pod imieniem Pawła IV; miał wówczas siedemdziesiąt osiem lat. Ci sami, którzy go powołali na stolec św. Piotra, zdradzili niebawem, widząc srogość i surową, nieubłaganą pobożność pana, którego sobie dali.

Więść o tej nieoczekiwanej nominacji poruszyła Neapol i Palermo. W krótkim czasie zjawiała się w Rzymie mnogość członków znamienitej rodziny Carafa. Wszyscy otrzymali jakieś stanowiska; ale — rzecz naturalna — papież wyróżnił osobliwie trzech bratanków, synów hrabiego Montorio, swego brata.

Don Juan, najstarszy, już żonaty, został księciem Palliano. Księstwo to, zagarnięte Markowi Antoniemu Colonna, do którego wprzód należało, obejmowało mnogość wsi

<sup>58</sup>Ja, młody Francuz urodzony na północ od Paryża — w rzeczywistości Stendhal urodził się w Grenoble.

i miasteczek. Carlos, drugi bratanek Jego Świątobliwości, był kawalerem maltańskim i bywał na wojnie; zrobiono go kardynałem, legatem bolońskim<sup>59</sup> i pierwszym ministrem. Był to człowiek bardzo śmiały; wierny tradycjom rodzinnym, ośmielił się nienawidzić najpotężniejszego króla (Filipa II, króla Hiszpanii i Indii) i dał mu odczuć swą nienawiść. Trzeciego bratanka, don Antonia Carafę, ponieważ był żonaty, papież zrobił margrabią Montebello. Wreszcie córkę brata z pierwszego małżeństwa postanowił wydać za Franciszka, delfina Francji, syna Henryka II; jako posąg Paweł IV zamierzał mu dać królestwo Neapolu, które zagarnięto by Filipowi II, królowi Hiszpanii. Rodzina Carafa nienawidziła tego potężnego króla, który, wspomagany błędami tejże rodziny, zdołał ją później wytepić, jak to zobaczycie.

Od czasu jak wstąpił na tron św. Piotra, tron najpotężniejszy w świecie i zaćmiewający w owej epoce nawet wspaniałego monarchę Hiszpanii, Paweł IV, zarówno jak większość jego następców, roztaczał przykład wszystkich cnót. Był to wielki papież i wielki święty; starał się ukrócić nadużycia Kościoła i oddalić w ten sposób sobór powszechny, którego domagano się ze wszystkich stron na dworze w Rzymie, a do którego roztropna polityka nie pozwalała dopuścić.

Wedle obyczajów owej epoki, nazbyt już obecnie zapomnianej, stanami Jego Świątobliwości rządzący samowolnie jego bratankowie, ile że władca nie mógł pokładać zaufania w ludziach, którzy by mieli interesy różne od jego interesów. Kardynał był pierwszym ministrem i rządził stryjem; księcia Palliano mianowano generałem armii świętego Kościoła; a margrabia Montebello, kapitan gwardii pałacowej, wpuszczał jedynie tych, których mu się spodobało. Niebawem ci młodzi ludzie zaczęli się dopuszczać największych nadużyć; zaczęli od przywłaszczania sobie majątku osób przeciwnych ich rządowi. Mieszkańcy nie wiedzieli, do kogo się udać, aby uzyskać sprawiedliwość. Nie tylko trzeba im było drżeć o swoje mienie, ale — rzecz okropna do powiedzenia w ojczyźnie czystej Lukrecji! — cześć ich żon i córek nie była bezpieczna. Księżę Palliano i jego bracia porywali najpiękniejsze kobiety; wystarczyło, aby która miała nieszczęście wpaść im w oko. Patrzano ze zdumieniem na to, że nie mają żadnego względu dla szlachectwa krwi; ba, co o wiele cięższe, nie wstrzymywała ich święta klauzura klasztoru. Lud doprowadzony do rozpacz nie wiedział, gdzie nieść swoje skargi, taką groźbę budzili trzej bracia w całym otoczeniu papieża; byli zuchwali nawet wobec ambasadorów.

Księżę zaślubił jeszcze przed wyniesieniem swego stryja Violantę Cardone, z rodziny hiszpańskiego pochodzenia, należącej w Neapolu do najznamienitszych.

Należała do Seggio di Nido<sup>60</sup>.

Violanta, słynna z rzadkiej piękności i wdzięku, jaki umiała przybrać, kiedy chciała być miła, jeszcze sławniejsza była z szalonej dumy. Ale trzeba być sprawiedliwym; trudno sobie wyobrazić kobietę górniej myślącą, co okazała dowodnie światu, nie wyznając nic przed śmiercią kapucynowi, który ją spowiadał. Umiała na pamięć i wygłaszała z nieskończonym wdziękiem cudnego *Orlanda messer Ariosta*, mnóstwo sonetów boskiego Petrarke, powiastki z *Pecorone*<sup>61</sup> etc. Ale jeszcze bardziej była urocza, kiedy raczyła zabawić towarzystwo osobliwymi myślami, jakie rodziły się jej w głowie.

Miała syna, który nosił miano księcia Cavi. Brat jej, D. Ferrand, hrabia d'Aliffe, przybył do Rzymu znechęcony pomyślnością szwagrów.

Księżę Palliano trzymał wspaniały dwór; młodzieńcy z pierwszych rodzin w Neapolu walczyli o zaszczyt należenia doń. Wśród tych, którzy mu byli najmiłsi, Rzym wyróżnił swoim podziwem Marcelego Capece (z Seggio di Nido), młodego kawalera słynnego w Neapolu z dowcipu, jak nie mniej z boskiej piękności, którą otrzymał od nieba.

Ulubienicą księżnej była Diana Brancaccio, licząca wówczas trzydzieści lat, bliska krewna margrabin Montebello, jej bratowej. Powiadano w Rzymie, że dla tej faworyty wyrzekła się swej dumy; zwierzała jej wszystkie tajemnice. Ale te tajemnice odnosiły się tylko do polityki; księżna budziła namiętności, lecz nie podzielała żadnej.

<sup>59</sup>*zrobiono go kardynałem, legatem bolońskim* — Bolonią, należąca w latach 1506–1797 do Państwa Kościelnego, rządził wyznaczony przez papieża kardynał-legat.

<sup>60</sup>*Seggio di Nido* — patrycjat Neapolu dzielił się na rodzaj korporacji, tzw. *seggi*. Najstarszymi i najbardziej wpływowymi były Seggio di Nido i Seggio-Capua.

<sup>61</sup>*Pecorone* — tytuł zbioru nowel będącego naśladownictwem *Dalmmmeroru*; autorem jego jest Giovanni Fiorentino, włoski nowelista z końca XIV w.

Z porady kardynała Carafa papież wydał wojnę królowi hiszpańskiemu, a król Francji posłał papieżowi na pomoc armię pod dowództwem księcia de Guise.

Ale trzeba nam się trzymać wypadków domowych na dworze księcia Palliano.

Capecce był od dawna jak szalony, dziwaczne jego postęпки zwracały powszechną uwagę. Faktem jest, że biedny młodzieniec rozkochał się do szaleństwa w księżnej, swojej pani, ale nie śmiał jej tego wyznać. Mimo to wierzył, iż dojdzie do celu, ile że księżna była wielce zagniewana na męża, który ją zaniedbywał. Książę Palliano był wszechwładny w Rzymie i księżna wiedziała z pewnością, że prawie co dzień najsłynniejsze z piękności damy rzymskie odwiedzają jej męża w jego własnym pałacu, a to był afront, z którym nie mogła się pogodzić.

Wśród kapelanów świątobliwego papieża Pawła IV znajdował się czcigodny mnich, z którym papież odmawiał brewiarz. Człowiek ten, narażając własne gardło, może namówiony przez hiszpańskiego ambasadora, ośmielił się pewnego dnia odkryć papieżowi wszystkie zbrodnie jego bratanków. Ojciec Święty rozchorował się ze zgryzoty; chciał wątpić, ale przytłoczyły go dowody napływające ze wszystkich stron. Właśnie w pierwszy dzień 1559 roku zaszedł wypadek, który utrwalił papieża w podejrzaniach i może go zdecydował. Właśnie zatem w dzień obrzezania naszego Zbawiciela (która to okoliczność znacznie obciążła winę w oczach tak pobożnego władcy) Andrzej Lanfranchi, sekretarz księcia Palliano, wydał wspaniałą wieczerzę dla kardynała Carafa; a iżby do uciech Bachusa nie brakło uciech Wenery, sprowadził na tę wieczerzę Martuccię, jedną z najpiękniejszych, najślawniejszych i najbogatszych kurtyzan szlchetnego miasta Rzymu. Fatalność chciała, iż Capecce, faworyt księcia, ten sam, który potajemnie kochał się w księżnej i uchodził za najpiękniejszego mężczyznę w stolicy świata, utrzymywał od jakiegoś czasu stosunki z Martuccią. Tego wieczora szukał jej wszędzie, gdzie mógł mieć nadzieję, że ją spotka. Nie znalazłszy jej nigdzie i dowiedziawszy się, że Lanfranchi wydaje wieczerzę, powziął podejrzenie i koło północy zjawił się u Lanfranchiego w towarzystwie wielu zbrojnych.

Otworzono mu drzwi, zaproszono go, by usiadł i wziął udział w zabawie; ale po kilku dość oschłych słowach dał znak Martucci, aby wstała i wyszła z nim. Gdy się wahała, zmieszana i przewidując, co ją czeka, Capecce podniósł się ze swojego siedzenia i zbliżając się do młodej dziewczyny wziął ją za rękę, chcąc ją pociągnąć za sobą. Kardynał, na którego cześć Martuccia przybyła, sprzeciwił się żywo jej odejściu; ale Capecce silił się wyciągnąć ją z sali.

Kardynał-minister, który tego wieczora przywdział strój zgoła nie zdradzający jego wysokiej godności, dobył szpady i z całą swą znaną w Rzymie odwagą i energią zaprotestował przeciw uprowadzeniu dziewczyny. Marceli, pijany gniewem, zawołał swych ludzi; ale byli to przeważnie Neapolitańczycy: kiedy poznali książęcego sekretarza, a następnie kardynała, którego skryło im zrazu niezwykle przebranie, nie chcieli się bić i silił się załagodzić zwadę.

W czasie tego zamętu Martuccia, koło której skupili się wszyscy i którą Marceli przytrzymał lewą ręką, zdołała się wymknąć. Skoro Marceli spostrzegł jej nieobecność, pognął za nią, a wszyscy znowuż za nim.

Noc była ciemna, z czego zrodziły się najosobliwsze wieści. Rano 2 stycznia wszędzie mówiono w stolicy o zaciętej bitwie, jaką stoczyli, powiadano, kardynał-bratanek z Marcelim Capecce. Książę Palliano, naczelny wódz armii Kościoła, uznał sprawę za poważniejszą o wiele, niż była; że zaś nie był zbyt dobrze z bratem swoim, ministrem, tej samej nocy kazał uwięzić Lanfranchiego, a nazajutrz wczesnym rankiem i Marceli znalazł się w więzieniu. Niebawem spostrzeżono, że nikt nie postradał życia i że te kroki pomnożyły jedynie zgorzenie, które w całości spadło na kardynała. Czym prędzej uwolniono więźniów, a bracia zespolili swą olbrzymią władzę, aby zdławić sprawę. Sądziło zrazu, że im się to uda; ale trzeciego dnia wieść o wszystkim doszła uszu papieża. Kazał wezwać dwóch bratanków i przemówił do nich tak, jak mógł przemówić władca pobożny i głęboko obrażony.

Piątego stycznia, w którym to dniu zebrała się wielka liczba kardynałów w kongregacji Sancti Officii<sup>62</sup>, Ojciec Święty pierwszy przemówił o tej okropnej sprawie; spytał obecnych kardynałów, w jaki sposób ośmielili się nie donieść mu o niej.

— Milczycie? A wszak zgorszenie dotyka wysokiej godności, w którą was obleczone! Kardynał Carafa ośmielił się zjawić na ulicy w świeckim stroju i z gołą szpadą w dłoni. I po co? Aby gonić bezwstydną kurtyzanę!

Można sobie wyobrazić śmiertelną ciszę, jaka zaległa wśród dworaków w czasie podobnego ataku na pierwszego ministra. To starzec osiemdziesięcioletni grzmiał na ukochanego bratanka, dotąd panującego nad nim samowładnie. W oburzeniu papież chciał odebrać bratankowi kapelusz kardynalski.

Podszył jeszcze gniew papieża ambasador wielkiego księcia Toskanii, który przyszedł się uzalić na jakieś świeże zuchwalstwo pierwszego ministra. Ów kardynał, dotąd tak potężny, zjawił się u Jego Świątobliwości na zwykłą pracę. Papież wytrzymał go całe cztery godziny w przedpokoju, wyczekującego na oczach wszystkich, po czym odprawił go bez posłuchania. Łatwo sobie wyobrazić, co musiała cierpieć niepoohamowana duma ministra. Kardynał był wzburzony, ale nie skruszony; myślał, iż starzec, przyciśnięty wiekiem, całe życie oddychający miłością do rodziny, a wreszcie mało nawykły do załatwiania świeckich spraw, będzie musiał się uciec do jego pomocy. Ale cnota świętobliwego papieża zwyciężyła; zwołał kardynałów i długo popatrzywszy na nich bez słowa, w końcu załżał się łzami i nie zawahał się kajać niejako przed nimi.

— Niemoc wiado — rzekł — oraz troska, z jaką oddaję się sprawom religii, w których, jak wam wiadomo, pragnę wytepić wszystkie nadużycia, skłoniły mnie do tego, aby oddać władzę świecką trzem bratankom; nadużyli jej, wypędzam ich na zawsze.

Odczytano następnie brewe, które odejmowało bratankom wszystkie godności i wypędzało ich do nędznych wiosek. Kardynał-ministra wygnano do Civita Lavinia; księcia Palliano do Soriano, a margrabiego do Montebello; brewe to odejmowało księciu jego pensje, które dochodziły siedemdziesięciu dwóch tysięcy piastrów (więcej niż milion z roku 1838).

Nie mogło być mowy o złamaniu tych surowych rozkazów. Carafowie mieli wrogów i kontrolerów w ludzie całego Rzymu, który ich nienawidził.

Księżę Palliano wraz z hrabią d'Aliffé, swoim szwagrem, oraz Leonardem del Cardine zamieszkał w miasteczku Soriano, gdy księżna i jej teściowa osiadły w Gallese, nędznym siole<sup>63</sup> niespełna o dwie mile.

Są to uroczę miejscowości, ale dla nich to była banicja: wypędzono ich z Rzymu, gdzie dotąd władali tak zuchwale.

Marceli Capecece podążył wraz z innymi dworzanami za swą panią do mieściny przeznaczonej na jej wygnanie. W miejsce hołdów całego Rzymu ta kobieta, tak potężna kilka dni wprzód i zażywająca władzy z upojeniem dumy, ujrzała dokoła siebie jedynie prostych chłopów, których zdziwienie tym żywiej przypominało jej upadek. Nie widziała żadnej pociechy; stryj był tak sędziwy, że prawdopodobnie nie zdążyłby już przed śmiercią odwołać bratanków. Na domiar nędzy bracia nienawidzili się między sobą. Szeptano zgoła, że księżę i margrabia, którzy nie podzielali nieokielzanych namiętności kardynała, przerażeni jego wybrykami, postarali się go oskarżyć przed stryjem swym, papieżem.

Wśród tej głębokiej i straszliwej niełaski zdarzyła się rzecz, która na nieszczęście księżnej i samego Capececego okazała, iż wówczas w Rzymie nie prawdziwa miłość pociągnęła Capececego w trop Martucci.

Pewnego dnia, kiedy księżna zawołała go, aby mu dać jakiś rozkaz, znalazł się z nią sam: rzecz, która nie zdarzała się ani dwa razy na rok. Ujrzawszy, że nie ma nikogo w sali, Capecece stał nieruchomy i milczący. Podszedł do drzwi, aby zobaczyć, czy go nikt nie może słyszeć w sąsiedniej sali, po czym ośmielił się przemówić tak:

— Pani, nie obruszaj się i nie przyjmij z gniewem szczególnych słów, które odważę się wyrzec. Od dawna kocham cię bardziej niż życie. Jeżeli wyzbywszy się wszelkiej rozwagi ośmieliłem się patrzeć wzrokiem kochanka na tve boskie powaby, nie przypisuj winy tego

<sup>62</sup>Kongregacja Sancti Officii — komisja kardynalska badająca doktrynalną zgodność z katolicyzmem zakwestionowanych przez władze kościelne poglądów.

<sup>63</sup>sioło (daw.) — wieś, osada.

mnie, ale nadprzyrodzonej sile, która mnie popycha i mną porusza. Jestem na mękach, płonę ogniem; nie żądam ulgi dla płomienia, który mnie trawi, ale jedynie błagam, aby twoja wspaniałomyślność ulitowała się nad sługą pełnym lęku i pokory.

Księżna zdawała się zdumiona, a bardziej jeszcze pogniwana.

— Powiedz, Marceli — rzekła — cóżże ujrzal takiego we mnie, co ci dało śmiałość mówienia mi o miłości? Czy życie moje, czy moje zachowanie tak bardzo odbiega od prawideł obyczajności, abys się ważył na takie zuchwalstwo? Jakżeś ty się ośmielił przypuszczać, że ja mogłabym się oddać tobie lub innemu mężczyźnie poza moim panem i małżonkiem? Przebaczam ci to, coś mi powiedział, bo myślę, żeś oszalał; ale strzeż się popełnić jeszcze raz coś podobnego lub przysięgam ci, że cię skarzę wraz za pierwsze i za drugie zuchwalstwo.

Księżna oddaliła się w gniewie; w istocie Capece poczał sobie nieroztropnie: trzeba było pozwolić się domyślać, ale nie mówić. Zmieszał się wielce, obawiając się, aby księżna nie opowiedziała wszystkiego mężowi.

Ale dalszy ciąg był wielce odmienny od tego, czego się obawiał. W tej wiejskiej samotności dumna księżna Palliano nie mogła się wstrzymać, aby nie zwierzyć swej ulubionej dworce Dianie Brancaccio tego, co się jej ktoś ośmielił powiedzieć. Diana była to kobieta trzydziestoletnia, trawiona namiętnościami. Miała rude włosy (kronikarz wraca kilka razy do tego szczegółu, który widocznie tłumaczy mu wszystkie szaleństwa Diany). Kochała do obłędu Domicjana Fornari, szlachcica przy dworze margrabiego Montebello. Chciała go zaślubić: ale czy margrabia i jego żona, z którymi miała zaszczyt być spokrewniona, zgodziliby się kiedy, aby zaślubiła człowieka będącego w ich służbie? Była to przeszkoda nie do zwalczania, tak się przynajmniej zdawało.

Była tylko jedna nadzieja pozwolenia: trzeba było uzyskać poparcie księcia Palliano, starszego brata margrabiego, i Diana miała niejaki nadzieje w tej mierze. Książę uważał ją bardziej za krewną niż za domownicę. Był to człowiek prostego serca i dobry, o wiele mniej od braci zważający na względy surowej etykiety. Mimo że książę korzystał jak istny młodzieniec ze wszystkich przewag swego dostojęstwa i daleki był od wierności żonie, kochał ją serdecznie i jak można było mniemać, nie umiałby jej odmówić łaski, gdyby o nią prosiła usilnie.

Wyznanie, jakie Capece ośmielił się złożyć księżnie, zdało się posępnej Dianie nieoczekiwanym szczęściem. Pani jej była dotąd rozpaczliwie cnotliwa; gdyby mogła poznać miłość, gdyby popełniła błąd, na każdym kroku potrzebowałaby Diany: faworyta mogłaby się wszystkiego spodziewać od kobiety, której znalazły tajemnice.

Miał zwrócić uwagę księżnej przede wszystkim na to, co winna jest samej sobie, a następnie na straszliwe niebezpieczeństwa, jakie jej grożą na tak trudnym do oszukania dworze, Diana, porwana ogniem swej namiętności, mówiła swej pani o Marcelim Capece tak, jak mówiła samej sobie o Domicjanie Fornari. Wśród długich gawęd na tym pustkowiu codziennie znajdowała sposób zwrócenia uwagi księżnej na wdzięk i urodę biednego Marcelego, który zdawał się tak smutny. Należał on, jak księżna, do jednej z pierwszych rodzin w Neapolu, wzięcie miał równie szlachetne jak krew; brakło mu jedynie owych dóbr, które kaprys losu mógł mu dać każdego dnia, aby się stał pod każdym względem równy kobiecie, którą ośmielił się kochać.

Diana spostrzegła z radością, że pierwszym skutkiem tych rozmów było zdwojone zaufanie księżnej.

Nie omieszkała uprzedzić Marcelego, jak rzeczy stoją. Lato było niezwykle upalne, księżna przechadzała się często w lasach otaczających Gallese. O zmierzchu lubiła zażywać morskiego wietrzyku na uroczych wzgórzach wśród lasów, z których szczytu widzi się morze zaledwie o dwie mile.

Nie uchybiając surowym prawom etykiety, Marceli mógł się znajdować w tym lesie; krył się tam (powiadają) i ukazywał się oczom księżnej dopiero wówczas, gdy była dobrze nastrojona pod wpływem rozmów z Dianą. Wtedy Diana dawała znak Marcelemu.

Diana widząc, że jej pani gotowa jest ulec oplakanej namiętności, którą zbudziła w jej sercu, sama poddała się gwałtownej miłości, jaką zrodził w niej Domicjan Fornari. Odtąd była pewna, że zdoła go zaślubić. Ale Domicjan był to młodzieniec spokojny, o zimnym i oględnym charakterze; zapaly namiętnej kochanki nie tylko go nie przywiązywały, ale niebawem stały mu się niemiłe. Diana Brancaccio była bliską krewną Carafów; był pewien,

że go zaszytyletują za najmniejszą wieścią, jaka dojdzie o tej miłośce straszliwego kardynała Carafa, który mimo iż młodszy od księcia Palliano, był w rzeczywistości głową rodziny.

Księżna dała już od jakiegoś czasu folgę swej miłości do Marcelego Capecece, kiedy pewnego pięknego dnia Domicjan Fornari nie pokazał się już we wsi, gdzie był wygnany dwór margrabiego Montebello. Znikł; dowiedziano się później, że wsiadł na statek w małym porcie Nettuno; bez wątpienia zmienił nazwisko i słuch o nim zaginął.

Któż zdoła odmalować rozpacz Diany? Wysłuchawszy z dobrocią jej żalów na los, pewnego dnia księżna Palliano dała jej do zrozumienia, że ten temat rozmowy zdaje się jej wyczerpany. Serce Diany, tak wzgardzonej przez kochanka, przechodziło okrutne wzruszenia; wysnuła najdziksze wnioski z chwili znudzenia, jakie zdradziła księżna słysząc jej ustawiczne żale. Diana uroiła sobie, że to księżna nakłoniła Domicjana, aby ją rzucił na zawsze, i co więcej, dostarczyła mu środków na podróż. Ta szalona myśl wspierała się jedynie na kilku napomnieniach, których księżna udzieliła jej niegdys. W ślad za podejrzeniem poszła zemsta. Poprosiła księcia o posłuchanie i opowiedziała mu wszystko, co się dzieje między jego żoną a Marcelim. Książę nie chciał dać wiary.

— Pomyśl — rzekł — że przez piętnaście lat nie miałem najmniejszej rzeczy do zarzucenia mojej żonie; oparła się pokusom dworu i pokusom świetnej pozycji, którą mieliśmy w Rzymie; najpowabniejsi książęta, sam książę de Guise, generał armii francuskiej, nie zdołali nic wskórać i ty mi chcesz wmówić, że uległa prostemu giermkowi?

Nieszczęście chciało, że książę nudził się mocno w Soriano, wiosce przeznaczonej mu za miejsce wygnania, a odległej niespełna o dwie mile od siedziby jego żony; dzięki temu Diana mogła uzyskać cały szereg audiencji zgoła bez świadomości księżnej. Diana była kobietą bardzo niepospolitą, namiętność uczyniła ją wymowną. Podała księciu mnóstwo szczegółów; zemsta stała się jedyną jej rozkoszą. Powtarzała mu, że prawie co dzień Capecece wślizguje się do pokoju księżnej o jedenastej wieczór, a opuszcza go aż o drugiej lub trzeciej rano. Wszystko to przyjmował zrazu książę tak obojętnie, że nie chciał sobie zadać trudu zrobienia dwóch mil o północy, aby przybyć do Gallese i wejść zniecka do sypialni żony.

Ale pewnego wieczora, kiedy się znalazł w Gallese już po zachodzie słońca, choć jeszcze za dnia, Diana wpadła z rozwianym włosom do pokoju, gdzie był książę. Wszyscy się oddalili, a ona powiedziała mu, że Marceli Capecece wszedł do sypialni księżnej. Książę, widocznie źle usposobiony w tej chwili, wziął sztylet i pobiegł do pokoju żony: wszedł ukrytymi drzwiczkami. Zastał Marcelego Capecece. Na jego widok kochankowie zbledli; ale nie było nic nagannego w pozycji, w jakiej się znajdowali. Księżna leżała w łóżku, zajęta zapisywaniem jakiegoś drobnego wydatku; pokojówka była w komnacie, Marceli stał o trzy kroki od łóżka.

Książę, wściekły, chwycił Marcelego za gardło, zawlókł go do sąsiedniego pokoju i kazał mu rzucić na ziemię pugnał i sztylet, w które był uzbrojony. Po czym zawołał straż, która odprowadziła go natychmiast do więzienia w Soriano.

Księżnę zostawiono w pałacu, ale pod ścisłą strażą.

Książę nie był okrutny; zdaje się, że miał ochotę ukryć tę haniebną sprawę, aby nie posuwać się do ostatecznych kroków, jakich honor żądałby od niego. Chciał wmówić światu, że Marcelego uwięziono dla zupełnie innej przyczyny; biorąc pozór z kilku ogromnych ropuch, które Marceli kupił bardzo drogo przed paru miesiącami, rozgłosił, że młodzieniec próbował go otruć. Ale prawdziwa zbrodnia była zbyt dobrze znana i kardynał, jego brat, kazał go spytać, kiedy zamierza obmyć w krwi winnych zniewagę, jaką ważono się uczynić ich rodzinie.

Książę przybrał sobie hrabiego d'Aliffé, brata żony, oraz Antoniego Torando, przyjaciela domu. Wszyscy trzej, utworzywszy rodzaj trybunału, złożyli sąd nad Marcelim Capecece, oskarżonym o cudzołóstwo z księżną.

Niestalość rzeczy ludzkich zechciała, że papież Pius IV, następcą Pawła IV, należał do partii hiszpańskiej. Nie mógł niczego odmówić królowi Filipowi II, który zażądał odeń śmierci kardynała i księcia Palliano. Obu braci oskarżono przed trybunałem, a kroniki procesu, który im wytoczono, podają nam szczegóły śmierci Marcelego Capecece.

Jeden z licznych przesłuchanych świadków zeznaje w tych słowach:

— Byliśmy w Soriano; książę, mój pan, miał długą rozmowę z hrabią d'Aliffé. Wieczorem, bardzo późno, zeszedli do lamusa, gdzie książę kazał przygotować sznury, aby wziąć winnego na śledztwo. Byli tam obecni książę, hrabia d'Aliffé, pan Antoni Torando i ja.

Pierwszym wezwanym świadkiem był kapitan Kamil Grifone, serdeczny przyjaciel i powiernik Capecego. Książę spytał go tak:

— Powiedz prawdę, przyjacielu. Co wiesz o tym, co Marceli robił w komnacie księżnej?

— Nic nie wiem; od trzech tygodni poróżniłem się z Marcelim.

Gdy się wzdragał powiedzieć więcej, książę zawołał paru ludzi. Podesta miasta Soriano związał kapitana sznurem. Zbiry podciągnęły sznur, unosząc w ten sposób winnego na cztery palce od ziemi. Skoro tak kapitana potrzymano dobry kwadrans, rzekł:

— Spuście mnie, powiem, co wiem.

Kiedy go postawiono na ziemi, straż oddaliła się, a my zostaliśmy z nim sami.

— Prawda, iż kilka razy towarzyszyłem Marcelemu aż do progu księżnej — rzekł kapitan — ale nie wiem nic, ponieważ czekałem nań w sąsiednim dziedzińcu może do pierwszej z rana.

Natychmiast przywołano z powrotem zbirów, którzy na rozkaz księcia podciągnęli go na nowo, tak że nogi nie dotykały ziemi. Niebawem kapitan wykrzyknął:

— Spuście mnie, powiem prawdę! Prawdą jest — ciągnął — że od kilku miesięcy spostrzegłem, iż Marceli ma stosunki z księżną, i chciałem uwiadomić o tym Waszą Dostojność lub don Leonarda. Księżna posyłała co rano dowiadywać się o Marceliego; dawała mu drobne podarki, między innymi konfitury bardzo starannie przyrządzone i bardzo drogie; widziałem u Marceliego złote łańcuszki ślicznej roboty, które widocznie miał od księżnej.

Po tym zeznaniu odesłano kapitana do więzienia. Sprowadzono odźwiernego księżnej, który powiedział, że nic nie wie; wzięto go na sznur i uniesiono w powietrze. Po półgodzinie rzekł:

— Spuście mnie, powiem, co wiem.

Znalazłszy się na ziemi oświadczył, że nic nie wie; podniesiono go na nowo. Po pół godzinie spuszczone go; wyjaśnił, iż od niedawna dopiero przydany jest do osobistych usług księżnej. Ponieważ było możliwe, że ten człowiek nic nie wie, odesłano go do więzienia. Wszystko to zajęło wiele czasu, ile że za każdym razem oddalano zbirów. Chciano, aby straż myślała, że chodzi o usiłowane otrucie trucizną z ropuchy.

Była już późna noc, kiedy książę kazał wprowadzić Marceliego. Skoro straż wyszła i drzwi zamknięto na klucz, książę rzekł:

— Coś miał do roboty — spytał — w pokoju księżnej, żeś tam zostawał do pierwszej, drugiej, a niekiedy czwartej rano?

Marceli zaprzeczył wszystkiemu; zawołano zbirów i zawieszono go; sznur wykręcił mu ramię; nie mogąc znieść bólu, prosił, aby go spuszczone; posadzono go na krześle; zaczął się wikłać w zeznaniach i sam nie wiedział, co mówi. Zawołano zbirów, którzy go podciągnęli na nowo; po długim czasie poprosił, aby go spuszczone.

— To prawda — rzekł — że wchodziłem do pokoju księżnej o tak późnej godzinie; ale to dlatego, że się kochałem z Dianą Brancaccio, damą dworu Jej Dostojności, której obiecałem małżeństwo i która przyzwoliła mi na wszystko z wyjątkiem rzeczy przeciwnych czci.

Odprowadzono Marceliego do więzienia; postawiono mu do oczu kapitana i Dianę, która zaprzeczyła wszystkiemu.

Następnie odprowadzono Marceliego do sali dolnej; kiedyśmy byli blisko drzwi, Marceli rzekł:

— Wasza Dostojność, książę pamięta, że przyrzekł mi darować życie, jeśli powiem całą prawdę. Nie trzeba mi brać na sznur, powiem wszystko.

Za czym zbliżył się do księcia i ledwie słyszalnym głosem wyznał, jako prawdą jest, że go księżna obdarzała swoimi względami. Na te słowa książę rzucił się na Marceliego i ugryzł go w policzek; po czym wydobył sztylet i ujrzałem, że chce ugodzić winnego. Rzekłem wówczas, że byłoby dobrze, aby Marceli napisał własną ręką to, co wyznał, i że to pismo posłużyłoby za usprawiedliwienie Jego Dostojności. Weszliśmy do sali, gdzie



znajdowały się przybory do pisania; ale sznur tak zranił Marcelego w ramię i w rękę, że zdołał tylko napisać te słowa: „Tak, zdradziłem mego pana; tak, skaląłem jego cześć!”

Książę czytał, w miarę jak Marceli pisał. W tej chwili rzucił się na Marcelego i zadał mu trzy ciosy sztyletem, które Marcelemu odjęły życie. Diana Brancaccio stała tam o trzy kroki, wpełzywa, i żałowała z pewnością tysiąc razy tego, co uczyniła.

— Kobieto niegodna swego szlachetnego urodzenia! — wykrzyknął książę — ty jedyna przyczyniła mojej hańby, nad którą pracowałeś, iżby ci służyła do twoich plugawych uciech! Musisz otrzymać nagrodę za wszystkie swoje zdrady.

To mówiąc, chwycił ją za włosy i przeciął jej gardło nożem. Nieszczęśliwa oddała strumień krwi i padła martwa.

Książę kazał rzucić oba trupy do kloaki wpodłe więzienia.

Młody kardynał Alfons Carafa, syn margrabiego Montebello, jedyny z całej rodziny, którego Paweł IV zachował przy sobie, uważał sobie za obowiązek opowiedzieć mu ten wypadek. Papież rzekł tylko te słowa:

— A z księżną co?

Sądzone powszechnie w Rzymie, że te słowa powinny spowodować śmierć nieszczęśliwej kobiety. Ale książę nie mógł się zdobyć na tę ofiarę, czy że księżna była brzemienna, czy z powodu nadzwyczajnej czułości, jaką niegdyś żywił dla niej.

W trzy miesiące po wielkim akcie cnoty, który spełnił święty papież, rozłączając się z całą rodziną, Paweł IV zachorzał<sup>64</sup> i po drugich trzech miesiącach choroby oddał ducha 18 sierpnia roku 1559.

Kardynał pisał list po liście do księcia Palliano, powtarzając mu bez ustanku, że ich honor wymaga śmierci księżnej. Dowiedziawszy się o śmierci stryja i nie wiedząc, jakie może być usposobienie nowego papieża, chciał, aby wszystko załatwiono w najkrótszym czasie.

Książę, człowiek prosty, dobry i o wiele mniej drażliwy od kardynała na punkcie honoru, nie mógł się zdobyć na straszliwą ostateczność, jakiej odeń wymagano. Powiadał sobie, że on sam nieraz sprzeniewierzył się księżnej, i to nie zadając sobie najmniejszego trudu, aby się ukrywać, i że te jego zdrady mogły kobietę tak dumną pchnąć do zemsty. Kardynał, jeszcze w chwili gdy miał się udać na konklawe, po wysłuchaniu mszy i przyjęciu komunii świętej napisał do brata, że go dręczy ta ustawiczna zwłoka i że jeśli książę nie uczyni wreszcie zadość honorowi rodziny, on, kardynał, zaklina się, że nie będzie się już mieszał do jego spraw ani też nie będzie się starał być mu użytecznym w czasie konklawe ani u nowego papieża. Może inna racja, obca sprawom honoru, przyczyniła się do decyzji księcia. Mimo że księżnę strzeżono pilnie, znalazła podobno sposób, aby uwiadomić Marka Antoniego Colonnę, zawziętego wroga księcia (z przyczyny księstwa Palliano, które mu książę był zagarnął), że jeśli Marek Antoni zdoła jej ocalić życie i oswobodzić ją, ona w zamian wyda mu fortecę Palliano, nad którą dowództwo ma człowiek jej oddany.

28 sierpnia roku 1559 książę posłał do Gallese dwie kompanie żołnierzy. Trzydziestego D. Leonard del Cardine, krewny księcia, i D. Ferrant, hrabia d'Aliffè, brat księżnej, przybyli do Gallese i udali się do pokoju księżnej, aby ją zgładzić. Oznajmili jej śmierć, przyjęła tę wiadomość bez żadnego wzruszenia. Chciała się przedtem wypowiedzieć i wysłuchać mszy świętej. Kiedy następnie ci dwaj panowie zbliżyli się do niej, zauważyła, że nie są zgodni z sobą. Spytała, czy jest rozkaz księcia na to, aby ją zgładzić.

— Tak, pani — odparł D. Leonard.

Księżna życzyła sobie ujrzeć rozkaz, D. Ferrant pokazał go jej.

(Znajduję w procesie księcia Palliano zeznania mnichów, którzy byli świadkami tego okropnego wydarzenia. Te zeznania są o wiele jaśniejsze niż zeznania innych świadków, co pochodzi, jak sądzę, stąd, że zakonnicy mogli zeznawać przed sądem bez lęku, gdy inni świadkowie byli mniej lub więcej współnikami swego pana.)

Brat Antoni z Pawii, kapucyn, tak zeznawał:

— Po mszy, podczas której księżna przyjęła pobożnie świętą komunię i podczas gdyśmy ją krzepili słowy, hrabia d'Aliffè, brat księżnej pani, wszedł do pokoju ze sznurem i z leszczynowym prętem, grubym na palec, a może na pół łokcia długim. Zakrył oczy księżnej chustką, którą ona z zupełnym spokojem zasunęła bardziej na oczy, aby go nie

Śmierć bohaterska

<sup>64</sup>zachorzeć (daw.) — dziś: zachorować.

widzieć. Hrabia założył jej sznur na szyję; ale ponieważ niedobrze przylegał, zdjął go i od-  
dalił się o kilka kroków; księżna słysząc, że odchodzi, zdjęła chusteczkę z oczu i rzekła:

— I co? Cóż się dzieje?

Hrabia odpowiedział:

— Sznur nie przylegał dobrze, pójdę po inny, abys się nie męczyła.

To mówiąc wyszedł; niebawem wrócił do pokoju z innym sznurem, zakrył jej na nowo  
chusteczką oczy, założył sznur na szyję, wsunął pręt w pętlę i zakręciwszy udusił ją. Przez  
cały czas księżna zachowywała się tak jak przy zwyczajnej rozmowie.

Brat Antoni z Salazar, drugi kapucyn, kończy zeznanie w te słowa:

— Chciałem wyjść z pokoju przez skrupuł sumienia, aby nie patrzeć na jej śmierć;  
ale księżna rzekła: „Nie odchódź stąd, na miłosierdzie nieba”.

Tu mnich przytacza okoliczności śmierci, ściśle tak, jak je tu podaliśmy. Dodaje:

— Umarła jak dobra chrześcijanka, powtarzając często: „Wierzę, wierzę”.

Dwaj mnisi, którzy widocznie otrzymali od swoich przełożonych upoważnienie, po-  
wtarzają w zeznaniach, że księżna wciąż upewniała o swej zupełnej niewinności we wszyst-  
kich rozmowach z nimi, przy każdej spowiedzi, a zwłaszcza na spowiedzi przed mszą, przy  
której przyjęła świętą komunię. Jeśli była winna, wrodzona duma musiała ją wtrącić do  
piekła.

W czasie konfrontacji brata Antoniego z Pawii, kapucyna, z D. Leonardem del Car-  
dine braciszek rzekł:

— Towarzysz mój zwrócił uwagę hrabiego, że godziłoby się zaczekać, aż księżna zle-  
gnie<sup>65</sup>; jest w szóstym miesiącu ciąży — dodał — nie trzeba gubić duszy młodego nie-  
szczęśnika, którego nosi w łonie, trzeba go móc ochrzcić.

Na co hrabia d'Aliffé odpowiedział:

— Wiesz, że mam jechać do Rzymu, nie chcę się tam jawić z tą maską na twarzy (z  
tą zniewagą nie pomszczoną).

Ledwie księżna wyzionęła ducha, dwaj kapucyni nalegali, aby bezzwłocznie otworzono  
ciało dla ochrzczenia dziecka, ale hrabia ani D. Leonard nie dali ucha ich prośbom.

Nazajutrz księżnę pogrzebano w miejscowym kościele z niejaką uroczystością (czyta-  
łem protokół). Wydarzenie to, o którym wieść rozeszła się niebawem, nie zrobiło zbyt-  
niego wrażenia, spodziewano się go od dawna; niejednokrotnie już głoszono o tej śmierci  
w Galliese i Rzymie. Zresztą mord poza obrębem miasta i w chwili wakansu stolicy apo-  
stolskiej nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Konklawe, które nastąpiło po śmierci  
Pawła IV, było bardzo burzliwe i trwało nie mniej niż cztery miesiące.

26 grudnia 1559 roku biedny kardynał Carlo Carafa musiał przyczynić się do wyboru  
kardynała popieranego przez Hiszpanię, tym samym niezdolnego odmówić żadnych kro-  
ków, których Filip II zażądałby przeciw temuż kardynałowi Carafa. Nowo obrany papież  
przybrał miano Piusa IV.

Gdyby kardynał nie był na wygnaniu w chwili śmierci stryja, byłby się stał panem  
wyboru lub bodaj mógłby zapobiec wyborowi wroga.

Wkrótce potem uwięziono kardynała, zarówno jak księcia; najwidoczniej Filip II wy-  
dał wyrok na nich. Mieli odpowiadać na czternaście punktów oskarżenia. Przesłuchano  
wszystkich, którzy mogli oświetlić tych czternaście punktów. Proces ten, bardzo ściśle  
przeprowadzony, tworzy dwa tomy *in folio*, które przeczytałem z zajęciem, ponieważ spo-  
tyka się tam na każdej stronicy rysy obyczajowe, których historycy nie uznali za godne  
majestatu historii. Znalazłem tam malownicze szczegóły dotyczące usiłowań morderstwa,  
skierowanych przez partię hiszpańską przeciw kardynałowi Carafa, wówczas wszechwład-  
nemu ministrowi.

Zresztą jego i brata skazano za zbrodnie, które nie były zbrodniami dla nikogo innego,  
na przykład za to, że uśmiercili kochanka niewiernej żony i samą żonę. W kilka lat później  
książę Orsini zaślubił siostrę wielkiego księcia Toskanii, posądził ją o niewierność i kazał  
ją otruć w samejże Toskanii za zgodą wielkiego księcia, jej brata, i nigdy nie poczytano  
mu tego za zbrodnię. Wiele księżniczek z domu Medyceuszów zginęło w ten sposób.

Kiedy ukończono proces dwóch Carafa, sporządzono długi wyciąg, który na kilka  
zawodów rozpatrywano na radzie kardynałów. Aż nadto jasne jest, iż z chwilą gdy raz po-

Okrucieństwo, Cięża,  
Honor

Obyczaje, Sprawiedliwość

<sup>65</sup>zlec (daw.) — odbyć poród, urodzić dziecko.

stanowiono skarać śmiercią mord, który był pomstą za cudzołóstwo — występki, którym trybunały nie zaprzętały się nigdy — kardynał winien był, iż naglił brata do zbrodni, jak książę winien był, że ją kazał wykonać.

3 marca 1561 roku papież Pius IV zwołał konsystorz, który trwał osiem godzin i z końcem którego wydał wyrok na obu Carafa w tych słowach: „*Prout in schedula*” (niech się stanie wedle żądania).

Następnego nocy prokurator posłał do więzienia św. Anioła *bargella*, iżby wykonał wyrok na dwóch braciach, Karolu, kardynale Carafa, i Janie, księciu Palliano; i tak się stało. Najpierw zajęto się księciem. Przeniesiono go z Zamku św. Anioła do więzienia Tordinone, gdzie wszystko było przygotowane; tam księciu, hrabiemu d'Aliffé i D. Leonardowi del Cardine ucięto głowy.

Książę zniósł tę straszliwą chwilę nie tylko jak szlachcic wysokiego rodu, ale jak chrześcijanin gotowy ścierpieć wszystko dla miłości Boga. Przemawiał pięknymi słowy do towarzyszy, aby ich umocnić w chwili śmierci, następnie napisał do syna<sup>66</sup>.

*Bargello* wrócił do Zamku św. Anioła, aby oznajmić śmierć kardynałowi Carafa, dając mu jedynie godzinę na przygotowanie się. Kardynał okazał wielkość duszy wyższą jeszcze od brata, ile że wyrzekł mniej słów: słowa są zawsze szukaniem siły poza sobą samym. Kiedy mu oznajmiono straszliwą wieść, usłyszano tylko, iż wymówił szeptem te słowa:

— Więć śmierć! O papieżu Piusie! O królu Filipie!

Wyspowiadał się; odmówił siedem psalmów pokutnych, po czym usiadł na krześle i rzekł do kata:

— Rób swoje.

Kat udusił go sznurem jedwabnym; sznur pękł, trzeba było zaczynać drugi raz. Kardynał spozjrzał na kata, nie racząc wyrzec słowa.

Dopisano później:

W niewiele lat potem papież Pius V kazał przejrzeć proces i unieważnił go; kardynała i jego brata wrócono do czci, a generalnego prokuratora, który najbardziej przyczynił się do ich śmierci, powieszono. Pius V nakazał zniszczenie aktów procesu; wszystkie kopie istniejące w bibliotekach spalono, zabroniono przechowywać je pod kłatwą; ale papież zapomniał o tym, że ma kopię procesu we własnej bibliotece. Jakoż wedle tej kopii sporządzono wszystkie odpisy, które dziś istnieją.

---

<sup>66</sup>Książę [...] napisał do syna — Pan Sismondi, uczony, pogmatwał całą tę historię. Patrz artykuł „Carafa” w *Biografii* Michauda; wydaje mu się, że to hrabiemu Montorio ścięto głowę w dniu śmierci kardynała. Hrabia był ojcem kardynała i księcia Palliano. Uczony historyk wziął ojca za syna. [przypis autorski]

## VANINA VANINI ALBO SZCZEGÓŁY OSTATNIEJ VENDITA<sup>67</sup> KARBONARIUSZY ODKRYTEJ W PAŃSTWIE PAPIESKIM

Było to pewnego wieczoru na wiosnę roku 182... Cały Rzym był poruszony: książę de B., słynny bankier, wydawał bal w swoim nowym pałacu na Placu Weneckim. Wszystko, co sztuka włoska, co zbytek Paryża i Londynu mogą wydać najwspanialszego, zgromadzono dla upiększenia tego pałacu. Tłok był ogromny. Jasnowłose i skromne piękności arystokratycznej Anglii ubiegały się o zaszczyt obecności na tym balu; przybywały tłumnie. Najpiękniejsze kobiety rzymskie walczyły z nimi o palmę piękności. Młoda dziewczyna, w której blask oczu i heban włosów zdradzały rzymiankę, weszła prowadzona przez ojca; wszystkie spojrzenia biegnęły za nią. Szczególna duma widniała w każdym jej ruchu.

Wchodząc, cudzoziemcy olśnieni byli wspaniałością tego balu. „Festyn żadnego z królów Europy — mówili — ani się nie umył do tego.”

Uroda, Prestiż

Królowie nie mieszkają w cudach architektury rzymskiej; obowiązani są zapraszać wielkie damy swego dworu, książę de B. prosi tylko ładne kobiety. Tego wieczora miał szczęśliwą rękę w swoich zaproszeniach; mężczyźni byli olśnieni. Wśród tych niepospolitych kobiet trzeba było wybierać, która jest najpiękniejsza; wybór był jakiś czas nie rozstrzygnięty, ale w końcu obwołano królową balu księżniczkę Vaninę Vanini, ową młodą dziewczynę o czarnych włosach i płomiennym oku. Natychmiast cudzoziemcy i młodzi rzymianie, opuszczając inne salony, napłynęli cizbą tam, gdzie ona była.

Ojciec jej, książę Hasdrubal Vanini, życzył sobie, aby najpierw przetańczyła z kilkoma panującymi niemieckimi. Następnie przyjęła zaproszenie paru Anglików, bardzo pięknych i bardzo dobrze urodzonych; sztywne ich miny znudziły ją. Zdawało się, że więcej znajduje przyjemności w dręczeniu młodego Livia Savelli, który wyglądał na wielce zakochanego. Był to najświetniejszy młodzieniec w Rzymie i co więcej, on też był księciem; ale gdyby mu dano do przeczytania powieść, rzuciłby książkę po dwudziestej stronie, powiadając, że go od czytania głowa boli. W oczach Vaniny była to wada.

Okolo północy rozeszła się po sali balowej wiadomość, która sprawiła pewne wrażenie. Młody karbonariusz<sup>68</sup> zamknięty w Zamku św. Anioła umknął tegoż wieczora w przebraniu; przez wybryk romantycznego zuchwalstwa, mijając ostatnie warty, natarł na żołnierzy ze sztyletem; ale sam odniósł ranę, zbiry goniły go śladami krwi i była nadzieja, że go pochwyca.

Podczas gdy opowiadano tę historyjkę, Livio Savelli, olśniony wdziękiem i powodzeniem Vaniny, z którą właśnie przetańczył, szepnął, odprowadzając ją na miejsce, oszalały niemal z miłości:

— Powiedz, pani, kogo byłabyś zdolna pokochać?

— Tego młodego karbonariusza, który uciekł — odpowiedziała mu Vanina. — Ten przynajmniej zrobił coś więcej niż to, że raczył się urodzić.

Książę Hasdrubal zbliżył się do córki. Jest to bogaty człowiek; od dwudziestu lat nie policzył się ze swoim intendentem, który mu pożycza jego własne dochody na bardzo wysoki procent. Kto by go spotkał na ulicy, wziąłby go za starego aktora; nie zauważyłby, że książę ma na palcach kilka olbrzymich pierścieni zdobnych dużymi diamentami. Dwaj jego synowie wstąpili do jezuitów, a potem zmarli w oblężeniu. Zapomniał ich; ale gryzie się tym, że jego jedyna córka, Vanina, nie chce iść za mąż. Ma już dziewiętnaście lat, a odrzuca najświetniejsze partie. Jaka przyczyna? Ta sama, która skłoniła Sullę do abdykacji, *wzgarda dla Rzymian*.

Nazajutrz po balu Vanina zauważyła, że ojciec jej, człowiek najbardziej niedbały pod słońcem, który w życiu nie zadał sobie tego trudu, aby użyć klucza, zamyka starannie drzwiczki od schodków wiodących na trzecie piętro pałacu. Okna wychodzą tam na terasę obsadzoną pomarańczami. Vanina odbyła kilka wizyt na mieście; za powrotem główna brama była zastawiona przygotowaniami do iluminacji, powóz wjechał tedy przez tylne podwórze. Vanina podniosła oczy i ujrzała ze zdziwieniem, że jedno okno w apartamencie,

<sup>67</sup>*Vendita* — komórka organizacyjna karbonariuszy.

<sup>68</sup>*karbonariusz* — spiskowiec w XIX-wiecznych Włoszech, członek tajnego stowarzyszenia wrogiego monarchii absolutnej.

który ojciec zamknął tak troskliwie, jest otwarte. Uwolniła się od swej damy, weszła na poddasze i póty szukała, aż znalazła zakratowane okienko wychodzące na terasę strojną pomarańczami. Owo otwarte okno, które zauważyła, było tuż. Bez wątpienia w pokoju ktoś mieszkał; ale kto? Nazajutrz Vanina zdołała się wystarać o klucz od drzwiczek wychodzących na terasę z pomarańczami.

Podeszła na palcach do okna, które było jeszcze otwarte. Żaluzje pozwalały jej zostać nie spostrzeżoną. W pokoju było łóżko, ktoś leżał w tym łóżku. Pierwszym jej odruchem było cofnąć się; ale spostrzegła suknię kobiecą rzuconą na krzesło. Przyglądając się bliżej osobie spoczywającej na łóżku ujrzała, że jest to blondynka, jak się zdawało, bardzo młoda. Nie wątpiła już, że to kobieta. Suknia rzucona na krzesło była zakrwawiona; była też krew na damskich trzewikach stojących na stole. Nieznajoma poruszyła się; Vanina spostrzegła, że jest ranna. Szeroka opaska płócienna splamiona krwią okrywała jej pierś; opaska ta była umocowana jedynie za pomocą wstążek: to nie ręka chirurga założyła ją. Vanina zauważyła, że co dzień koło czwartej ojciec zamyka się w swoich pokojach, a potem zachodzi do nieznajomej; niebawem wraca i siada do powozu, aby udać się do hrabiny Vitteleschi. Skoro tylko odjechał, Vanina biegła na terasę, skąd mogła widzieć nieznajomą. Owa młoda kobieta, tak bardzo nieszczęśliwa, żywo przemawiała do jej wyobraźni; Vanina siliła się odgadnąć jej dzieje. Zakrwawiona suknia, rzucona na krzesło, nosiła ślady jak gdyby pchnięć sztyletu; Vanina mogła policzyć jej dziury. Jednego dnia ujrzała nieznajomą wyraźnie: błękitne jej oczy tonęły w niebie, zdawała się pogrążona w modlitwie. Niebawem łzy napełniły jej piękne oczy; młoda księżniczka ledwie mogła się wstrzymać, aby do niej nie zagadać. Nazajutrz Vanina odważyła się ukryć na terasie przed przybyciem ojca. Ujrzała don Hasdrubala, jak wchodził do nieznajomej; niósł koszyk, a w nim zapasy. Książę miał minę niespokojną, mówił niewiele. Szeptał tak cicho, że mimo iż okno było otwarte, Vanina nie mogła dosłyszeć, co mówi. Wkrótce wyszedł.

— Musi ta biedna kobieta mieć bardzo groźnych wrogów — pomyślała Vanina — skoro ojciec, z natury tak beztroski, nie śmie się zwierzyć nikomu i zadaje sobie trud wspinania się co dzień na poddasze.

Pewnego wieczora, kiedy Vanina wysuwała ostrożnie głowę ku oknu nieznajomej, spotkała jej oczy; wszystko się wydało. Vanina padła na kolana i krzyknęła:

— Kocham panią i chcę ci być pomocna!

Nieznajoma dała znak, aby weszła.

— Jakże winnam panią przeproszać! — wykrzyknęła Vanina — moja głupia ciekawość musi się pani wydać niedelikatna! Przysięgam ci tajemnicę i jeśli zażadasz, nie wrócę tu nigdy.

— Któż mógłby nie czuć się szczęśliwy, oglądając panią! — rzekła nieznajoma. — Czy mieszkasz w tym pałacu?

— Oczywiście! — odparła Vanina. — Ale widzę, że pani mnie nie zna: jestem Vanina, córka don Hasdrubala.

Nieznajoma objęła ją zdumionym spojrzeniem, zaczerwieniła się mocno, po czym dodała:

— Racz pani użyć mi nadziei, że będziesz mnie odwiedzała co dzień; ale chciałabym, aby książę nie wiedział nic o tych odwiedzinach.

Serce biło Vaninie jak młotem; zachowanie się nieznajomej uderzyło ją swą szlachetnością. Biedna kobieta musiała się z pewnością narazić jakiemuś potężnemu człowiekowi; może w przystępie zazdrości zabiła kochanka? Vanina nie dopuszczała myśli, aby jej niedole mogły mieć jakąś pospolitą przyczynę. Nieznajoma odpowiedziała, że ją zraniono w ramię; rana sięgała aż do piersi i dokuczała jej mocno. Często miała usta pełne krwi.

— I nie ma tu chirurga! — wykrzyknęła Vanina.

— Wiadomo pani, że w Rzymie — odparła nieznajoma — chirurg winien jest policji wierny raport z każdej rany, którą ma w leczeniu. Książę raczy sam opatrywać moje rany tą bielizną.

Nieznajoma z doskonałym wdziękiem unikała wszelkiego roztkliwiania się nad swoim wypadkiem; Vanina szalała już za nią. Jedno tylko zdziwiło młodą księżniczkę, a mianowicie, iż w trakcie rozmowy, niewątpliwie bardzo poważnej, nieznajoma z trudem zdołała powściągnąć nagłą ochotę do śmiechu.

— Byłabym szczęśliwa — rzekła Vanina — gdybym mogła znać twoje imię.

— Zowią mnie Klementyna.  
— A więc, droga Klementyno, jutro o piątej przyjdę cię odwiedzić.  
Nazajutrz Vanina znalazła nową przyjaciółkę w bardzo złym stanie.  
— Sprowadzę ci chirurga — rzekła Vanina, ściskając ją.  
— Raczej wolalabym umrzeć — odparła nieznajoma. — Czyż mogłabym narazić moich dobroczyńców?

— Chirurg pana Savelli-Catanzara, gubernatora Rzymu, jest synem jednego z naszych służących — odparła żywo Vanina. — Jest nam oddany, a dzięki swojej pozycji nie lęka się nikogo. Ojciec mój nie docenia jego wierności; poślę po niego.

— Nie chcę chirurga! — wykrzyknęła nieznajoma z gwałtownością, która zdumiała Vaninę. — Przychodź do mnie, a jeśli Bóg zechce mnie powołać do siebie, umrę szczęśliwa w twoich ramionach.

Nazajutrz stan nieznajomej pogorszył się.

— Jeśli mnie kochasz — rzekła Vanina na rozstaniu — zgodzisz się przyjąć chirurga.

— Jeżeli się zgodzę, szczęście moje pierzchnie.

— Poślę po niego — odparła Vanina.

Nic nie mówiąc, nieznajoma zatrzymała ją; ujęła rękę młodej dziewczyny i okryła ją pocałunkami. Nastąpiło długie milczenie, nieznajoma miała łzy w oczach. Wreszcie puściła rękę Vaniny i rzekła z wyrazem takim, jak gdyby szła na śmierć:

— Mam pani coś wyznać. Przedwczoraj skłamałam, mówiąc, że się nazywam Klementyna: jestem nieszczęśliwy *carbonaro*.

Vanina, zdumiona, cofnęła się z krzesłem i zaraz wstała.

— Czuję — ciągnął karbonariusz — że to wyznanie doprowadzi mnie do utraty jedynego skarbu, który trzyma mnie przy życiu, ale byłoby niegodne oszukiwać panią. Nazywam się Pietro Missirilli, mam dziewiętnaście lat; ojciec mój jest biednym chirurgiem w St. Angelo in Vado; ja jestem karbonariuszem. Odkryto naszą schadzkę; powleczono mnie w kajdanach z Romanii do Rzymu. Wtrącono do kaźni, gdzie lampka płonęła dniem i nocą, spędziłem tam trzynaście miesięcy. Litościwa dusza zapragnęła mnie ocalić. Przebrano mnie za kobietę. Kiedy wychodziłem z więzienia i mijałem strażę przy ostatniej bramie, usłyszałem, jak jeden z żołdaków przeklina karbonariuszy; dałem mu policzek. Zaręczam pani, to nie była czcza fanfaronada, ale roztargnienie. — Ścigany w nocy przez ulice po tym niebaczny kroku, zraniony bagnetem, tracąc już siły, wpadam do jakiegoś domu przez otwartą bramę. Słyszę kroki żołnierzy — tuż za sobą, skaczę w ogród, padam o kilka kroków od kobiety, która się przechadza.

— Hrabina Vitteleschi, przyjaciółka mego ojca! — rzekła Vanina.

— Jak to, powiedziała to pani? — wykrzyknął Missirilli. — Tyle wiem, że ta dama, której nazwisko nigdy nie powinno wyjść z moich ust, ocaliła mi życie. W chwili gdy żołnierze wpadli do domu, aby mnie pochwytać, ojciec pani uprowadził mnie w swoim powozie. Czuję się bardzo źle; od kilku dni to pchnięcie bagnetem nie daje mi oddychać. Umrę, i umrę w rozpacz, skoro tym samym przestanę panią widywać.

Vanina słuchała niecierpliwie i szybko wyszła. Missirilli nie znalazł w tych pięknych oczach żadnego współczucia, jedynie wyraz obrażonej dumy.

W nocy zjawił się chirurg; był sam. Missirilli był w rozpacz, lękał się, że już nie ujrzy Vaniny. Próbował pytać chirurga, ale ten puścił mu krew i nie odpowiedział nic. Toż samo milczenie następnych dni. Czy Pietra nie opuszczały terasy, którą Vanina zwykła była wchodzić; był bardzo nieszczęśliwy. Jednego dnia, koło północy, zdawało mu się, że widzi jakiś cień na terasie; czy to była Vanina?

Co noc Vanina przychodziła i przyciskała twarz do szyby w oknach młodego *carbonaro*. „Jeśli doń przemówię — powiadała sobie — jestem zgubiona! Nie, nigdy już nie powinnam go ujrzeć!”

Powziąwszy to postanowienie, przypomniała sobie mimo woli sympatię, jaką zapłonęła do tego młodzieńca, kiedy tak nedorzecznie brała go za kobietę. Po tak lubej zażyłości trzeba go zapomnieć! W chwili rozsądku Vanina była przerażona zmianami, jakie zaszły w jej pojęciach. Od czasu jak Missirilli wymienił swoje nazwisko, wszystko to, o czym zwykła myśleć, pokryło się jak gdyby mgłą, jawiło się już tylko w dali.

Tydzień nie upłynął, kiedy Vanina, blada i drżąca, weszła z chirurgiem do pokoju młodego *carbonaro*. Przyszła powiedzieć mu, że trzeba skłonić księcia, aby przysłał w swoje miejsce służącego. Nie została ani dziesięciu sekund; ale przez litość za kilka dni znów wróciła z chirurgiem. Jednego wieczora, mimo iż Missirilli czuł się o wiele lepiej i Vanina nie miała już powodu do obaw o jego życie, ośmieliła się przyjść sama. Na jej widok Missirilli omal nie oszalał ze szczęścia, ale starał się ukryć swą miłość; przede wszystkim chciał ocalić godność mężczyzny. Vaninę, która weszła ze splonionym czołem, lękając się wyznań miłosnych, zabiła z tropu szlachetna i pełna oddania, ale wolna od roztkliwień przyjaźni, z jaką ją przyjął. Odeszła, a on nie starał się jej zatrzymać.

Kiedy wróciła w kilka dni później, toż samo zachowanie się, te same zapewnienia głębokiego szacunku i wiekuiestej wdzięczności. Vanina nie tylko nie potrzebowała hamować uniesień młodego *carbonaro*, ale zaczęła się lękać, że ona jedna kocha. Ta tak dumna dotąd młoda dziewczyna gorzko czuła bezmiar swego szaleństwa. Udawała wesołość, nawet chłód, przychodziła rzadziej, ale nie mogła się przemóc, aby nie odwiedzać młodego chorego.

Missirilli, płonąć miłością, ale pomny swego niskiego urodzenia i swej godności, postanowił dać folgę uczuciom aż wtedy, gdy Vanina wytrwa tydzień bez widzenia go. Duma młodej księżniczki broniła się piędź po piędzi. „Ba! — powiedziała sobie wreszcie — jeżeli przychodzę do niego, to dla siebie, aby sobie sprawić przyjemność. Nigdy nie wyznam mu sympatii, jaką we mnie budzi.” Przesiadywała długo u Missirillego, który rozmawiał z nią tak, jak by to czynił wobec dwudziestu osób. Jednego wieczora, po dniu, przez który nienawidziła go i przyrzekała sobie być dlań jeszcze surowsza i chłodniejsza niż zwykle, powiedziała mu, że go kocha. Niebawem została jego kochanką.

Było to szaleństwo, ale trzeba wyznać, że Vanina czuła się zupełnie szczęśliwa. Missirilli nie myślał już o rzekomych obowiązkach godności, kochał tak, jak się kocha pierwszy raz w dziewiętnastym roku życia i we Włoszech. Miał wszystkie skrupuły najtkliwszej miłości; tak dalece, iż wyznał tej dumnej księżniczce podstęp, do którego się uciekł, aby obudzić jej miłość. Zdumiony był nadmiarem swego szczęścia. Cztery miesiące spłynęły bardzo szybko. Jednego dnia chirurg oznajmił, iż wraca wolność choremu. „Co mam począć? — pomyślał Missirilli. — Zostać ukryty u jednej z najpiękniejszych osób w Rzymie? A podli tyrani, którzy mnie trzymali trzynaście miesięcy w więzieniu bez słońca, będą pewni, że mnie złamali! Italio, jesteś naprawdę nieszczęśliwa, jeśli twoi synowie opuszczają cię tak łatwo!”

Vanina nie wątpiła, że największym szczęściem Pietra byłoby zostać na zawsze przy niej; zdawał się u szczytu marzeń; ale jedno powiedzenie generała Bonaparte rozlegało się ironicznie w duszy młodzieńca i dawało ton całemu jego stosunkowi do kobiet. Kiedy w roku 1796 generał Bonaparte opuszczał Brescję, ławnicy, którzy go odprowadzali do bram miasta, wspomnieli mu, iż mieszkańcy Brescji najbardziej kochają wolność w całych Włoszech. „Tak — odparł — lubią o tym opowiadać swoim kochankom.”

Missirilli oświadczył Vaninie dość nieswoim głosem:

— Skoro zapadnie noc, muszę wyjść z tego domu.

— Pamiętaj wrócić do pałacu przed świtem; będę czekała na ciebie.

— O świcie będę wiele mił za Rzymem.

— Wybornie — rzekła zimno Vanina — i dokąd się udasz?

— Do Romanii, zemścić się.

— Ponieważ jestem bogata — ciągnęła Vanina najspokojniej w świecie — mam nadzieję, że przyjmiesz ode mnie broń i pieniądze?

Missirilli popatrzył na nią bystro długą chwilę, po czym rzucił się w jej ramiona, mówiąc:

— Duszo mego życia, zapominam przy tobie o wszystkim, nawet o swoim obowiązku. Ale im twoje serce jest szlachetniejsze, tym bardziej powinnaś mnie zrozumieć.

Vanina płakała długo, w końcu postanowiono, że Pietro opuści Rzym aż pojutrze.

— Pietro — powiedziała doń nazajutrz — mówiłeś mi nieraz, że człowiek znany, na przykład książe rzymski, rozporządzający znacznymi sumami, mógłby oddać wielkie usługi sprawie wolności, gdyby Austria kiedy wplątała się gdzieś daleko w wielką wojnę.

— Z pewnością — odparł Pietro zdumiony.

— Posłuchaj zatem: jesteś dzielny człowiek, brak ci jedynie wysokiej pozycji; ofiaruję ci swoją rękę i dwieście tysięcy funtów renty. Podejmuję się uzyskać pozwolenie ojca.

Pietro rzucił się do jej stóp; Vanina jaśniała radością.

— Kocham cię bez pamięci — rzekł — ale jestem biednym sługą ojczyzny; im Włochy są nieszczęśliwsze, tym bardziej powinienem im zostać wierny. Aby uzyskać zezwolenie don Hasdrubala, trzeba lata całe odgrywać nader smutną rolę. Vanino, odmawiam.

Missirilli chciał spalić mosty tym słowem; czuł, że niebawem zbraknie mu odwagi.

— Moim nieszczęściem jest — wykrzyknął — że cię kocham bardziej niż życie, że opuścić Rzym jest dla mnie najstraszliwszą męką! Och, czemuż Włochy nie są wolne od barbarzyńców! Z jaką rozkoszą popłynąłbym z tobą do Ameryki.

Vanina złodowaciała. Ta odmowa jej ręki dotknęła jej dumę; ale niebawem rzuciła się w ramiona Missirillego.

— Nigdy nie wydałeś mi się godniejszy kochania! — wykrzyknęła. — Tak, mój chirurgu wiejski, jestem twoją na zawsze. Jesteś wielki człowiek, jak nasi dawni Rzymianie!

Wszelka myśl o przyszłości, wszelki mizerny głos rozsądku pierzchły; była to chwila doskonałej miłości. Skoro znów mogli zebrać myśli, Vanina rzekła:

— Przybędę do Romanii tuż za tobą i każę sobie przepisać kąpiele w Poretta. Zatrzymam się w zamku, który mamy w San Nicolo, niedaleko Forli...

— Tam spędzę życie z tobą! — wykrzyknął Missirilli.

— Ważyć się na wszystko, oto mój dzisiejszy los — odparła Vanina z westchnieniem. — Zgubię się dla ciebie, ale mniejsza... Czy będziesz mógł kochać dziewczynę zniesławioną?

— Czyż nie jesteś żoną moją — rzekł Missirilli — i to żoną ubóstwianą na wieki? Potrafię cię kochać i bronić.

Vanina musiała iść do gości. Zaledwie Missirilli został sam, własne postępowanie wydało mu się barbarzyństwem.

„Co to jest *ojczyzna*? — powiadał sobie. — To nie jest istota, której bylibyśmy winni wdzięczność za dobrodziejstwo, która byłaby nieszczęśliwa i mogła nas przeklinać, jeśli jej chyby. *Ojczyzna i wolność* to tak jak mój płaszcz; to rzecz, która mi jest pożyteczna, którą trzeba mi kupić, to prawda, o ile jej nie dostałem w spadku po ojcu; ale ostatecznie kocham ojczyznę i wolność, ponieważ te dwie rzeczy są mi użyteczne. Jeżeli nie mam z nimi co począć, jeżeli są dla mnie niby płaszcz w sierpniu, po co je kupować, i to za olbrzymią cenę? Vanina jest tak piękna, ma wyjątkowy urok! Będą jej nadskakiwali, zapomni o mnie. Gdzież jest kobieta, która by miała w życiu tylko jednego kochanka? Te książątka rzymskie, których mam za nic jako obywateli, mają tyle przewag nade mną! Muszą być bardzo mili. Och, jeśli odjadę, ona zapomni o mnie i stracę ją na zawsze!”

W nocy Vanina zaszła do niego; przyznał się jej do niepewności, w której tonął, oraz do roztrząsań, jakim pod wpływem miłości poddał wielkie słowo *ojczyzna*. Vanina czuła się bardzo szczęśliwa. „Gdyby musiał koniecznie wybierać między ojczyzną a mną — powiedziała sobie — dałby pierwszeństwo mnie.”

Zegar na sąsiedniej wieży wybił trzecią; nadchodziła chwila ostatecznego pożegnania. Pietro wyrwał się z objęć kochanki. Już schodził na dół, kiedy Vanina, wstrzymując łzy, rzekła z uśmiechem:

— Gdybyś znalazł opiekę u biednej wieśniaczki, czy nie uczyniłbyś nic, aby się odwdziżyć? Przyszłość jest niepewna, puszczasz się w drogę pośród swoich wrogów; daruj mi trzy dni przez wdzięczność, tak jakbym była biedną kobietą, aby mi zapłacić za opiekę.

Missirilli został. Wreszcie opuścił Rzym. Dzięki paszportowi kupionemu w zagranicznej ambasadzie dostał się do swoich. Była to wielka radość; myśleli, że nie żyje. Przyjaciele chcieli uczcić jego powrót sprzątnięciem jednego lub dwóch karabinierów (nazwa, jaką noszą żandarmi w państwie papieskim).

— Nie zabijajmy bez koniecznej potrzeby Włocha, który umie władać bronią — rzekł Missirilli. — Ojczyzna nasza nie jest wyspą jak szczęśliwa Anglia; brak żołnierzy nie pozwala nam się oprzeć interwencji królów Europy.

Wkrótce potem Missirilli, tropiony przez karabinierów, zabił ich dwóch z pistoletów, które mu dała Vanina. Nałożono cenę na jego głowę.

Vanina nie zjawiała się w Romanii; Missirilli sądził, że zapomniała o nim. Był to cios dla jego miłości własnej; zaczął wiele rozmyślać nad różnicą stanu, która go dzieli od ko-

Ojczyzna, Wolność, Miłość



chanki. W chwili roztkliwienia i żalu za minionym szczęściem powziął myśl, aby wrócić do Rzymu i zobaczyć, co robi Vanina. Ta szalona myśl miała już przeważać wszystko, co uważał za swój obowiązek, kiedy pewnego wieczora dzwon na górskim kościółku wydzwonił *Anioł Pański* w jakiś osobliwy sposób, tak jakby dzwonnik zapomniał się. Był to znak dla wendyty karbonariuszy, do której Missirilli wstąpił, przybywszy do Romanii. Tej samej nocy wszyscy znaleźli się w pewnej pustelni w lesie. Dwaj pustelnicy, uspieni przy pomocy opium, nie mieli najmniejszej świadomości celu, na jaki posłużył ich domek. Missirilli, który przybył tam bardzo smutny, dowiedział się, że naczelnika wendyty schwytano i że jego, zaledwie dwudziestoletniego młokosa, miano wybrać naczelnikiem wendyty, która liczyła mężczyzn więcej niż pięćdziesięcioletnich, spiskujących od czasu wyprawy Murata w 1815<sup>69</sup>. Dostępując tego nieoczekiwanego zaszczytu, Pietro uczył, że serce mu bije. Skoro został sam, postanowił nie myśleć już o młodej rzymiance, która o nim zapomniała, i poświęcić wszystkie swoje myśli powinności „oswobodzenia Włoch od barbarzyńców”<sup>70</sup>.

W dwa dni później Missirilli wyczytał w raporcie przyjazdów i odjazdów, jaki mu składano jako naczelnikowi wendyty, że księżniczka Vanina przybyła do zamku swego w San Nicolo. Wiadomość ta wniosła więcej zamętu niż radości w jego duszę. Próżno upewniał sam siebie o swej miłości do ojczyzny, przemagając się, aby nie pognać tegoż wieczora do zamku w San Nicolo; myśl o Vaninie, której się sprzeniewierzał, nie dała mu spełniać należycie obowiązków. Ujrzał ją nazajutrz; kochała go jak w Rzymie. Ojciec, który chciał ją wydać za mąż, opóźnił jej wyjazd. Przywiozła dwa tysiące cekinów. Ta nieoczekiwana pomoc wzmocniła powagę Missirilla w jego nowej roli. Zamówiono sztylety na Korfu; przekupiono przybocznego sekretarza legata, mającego ścigać karbonariuszy. W ten sposób zdobyto listę księży pełniących funkcje szpiegów rządowych.

W owej opoce dobiegła końca organizacja jednego z najmniej nierozsądnych spisków, o jakie pokuszono się w nieszczęsnej Italii. Nie będę tu wchodził w szczegóły, powiem tylko, że gdyby zamiar ten uwieńczyło powodzenie, Missirilli miałby prawo do sporej części chwały. Za jego sprawą kilka tysięcy spiskowców byłoby powstało na dany sygnał, czekając pod bronią przybycia wodzów. Stanowcza chwila zbliżała się, kiedy, jak zawsze się zdarza, uwięzienie wodzów udaremniło spisek.

Ledwie przybywszy do Romanii, Vanina nabyła przeświadczenia, że miłość ojczyzny kazałaby jej kochankowi zapomnieć o wszelkiej innej miłości. Duma zakłócała w młodej rzymiance. Na próżno usiłowała być rozsądną; popadła w melancholię; spostrzegła się, iż przeklina wolność. Jednego dnia, kiedy przybyła do Forli, aby się widzieć z Missirillim, nie mogła opanować męki, którą dotąd duma jej zawsze umiała zawładnąć.

— Doprawdy — rzekła — ty mnie kochasz po małżeńsku; to mi wcale nie wystarcza.

Rozplakała się; ale to ze wstydu, że się zniżyła do wyrzutów. Missirilli uspokajał ją z widocznym roztargnieniem. W tej chwili Vanina powzięła myśl, aby go opuścić i wrócić do Rzymu. Znajdowała okrutną radość w tym, aby się ukarać za słabość, która przez nią przemówiła. Po krótkim milczeniu postanowienie jej dojrzało; uważała się za niegodną swego kochanka, gdyby go nie opuściła. Cieszyła się bolesnym zdumieniem, kiedy jej będzie na próżno szukał dokoła siebie. To znowuż myśl, że nie może uzyskać miłości człowieka, dla którego uczyniła tyle szaleństw, roztkliwiła ją głęboko. Przerwała milczenie i robiła, co tylko mogła, aby zeń wydrzeć czulsze słowo. On mówił jej z roztargnioną twarzą rzeczy bardzo serdeczne; ale jakimś innym, o ileż głębszym akcentem brzmiał jego głos, gdy wykrzyknął z bólem, mówiąc o swoich zamiarach:

— *Och, jeśli ta sprawa się nie powiedzie, jeśli rząd odkryje ją znowu, rzucam już wszystko!*

Zdrada

Vanina siedziała bez ruchu. Od godziny czuła, że widzi swego kochanka ostatni raz. Te słowa rozświetliły złowrogim blaskiem jej duszę. Powiedziała sobie: „Karbonariusze dostali ode mnie kilka tysięcy cekinów; nikt nie będzie mógł wątpić o moim oddaniu.”

Kiedy Vanina zbudziła się z zadumy, rzekła do Pietra:

— Chcesz spędzić ze mną dwadzieścia cztery godziny w zamku San Nicolo? Dzisiejsze zebranie nie wymaga twej obecności. Jutro rano wybierzemy się w San Nicolo na

<sup>69</sup>od czasu wyprawy Murata w 1815 — Joachim Murat, król Neapolu, po upadku Napoleona dwukrotnie bez powodzenia usiłował odzyskać władzę i został rozstrzelany.

<sup>70</sup>oswobodzenia Włoch od barbarzyńców — „*Liberar l'Italia de' barbari*” (wł.), wyrażenie Petrarke z 1350 r., powtórzone później przez Juliusza II, Makiawela i hrabiego Alfieri. [przypis autorski]

przechadzkę; to uspokoi twoje nerwy i wróci ci zimną krew, której potrzeba ci w tym ważnym momencie.

Pietro zgodził się.

Vanina rozstała się z nim, aby się przygotować do podróży. Wedle zwyczaju zamknęła na klucz pokoik, w którym go ukryła.

Pobiegła do swej dawnej pokojówki, która opuściwszy służbę wyszła za mąż i otworzyła sklepik w Forli. Przybywszy do tej kobiety nakreśliła śpiesznie na marginesie książki do modlenia, którą znalazła w izdebce, dokładny opis miejsca, gdzie wendita karbonariuszy miała się zebrać tej nocy. Zakończyła denuncjację tymi słowy: „wendita składa się z dziewiętnastu członków; oto ich nazwiska i adresy.” Spisawszy listę bardzo dokładnie, opuściwszy jedynie nazwisko Pietra, powiedziała do tej kobiety, na której oddanie mogła liczyć:

— Zanieś tę książkę do kardynała-legata, niech przeczyta, co tu jest napisane, i niech ci odda książkę. Oto dla ciebie dziesięć cekinów; jeśli kiedykolwiek legat zdradzi twoje imię, śmierć twoja jest pewna; ale ocalisz mi życie, jeśli pokażesz legatowi kartkę, która skreśliłam.

Wszystko odbyło się cudownie. Strach legata sprawił, że zachował się nie po pańsku. Pozwolił kobiecie, która żądała posłuchania, zjawić się przed nim w masce, ale pod warunkiem, że ręce będzie miała związane. W ten sposób wprowadzono sklepikarkę przed oblicze dostojnika, który oszańcował się za olbrzymim stołem przykrytym zielonym sukniem.

Legat odczytał pismo zawarte w książce do modlenia, trzymając ją daleko od siebie, z obawy subtelnej trucizny. Oddał książkę sklepikarce i nie kazał jej śledzić. W niespełna trzy kwadranse po rozstaniu z kochankiem Vanina, ujrawszy, że jej dawna pokojówka wraca, pośpieszyła znów do Pietra, sądząc, iż odtąd posiadała go wyłącznie dla siebie. Oznajmiła mu, że w mieście jest niezwykle ruch; widać było patrole karabinierów w ulicach, gdzie nie zjawiały się nigdy.

— Posłuchaj mnie — dodała — jedźmy natychmiast do San Nicolo.

Missirilli zgodził się. Dostali się pieszo do powozu księżniczki, w którym jej duenia, dyskretna i dobrze opłacana powiernica, czekała o pół mili za miastem.

Znalazłszy się w zamku San Nicolo, Vanina, zaniepokojona swoim szalonym krokiem, zdwoiła tkliwość dla kochanka. Ale kiedy mu mówiła o swej miłości, miała uczucie, że gra komedię. Dzień przedtem, kiedy zdradzała, zapomniała o wyrzutach. Tuląc kochanka, powiadała sobie: „Wystarczy, by mu powiedziano jedno słowo, aby mnie znienawidził natychmiast i na zawsze.”

W nocy wszedł nagle do pokoju jeden ze służących Vaniny. Człowiek ten był karbonariuszem bez jej wiedzy: Missirilli miał wtedy dla niej tajemnice, nawet co do takich szczegółów. Zadrzała. Człowiek ten przyszedł ostrzec Pietra, że tej nocy otoczono w Forli domy dziewiętnastu karbonariuszy i uwięziono ich, w chwili gdy wracali z wendity. Mimo że ich zaskoczono niespodzianie, dziewięciu uciekło. Dziesięciu zdołali karabinierzy doprowadzić do cytadeli. Wchodząc, jeden z nich rzucił się w głęboką studnię i zabił się.

Vanina słuchała półprzytomna; szczęściem Missirilli nie zauważył tego, byłby wyczytał zbrodnię w jej oczach.

— W tej chwili — dodał służący — załoga Forli obstawiła sznurkiem wszystkie ulice. Żołnierz stoi od żołnierza tak blisko, że mogą z sobą rozmawiać. Mieszkańcom nie wolno przejść z jednej strony ulicy na drugą poza miejscem, gdzie stoi oficer.

Skoro ten człowiek wyszedł, Pietro zadumał się.

— Nic się nie da zrobić w tej chwili — rzekł wreszcie.

Vanina była wpółżywa; drżała pod spojrzeniem kochanka.

— Co się z tobą dzieje? — rzekł.

Po czym zaczął myśleć o czym innym i przestał na nią patrzeć. Około południa ośmieliła się rzec:

— Oto znów jedna wendita odkryta; sądzę, że na jakiś czas dasz temu pokój.

— Najzupełniej — odparł Missirilli z uśmiechem, od którego zadrzała.

Wybrała się z nieodzowną wizytą do proboszcza w San Nicolo, może szpiega jezuitów. Kiedy o szóstej wróciła na obiad, pokoik, w którym ukrywał się jej kochanek, był pusty.

Oszalała, jęła go szukać po całym domu; nie było go. Zrozpaczona wróciła do pokoiku, wówczas dopiero spostrzegła list; przeczytała:

Idę oddać się w ręce legata; zwątpiłem o naszej sprawie, niebo jest przeciw nam. Kto nas zdradził? Zapewne nędznik, który się rzucił do studni. Skoro życie moje jest bezpożyteczne dla biednych Włoch, nie chcę, aby moi towarzysze, widząc, że mnie jednego nie uwięziono, mogli sobie wyobrazić, że ich zdradziłem. Żegnaj! Jeśli mnie kochasz, myśl, jak mnie pomścić. Zgub, zdław nikczemnika, który nas zdradził, choćby to był mój ojciec.

Vanina padła na krzesło, współzemdlna i pogrążona w najstraszliwszej męce. Nie mogła wyrzec słowa; oczy jej były suche i płonące.

Padła na kolana:

— Wielki Boże! — krzyknęła — przyjmij mój ślub! Tak, skarzę nikczemnika, który zdradził; ale wprzód trzeba wrócić wolność Pietrowi.

W godzinę potem była w drodze do Rzymu. Od dawna ojciec nalegał, żeby wróciła. W czasie nieobecności Vaniny ułożono jej małżeństwo z księciem Liviem Savelli. Skoro tylko wróciła, ojciec wspominał jej o tym ze drżeniem. Ku jego wielkiemu zdziwieniu zgodziła się od pierwszego słowa. Tegoż samego wieczora u hrabiny Vitteleschi ojciec przedstawił jej prawie oficjalnie don Livia jako narzeczonego; rozmawiała z nim długo. Był to młodzieniec nader wytwornych manier i mający śliczne włosy; ale mimo że ceniono jego dowcip, uchodził za takiego lekkoducha, że nie był podejrzany w oczach rządu. Vanina pomyślała, że rozkochawszy go w sobie może w nim zyskać powolne narzędzie. Ponieważ był bratankiem monsignora Savelli-Catanzara, gubernatora rzymskiego i ministra policji, przypuszczała, że szpiegi<sup>71</sup> nie ośmielą się go śledzić.

Przez kilka dni Vanina obchodziła się z sympatycznym don Liviem bardzo łaskawie; po czym nagle oznajmiła mu, że nigdy za niego nie wyjdzie; nie można go, jej zdaniem, brać na serio.

— Gdybyś nie był dzieckiem — rzekła — zausznicy twego stryja nie mieliby dla ciebie tajemnic. Na przykład, co zamierza rząd uczynić z karbonariuszami ujętymi niedawno w Forli?

W dwa dni później don Livio oświadczył jej, że wszyscy karbonariusze ujęci w Forli umknęli. Spojrzała nań swymi wielkimi czarnymi oczyma z uśmiechem nieopisanej wzgardy i nie raczyła się doń odezwać cały wieczór. Na trzeci dzień don Livio wyznał jej, rumieniąc się, że go oszukano.

— Ale — rzekł — postarałem się o klucz od gabinetu stryja; dowiedziałem się z papierów, które tam znalazłem, że kongregacja (lub komisja), złożona z najwplywowszych kardynałów i prałatów zbiera się w największej tajemnicy i naradza się nad tym, czy należy sądzić tych karbonariuszy w Rawennie, czy w Rzymie. Dziewięciu karbonariuszy ujętych w Forli i ich herszt, niejaki Missirilli, który zrobił to głupstwo, że się sam wydał, znajdujący się w tej chwili w zamku San Leo<sup>72</sup>.

Na to słowo „głupstwo” Vanina uszczypnęła księcia z całych sił.

— Chcę sama — rzekła — widzieć te urzędowe papiery i dostać się z tobą do gabinetu stryja; musiałeś źle przeczytać.

Na te słowa don Livio zadrżał; Vanina żądała rzeczy prawie niemożliwej; ale oryginalność dziewczyny zdawała jego uczucie. W kilka dni później Vanina w męskim przebraniu, w zgrabnej liberii domu Savelli, mogła spędzić pół godziny, przewracając w najtajniejszych papierach ministra policji. Przebiegł ją dreszcz, kiedy znalazła dzienny raport dotyczący „obwinionego Pietra Missirilli”. Ręce jej drżały, gdy trzymała ten papier. Kiedy czytała to nazwisko, omal nie zemdląła. Wychodząc z pałacu gubernatora, Vanina pozwoliła, aby ją don Livio pocałował.

<sup>71</sup>szpiegi — dziś popr. forma: szpiedzy.

<sup>72</sup>w zamku San Leo — niedaleko w Romanii. W zamku tym zginął sławny Cagliostro; w okolicy opowiadają, że został uduszony. [przypis autorski]

Podstęp

— Dobrze — rzekła — wywiązałeś się z prób, którym cię pragnę poddać.

Po tym powiedzeniu młody książę podpalilby Watykan, aby się przypodobać Vaninie. Tego wieczora był bal u ambasadora francuskiego; tańczyła dużo i prawie wyłącznie z narzeczonym. Don Livio był pijany szczęściem, nie trzeba było dać mu ochłonać.

— Ojciec mój bywa niekiedy dziwny — rzekła pewnego dnia Vanina — wypędził dziś rano dwóch służących i przyszedł do mnie ze swymi lamentami. Jeden prosił mnie, aby go umieścić u pańskiego stryja, gubernatora rzymskiego; drugi, który służywał w artylerii u Francuzów, chciałby znaleźć miejsce w Zamku św. Anioła.

— Biorę ich obu do swojej służby — rzekł żywo młody książę.

— Czy ja o to pana proszę? — odparła dumnie Vanina. — Powtarzam panu dosłownie prośbę tych biednych ludzi; muszą uzyskać to, czego pragną, a nie co innego.

Rzecz była niesłychanie trudna. Monsignor Catanzara nie brał takich spraw lekko i wpuszczał do domu jedynie ludzi dobrze sobie znanych. Wśród tego życia wypełnionego na pozór ciągłą zabawą Vanina, dręczona wyrzutami, była bardzo nieszczęśliwa. Powolność, z jaką wlokły się wypadki, zabijała ją. Pełnomocnik ojca wystarał się jej o pieniądze. Czy miała opuścić dom ojcowski i udać się do Romanii, aby próbować uwolnić kochanka? Mimo całego szaleństwa tej myśli już miała ją wprowadzić w czyn, kiedy traf ulitował się nad nią.

Pewnego dnia don Livio oznajmił jej:

— Dziesięciu karbonariuszy z wendyty Missirillego przewiozą do Rzymu, z tym, że mają być po wyroku straceni w Romanii. Wuj mój uzyskał to u papieża dziś wieczór. Tylko my dwoje w całym Rzymie znamy tę tajemnicę. Czyś zadowolona?

— Robi się z ciebie mężczyzna — odparła Vanina — możesz mi ofiarować swój portret.

W wilię dnia, w którym Missirilli miał przybyć do Rzymu, Vanina znalazła jakiś pozor, aby udać się do Citta Castellana. W tym mieście nocują w więzieniu karbonariusze, których się przewozi z Romanii do Rzymu. Ujrzała Pietra rano, kiedy opuszczał więzienie; był skuty, sam na wózku; wydał się jej bardzo blady, ale zgoła nie złamany. Staruszka jakaś rzuciła mu bukietek fiołków; Missirilli podziękował uśmiechem.

Widok kochanka obudził w Vaninie wszystkie wspomnienia i skrzepił jej zapał. Od dawna obdarzyła szacownym wyróżnieniem księdza Cari, kapelana Zamku św. Anioła, gdzie miał się dostać jej kochanek; wzięła tego zacnego księdza na spowiednika. To byle co w Rzymie być spowiednikiem księżniczki, bratanicy gubernatora.

Proces karbonariuszy z Forli nie trwał długo. Aby się zemścić za ich sprowadzenie do Rzymu, któremu nie dało się zapobiec, stronnictwo ultra złożyło z najambitniejszych prałatów komisję, która ich miała sądzić. Przewodniczącym komisji był minister policji.

Prawo na karbonariuszy jest jasne, więźniowie z Forli nie mogli mieć żadnych złudzeń; mimo to bronili swego życia za pomocą wszystkich możliwych wybiegów. Sędziowie nie tylko skazali ich na śmierć, ale wielu z nich głosowało za okrutną kaźnią, ucięciem ręki etc. Ministrowi policji, którego kariera była zapewniona (miejsce to opuszcza się jedynie dla kapelusza kardynalskiego), nie zależało wcale na ucinaniu ręki; zaniósłszy wyrok papieżowi, uzyskał dla wszystkich skazanych złagodzenie kary na kilka lat więzienia. Wyłączony z tej łaski był jedynie Pietro Missirilli. Minister widział w tym młodym człowieku niebezpiecznego fanatyka, był już zresztą skazany na śmierć jako winny zabójstwa wspomnianych dwóch karabinierów. Vanina dowiedziała się o wyroku i o łasce w kilka chwil po powrocie ministra od papieża.

Nazajutrz monsignor Catanzara wrócił do swego pałacu koło północy i nie zastał pokojowca. Zdziwiony, zadzwonił kilkakrotnie; wreszcie zjawił się stary zidiociały sługa; minister, zniecierpliwiony, zdecydował się sam rozebrać. Zamknął drzwi na klucz; było bardzo gorąco: wziął suknie i rzucił je bezładnie na krzesło. Ubranie, rzucone zbyt silnie, przeleciało przez krzesło i potrafiło muslinową firankę przy oknie, pod którą zarysował się kształt człowieka. Minister skoczył żywo ku łóżku i pochwycił pistolety. Kiedy wracał do okna, bardzo młody człowiek, odziany w barwy jego domu, zbliżył się doń z pistoletem w ręku. Na ten widok minister podniósł pistolet; już miał strzelić. Młody człowiek rzekł, śmiejąc się:

— Jak to! Wasza Dostojność nie poznaje Vaniny Vanini?

— Co znaczy ten głupi żart? — odparł minister z gniewem.

— Mówmy rozsądnie — rzekła młoda dziewczyna. — Przede wszystkim pański pistolet nie jest nabity.

Zdumiony minister sprawdził; po czym wydobyl sztylet z kieszeni od kamizelki.<sup>73</sup>

Vanina rzekła z miną czarująco poważną:

— Siadajmy, Wasza Dostojność!

Siadła spokojnie na kanapie.

— Czy jesteś bodaj sama? — spytał minister.

— Najzupełniej sama, przysięgam! — wykrzyknęła Vanina.

Minister sprawdził prawdę tych słów, obszedł pokój i zajrzał wszędzie; po czym usiadł na krześle o trzy kroki od Vaniny.

— Jakież miałabym w tym interes — rzekła Vanina łagodnie i ze spokojem — aby się porywać na życie człowieka ludzkiego, którego miejsce zająłby prawdopodobnie jakiś osobnik słaby a zagorzały, zdolny zgubić siebie i drugih?

— Czegoż tedy pani sobie życzy? — rzekł minister oschle. — Ta scena jest nie na miejscu i nie powinna się przedłużać.

— To, co mam dodać — odparła Vanina wyniośle, porzucając nagle uprzejmy ton — ważniejsze jest dla pana niż dla mnie. Żądają, aby karbonariusz Missirilli wyszedł cało; jeżeli zginie, pan nie przeżyje go ani o tydzień. Nie mam w tym żadnego interesu; szaleństwo, które pana oburza, zrobiłam najpierw dlatego, aby się zabawić, a po wtóre, aby dopomóc jednej z moich przyjaciółek. Chciałam — dodała Vanina, odzyskując uprzejmy ton — chciałam oddać usługę dowcipnemu człowiekowi, który niebawem będzie moim wujem i który, jak wszystko pozwala się spodziewać, wysoko podniesie losy swej rodziny.

Minister porzucił wyraz niechęci; piękność Vaniny przyspieszyła zapewne tę nagłą zmianę. Znana jest w Rzymie słabość monsignora Catanzara do ładnych kobiet; Vanina zaś w swoim przebraniu za pokojowca domu Savelli, w obcisłych jedwabnych pończochach, w czerwonej kamizelce, w niebieskim fraczku ze srebrnymi galonami, z pistoletem w dłoni — była czarująca.

— Moja przyszła siostrzenico — rzekł minister prawie ze śmiechem — puszczasz się na wielkie szaleństwo i pewnie nieostatnie.

— Mam nadzieję, że osobistość tak roztropna — odparła Vanina — dochowa mi tajemnicę, zwłaszcza wobec don Livia; aby cię do tego zachęcić, drogi wujaszku, jeśli przyrzekniesz życie protegowanemu mojej przyjaciółki, dam ci całusa.

Tak wiodąc rozmowę w tonie wpółzartobliwym, w jakim damy rzymskie umieją załatwiać najważniejsze sprawy, Vanina zdołała nadać temu spotkaniu, zaczętemu z pistoletem w dłoni, charakter wizyty młodej księżnej Savelli u wuja swego, gubernatora Rzymu.

Niebawem monsignor Catanzara, odtrącając dumnie myśl, aby miał pozwolić coś sobie narzucić postrachem, zaczął tłumaczyć siostrzenicy trudności, z jakimi byłoby połączone ocalenie Pietra. Tak rozmawiając, minister przechadzał się z Vaniną po pokoju; wziął karafkę lemoniady, która stała na kominku, i napełnił kryształową szklanekę. W chwili gdy miał ją podnieść do ust, Vanina chwyciła ją i potrzyłszy jakiś czas, upuściła na ogród, niby przez roztrągnięcie. W chwilę potem minister wyjął czekoladową pastylkę z bombonierki; Vanina odebrała mu ją i rzekła, śmiejąc się:

— Uważaj, wujaszku, u ciebie wszystko jest zatrute; śmierć twoja była już postanowiona. To ja uzyskałam łaskę dla mego przyszłego wuja, aby nie wejść w rodzinę Savelli z próżnymi rękami.

Minister, wielce zdziwiony, podziękował bratanicy i uczynił jej nadzieję ocalenia Pietra.

— Dobiliśmy targu! — wykrzyknęła Vanina. — A oto na dowód nagroda — dodała, ściskając go.

<sup>73</sup>Zdumiony minister sprawdził; po czym wydobyl sztylet z kieszeni od kamizelki. — prałat rzymski byłby zapewne niezdolny dzielnie dowodzić korpusem armii, jak to się nieraz przydarzyło generałowi dywizji, który był ministrem policji w Paryżu w czasie zamachu Maleta; ale nigdy nie dałby się tak łatwo uwięzić u siebie w domu. Znadto by się bał drwin swoich kolegów. Rzymianin, który wie, że go nienawidzą, nie rusza się bez broni. Autor nie uważał za potrzebne usprawiedliwiać wielu innych drobnych różnic między sposobami działania i mówienia w Paryżu a w Rzymie. Nie silił się zacierać tych różnic; przeciwnie, sądził, że trzeba je śmiało wydobyc. Rzymianie, których maluje, nie mają być Francuzami [generałowi dywizji, który był ministrem policji — minister policji René de Rovigo był aresztowany przez uczestników spisku zorganizowanego w 1812 r. przeciwko Napoleonowi przez generała Claude Maleta; Red. WL]. [przypis autorski]

Minister przyjął nagrodę.

— Trzeba ci wiedzieć, droga Vanino — dodał — że ja nie lubię krwi. Zresztą, mimo że w twoich oczach mogę się wydawać stary, jestem jeszcze młody i mogę doczekać epoki, w której wylana dzisiaj krew będzie plamą.

Biła druga, kiedy monsignor Catanzara odprowadził Vaninę do furtki.

Kiedy w dwa dni później minister zjawił się u papieża, dość zakłopotany krokiem, który miał podjąć, Jego Świątobliwość rzekł:

— Przede wszystkim, kochany Catanzara, mam cię prosić o łaskę. Jednego z tych karbonariuszy z Forli skazaliście na śmierć, ta myśl nie daje mi spać; trzeba ocalić tego człowieka.

Minister widząc, że intencje papieża są stanowcze, zaczął wynajdywać trudności, wreszcie napisał dekret *motu proprio*, który papież wbrew zwyczajowi podpisał.

Vaninie przyszło na myśl, że zdobędzie może ulaskawienie dla swego kochanka, ale że go będą próbowali otruć. Już poprzedniego dnia Missirilli otrzymał od księdza Cari, swego spowiednika, kilka paczek sucharów z ostrzeżeniem, aby nie tykał pokarmów dostarczonych przez zarząd więzienia.

Dowiedziawszy się, że karbonariuszy forleńskich mają przewieźć do zamku San Leo, Vanina spróbowała ujrzeć Pietra po drodze, w Citta Castellana; przybyła do tego miasta na dobę przed więźniami; zastała tam księdza Cari, który ją poprzedził o kilka dni. Uzyskał u dozorca, że Missirilli będzie mógł wysłuchać mszy świętej o północy w kaplicy więziennej. Posunięto się dalej: jeżeli Missirilli zgodzi się, aby mu związano ręce i nogi łańcuchem, dozorca cofnie się aż do drzwi kaplicy, w ten sposób, aby wciąż widzieć jeńca, za którego jest odpowiedzialny, ale aby nie słyszeć, co będzie mówił.

Dzień, który miał rozstrzygnąć o losie Vaniny, nadszedł wreszcie. Od rana zamknęła się w kaplicy więziennej. Kto zdoła wyrazić myśli miotające nią w ciągu tego długiego dnia? Czy Missirilli kocha ją na tyle, aby przebaczyć? Wydała jego wenditę, ale ocaliła mu życie. Kiedy rozsądek brał górę w tej udręczonej duszy, Vanina miała nadzieję, że Pietro zgodzi się opuścić Włochy wraz z nią; jeśli zgrzeszyła, to z nadmiaru miłości. Wybiła czwarta; Vanina usłyszała z daleka na bruku łoskot kopyt końskich; to byli karabinierzy. Odgłos każdego kroku rozbrzmiewał w jej sercu. Niebawem poznała turkot wózków, na których jechali więźniowie. Zatrzymali się przed więzieniem; ujrzała, jak dwóch karabinierów dźwiga Pietra, który siedział sam na wózku w tak ciężkich kajdanach, że nie mógł się ruszać. „Żyje bodaj! — powiada sobie ze łzami w oczach — nie otruli go jeszcze!” Wieczór był okrutny; wysoko nad ołtarzem płonęła lampka, na której dozorca oszczędzał oliwy, i to było całe oświetlenie tej posępnej kaplicy. Oczy Vaniny błądziły po grobowcach jakichś średniowiecznych magnatów zmarłych w przyległym więzieniu. Posągi ich miały wyraz okrucieństwa.

Wszelkie odgłosy ustały od dawna; Vanina tonęła w czarnych myślach. Nieco po północy usłyszała szelest, lekki, niby lot nietoperza. Chciała podejść i padła wpółzemdlna u balustrady ołtarza. W tej samej chwili dwa widma znalazły się tuż przy niej, nie słyszała, kiedy przybyły. Byli to: dozorca i Missirilli, tak spętany kajdanami, że był niby w powijkach. Dozorca skierował latarkę, którą postawił na balustradzie koło Vaniny, tak aby dobrze widzieć więźnia. Następnie cofnął się aż do drzwi. Zaledwie dozorca się oddalił, Vanina rzuciła się na szyję Pietra. Tuląc go w ramionach, czuła jedynie zimne i ostre żelazo. „Kto go zakuł w te kajdany?” — pomyślała. Nie znajdowała żadnej rozkoszy, ściskając kochanka. Do tego bólu przyłączył się inny, dotkliwszy: sądziła chwilę, że Missirilli świadom jest jej zbrodni, tak powitanie jego było lodowate.

— Droga Vanino — rzekł wreszcie — boleję nad miłością, jaką w tobie zbudziłem; daremnie szukam w sobie zalet, które mogłyby cię nią natchnąć. Wróćmy, wierzaj<sup>74</sup>, do bardziej chrześcijańskich uczuć, zapomnijmy o złudzeniach, które nas niegdyś odurzyły. Nie mogę być twoim. Niestety, które prześladuje moje zamiary, pochodzi może ze stanu śmiertelnego grzechu, w jakim się wciąż znajduję. Gdyby nawet sądzić rzeczy ludzkim rozsądkiem: czemu nie uwieziono mnie wraz z przyjaciółmi owej nieszczęsnej nocy w Forli? Czemu w godzinie niebezpieczeństwa nie byłem na stanowisku? Czemu

<sup>74</sup>wierzaj — dziś popr. forma: wierz.

moja nieobecność mogła uprawnić najdotkliwsze podejrzenie? Hodowałem w sercu inną miłość niż miłość Włoch.

Vanina nie mogła ochłonąć ze zdumienia nad odmianą kochanka. Mimo iż nie wychudł zbytnio, wyglądał na lat trzydzieści. Vanina przypisywała tę zmianę złemu obęściu, jakie cierpiał w więzieniu; rozpląkała się.

— Och! — rzekła — dozorczy tak przyrzekali, że będą dla ciebie względni!

Faktem jest, iż w pobliżu śmierci wszystkie uczucia religijne, dające się pogodzić z gorącym pragnieniem oswobodzenia Włoch, zbudziły się w sercu młodego *carbonaro*. Stopniowo Vanina spostrzegła, że zdumiewająca odmiana, jaką znalazła w kochanku, jest natury czysto moralnej i bynajmniej nie wynika z fizycznych udręczeń. Bolesć jej, która zdawała się jej ostateczna, wzmożła się jeszcze.

Missirilli milczał; Vanina dławiała się od płaczu. Pietro dodał, sam nieco wzruszony:

— Jeżeli kochał coś na ziemi, to ciebie, Vanino, ale dzięki Bogu mam już tylko jeden cel w życiu: umrę w więzieniu lub starając się wrócić wolność Italii.

Znów zapadło milczenie; Vanina na próżno chciała przemówić, nie mogła. Missirilli dodał:

— Obowiązek jest okrutny, droga przyjaciółko; ale gdyby nie było nieco trudu w spełnieniu go, gdzież bohaterstwo? Daj mi słowo, że nie będziesz się starała mnie widzieć.

Wyciągnął rękę, na ile pozwalał na to dość ciasny łańcuch, i podał palce Vaninie.

— Jeśli zechcesz przyjąć radę od tego, który ci był drogi, wyjdź rozsądnie za mąż za dzielnego człowieka, którego ojciec ci przeznacza. Nie czyni mu żadnych niemiłych zwierzeń; ale z drugiej strony, nie staraj się widzieć ze mną; bądźmy odtąd obcy dla siebie. Wyłożyłaś znaczną sumę dla służby ojczyzny; jeśli kiedy uwolni się od swoich tyranów, suma ta będzie ci spłacona w dobrach narodowych.

Vanina była zmiażdżona. Kiedy Pietro do niej mówił, oko jego błysło na chwilę jedynie przy słowie „ojczyzna”.

Wreszcie дума przyszła z pomocą młodej księżniczce. Zaopatrzyła się w diamenty i ostre piłki; nie odpowiadając Pietrowi, podała mu je.

— Przyjmuję z obowiązku — rzekł — powinienem bowiem starać się umknąć; ale nie ujrzę cię nigdy; przysięgam to w obliczu twych nowych dobrodziejstw. Żegnaj, Vanino! Przyrzeknij mi, że nigdy nie będziesz do mnie pisywać, nigdy nie będziesz się starała mnie widzieć; zostaw mnie całego ojczyźnie, umarłem dla ciebie, żegnaj!

— Nie — odparła Vanina, wściekła — chcę, abyś wiedział, co ja zrobiłam przez miłość moją dla ciebie.

Opowiedziała mu wszystkie swoje zabiegi od chwili, gdy Missirilli opuścił zamek San Nicolo, aby się oddać w ręce legata. Skończywszy to opowiadanie, Vanina rzekła:

— To wszystko nic; zrobiłam więcej z miłości ku tobie.

Wówczas wyznała mu swoją zdradę.

— Och, potworze! — wykrzyknął Pietro wściekły, rzucając się na nią i usiłując zatłuc ją kajdanami.

Byłby tego dokonał, gdyby nie dozorca, który przybiegł na pierwsze krzyki. Pochwyił Pietra.

— Masz, potworze, nic nie chcę ci zawdzięczać! — rzekł Missirilli do Vaniny, rzucając jej, na ile łańcuchy mu pozwalały, piłki i diamenty i oddalając się szybko.

Vanina została wpółmartwa. Wróciła do Rzymu; dzienniki donoszą właśnie, że wyszła za księcia don Livia Savelli.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/kroniki-wloskie>

Tekst opracowany na podstawie: Stendhal, *Dzieła wybrane. O miłości, Kroniki włoskie*, tom 1, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://www.wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Magdalenę Paul.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Maria Ługowska, Marta Niedziałkowska, Paulina Chormańska.

Okładka na podstawie: [glasseyes.view@Flickr](mailto:glasseyes.view@Flickr), CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).